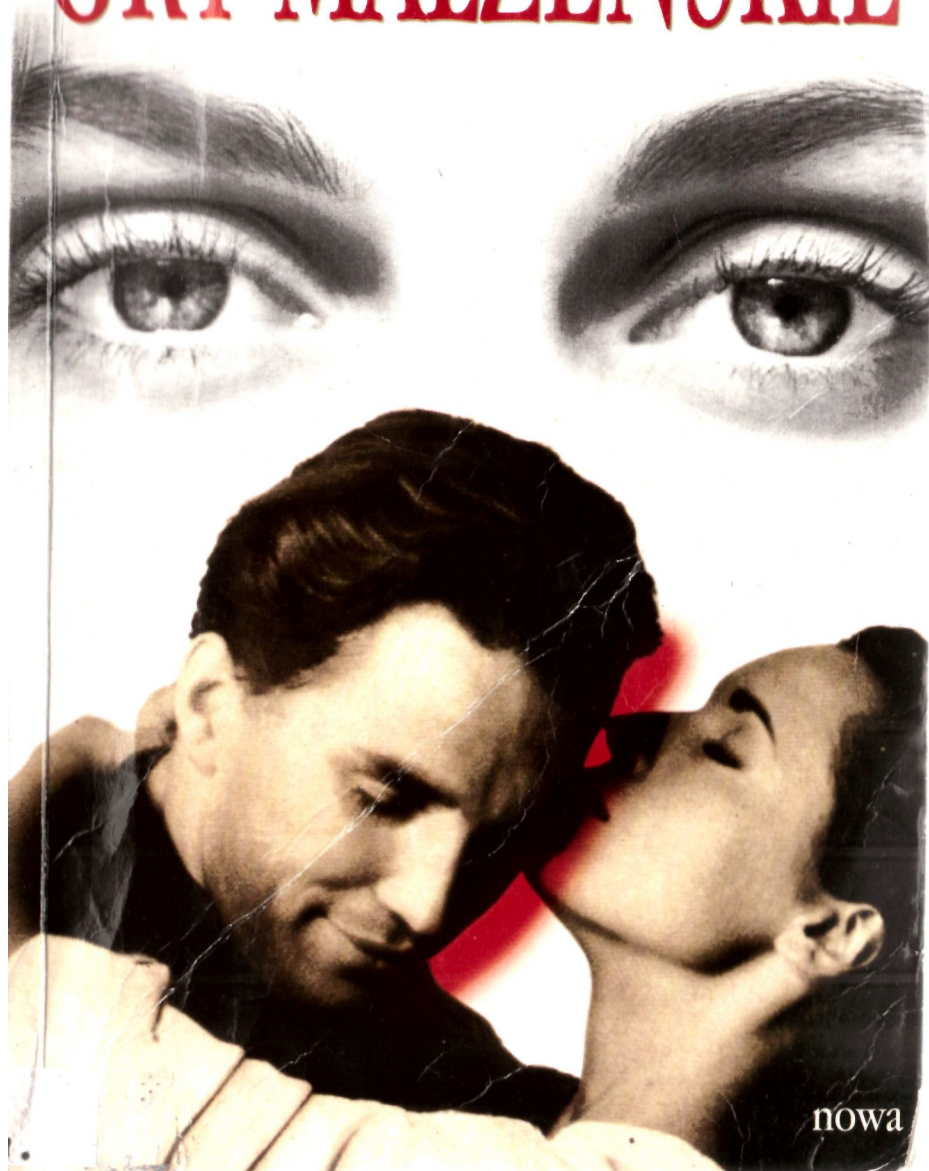


MARIA NUROWSKA  
GRY MAŁŻEŃSKIE



MARIA NUROWSKA  
GRY MAŁŻEŃSKIE



10009659

Niezależna Oficyna Wydawnicza  
Warszawa 1994

Ona miała żółty kolor oczu, nigdy takich u nikogo nie widziałam, potem, kiedy myślałam o niej w ciemnościach nocy, przyszło mi do głowy, że podobne oczy mają drapieżne zwierzęta. Te oczy mogłyby należeć do pumy albo geparda, złociste z ciemniejszymi plamkami na tęczęwkach, nieprzeniknione.

- Witam w naszym babskim kółku - powiedziała niskim, lekko schrypniętym głosem. Widocznie dużo paliła, ten rodzaj chrypki był typowy dla nałogowych palaczy. Trochę mnie to rozczerowało, nie wiem dlaczego, ale wyobraziłam sobie, że kobieta, na którą patrzę, jest wolna od takich przywar, nie zatruwa się nikotyną, nie pije, jest jakby kwintesencją naturalności; to moje myślenie było o tyle dziwne, że spotykałam ją w miejscu, które nie miało nic wspólnego ani z naturalnością, ani tym bardziej z czystością moralną.

Pochyliła się nad leżącą przed nią na biurku teczką, przerzuciła kilka kartek, potem wyprostowała się i znowu spojrzała na mnie. Zastanawiałam się, czy jest piękna. Była szczupłą, doskonale zbudowaną, jej figury nie potrafił zeszpecić nawet brudnoszary mundur. Miała białą cerę, może trochę za płaską twarz, ratowały ją wystające kości policzkowe, no i te niesamowite oczy, które od razu przykuwały

uwagę. Nie tylko ich niespotykany kolor, ale lekko skośny wykrój, jak u dzikiego kota. Była naturalną blondynką, proste włosy, lekko podwinięte na końcach, sięgały jej do ramion; kiedy poruszała głową, przebiegały po nich zygzaki światła.

- Pisarka... powiedziała wolno, a potem sięgnęła po paczkę papierosów, która leżała na biurku, a której przedtem nie zauważyłam. Wyjęła z kieszeni zapalniczkę i powoli, jakby z namysłem wkładając papierosa do ust, przypaliła go, marszcząc przy tym w zabawny sposób nos. Głęboko zaciągnęła się dymem, prawie poczułam go w jej płucach.

- Pisarka - powtórzyła. - I warto było płacić taką cenę? Nie lepiej było po prostu się rozwieść? Teraz oddasz swoje najlepsze lata, z tych dziewięciu odsiedzisz połowę, ale tutaj czas liczy się podwójnie. Który jesteś rocznik? - zajrzała do mojej teczki. - Pięćdziesiąty trzeci... Wyglądasz na młodszą, jak wyjdiesz po tej połówce, o ile nie wytniesz jakiegoś numeru i wypuszczą cię wcześniej, będziesz miała czterdzieści dwa, trzy... Od ciebie tylko zależy, kim wtedy będziesz. Jeżeli ocalisz w sobie nadzieję, obiecuję ci, że człowiekiem...

Patrzyłam na nią w milczeniu.

- Nie wolno ci zapominać, dokąd trafiłaś. Choć... teraz to jest raczej cyrk, nie więzienie, nowy generalny dyrektor otworzył cele i każe nam pukać, jak chcemy wejść. Taki mniejszy Wersal. Ale tak naprawdę niewiele się zmieniło, jedna albo druga może otrzymać mokre widzenie, jak jej przyjdzie ochota dać się wypierdolić swojemu facetowi. Jest tu obok specjalny pokój z kanapą. Powinni jeszcze postawić wiaderko na spermę...

Słowa te sprawiały mi przykrość, chciałam niemal zasłonić jej usta. Z trudem się powstrzymywałam. Ona, jakby czytając w moich myślach, powiedziała:

- Ja też jestem po wyższych studiach, ale schamałam tutaj przez te parę lat i tobie radzę to samo, inaczej nie wytrzymasz. Musisz stworzyć wokół siebie taką przestrzeń ochronną, nie wpuścić tam nikogo, jak tego od razu nie zrobisz, to zginiesz. Niby teraz tu wszystko jest cacy, personel kocha więźniów i vice versa, ale stosunekczki są parszywe tak samo jak były. Jeżeli ocenią cię na frajerkę, będziesz musiała stale płacić. Nie tylko forszę mam na myśli. Tutaj dziewięćdziesiąt pięć procent pensjonariuszek to lesbje, jak zobaczą twoją słabość, same wezmą, co będą chciały.

Nagle nie mogłam tego słuchać.

- Siedziałam do sprawy dwa lata - powiedziałam porywczo - i jakoś dałam sobie radę.

Ona uśmiechnęła się ironicznie.

- Areszt śledczy to czyściec - powiedziała. - Teraz trafiłaś do piekła na samo dno. Zastanawialiśmy się na komisji, co z tobą zrobić, z twoim wyrokiem nie ma mowy, żebyś mogła wychodzić na zewnątrz, przynajmniej przez pierwszych parę lat wybij to sobie z głowy, możesz pracować tylko na terenie. Na przykład w pralni. Ale wydaje mi się, że lepiej będziesz się czuła w bibliotece. Jest jeszcze niezła synekura w radiowęźle, ale nikt cię tam nie wpuści, według szanownego areopagu nie zostałam dostatecznie przetestowana. Areopag ten sam co za komuny i źle wdraża nowe wytyczne, mówiąc językiem tamtej epoki. W tutejszej bibliotece arcydzieł raczej nie ma, ale przynajmniej będziesz miała spokój. Praca tam to swego rodzaju przywilej, chociaż w więzien-

nej grypserze oznacza wykorzystywanie. Będziesz automatycznie zaliczona do grupy funkcyjnych, a te są szczególnie uważnie obserwowane przez pozostałe więźniarki. Tutaj są przeróżne hierarchie i układy, nie będę ci jednak teraz tego wyjaśniać. Dam ci tylko radę. Staraj się utrzymać tę pracę za wszelką cenę, bo innego miejsca dla ciebie tu nie widzę. Pisarze do pióra! - zakończyła ze śmiechem.

Zastanawiałam się, ile ona może mieć lat, z pewnością była młodsza ode mnie. Wyglądała na kobietę trzydziestoletnią. W czasie naszej rozmowy paliła papierosy, jednego za drugim, niewielkie pomieszczenie wypełniło się więc dymem, drapał w gardle, zaczęły mi łzawić oczy.

- Chcesz może o coś spytać?

- Tak - odrzekłam. - Ile masz lat?

Jej oczy zwęziły się, stały się jeszcze bardziej kocie.

- Nie twój interes - odpowiedziała ostro. - I zapamiętaj sobie raz na zawsze, że dla ciebie jestem pani wychowawca i tak masz się do mnie zwracać. Ode mnie przede wszystkim zależy, jaką dostaniesz opinię, więc się raczej nie stawiaj, w swoim własnym interesie.

- Jest mi to obojętne.

Ona energicznym ruchem zgasiła niedopałek w popielniczkę, a potem wstała i otworzyła drzwi do innego pomieszczenia; czekała tam strażniczka, która mnie tu przyprowadziła. Miała podobny mundur co moja pani wychowawca, ale raczej wisiał na niej niż leżał. Włosy zniszczone ondulacją, właściwie bez koloru, okalały szarą mysią twarz. Przypominała bardziej listonoszkę niż osobę, która w razie niebezpieczeństwa mogłaby użyć broni; nawet wydawało się dziwne, że nie ma przy sobie dużej pocztowej tor-

by. Kiedy drzwi się otworzyły, poderwała się służbiście, ale moja rozmówczyni uznała widocznie, że nasze spotkanie nie jest jeszcze skończone, bo cofnęła się, wracając za biurko.

- Powiem ci słowo o twoich współwięźniarkach. Ty masz największy wyrok, oprócz ciebie w celi będą jeszcze cztery kobiety. Dwie z nich to tak zwana para, są zajęte sobą i nieszkodliwe, obie złodziejki, recydywistki. Trzecia to nietypowa, jak my je nazywamy, zrobiła manko. Siedzi tutaj od trzech miesięcy. Starsza kobieta, nikt jej nie zaczepia. Uważaj na tę ostatnią, to zdeklarowana lesbja. Właśnie wyszła na wolność jej faworytka, jest więc wściekła jak osa. Ma cały harem, ale tamtą chyba kochała. Może okazać się nieprzyjemna. Zachowaj się tak, jak ci radziłam, nie dopuść jej za blisko, nic o sobie nie mów. Pamiętaj, milczenie tutaj jest złotem. I nigdy się nie skarż nikomu z personelu, bo zostaniesz okrzyczana kapusiem i drogo za to zapłacisz.

Tym razem otworzyła drzwi na dobre.

- Odprowadzić do celi - wydała polecenie myszowatej strażniczce trzymając rękę na klamce, musiałam się niemal obok niej przeciskać. Doleciał minie zapach perfum, były w dobrym gatunku, oszałamiały jak ich właścicielka. Ciekawe, co to za zapach, nie znałam się na perfumach, rzadko ich używałam, chociaż Edward mi je kupował z okazji różnych naszych rocznic. Smutnych rocznic, jak mawiał. „Kiedy obliczam, ile razy w ciągu naszego małżeństwa byłem z tobą na gorącym uczynku, robi mi się smętnie na duszy”. Co to mógł być za zapach. Może Chanel 5. Miałam kiedyś takie perfumy... Nie rozumiałam, dlaczego przywiązuję wagę do takich szczegółów. Co za znaczenie mógł mieć fakt, jakich perfum

używa przesłuchująca mnie kobieta. To nie było właściwie przesłuchanie, ale rozmowa w ramach resocjalizacji. Ale powinnam już do tego przywyknąć, przez te dwa lata różni umundurowani ludzie zadawali mi pytania i żądali na nie odpowiedzi, pouczali mnie też w podobny jak ona sposób. W tym, co mówiła, nie była wcale oryginalna. Może to jej wygląd. Ona nie pasowała ani do tego munduru, ani do tego wnętrza, podobnie jak ja. W pewnej chwili przebiegło mi nawet przez myśl, że obie jesteśmy na scenie i gramy napisane dla nas role. Za chwilę spektakl się skończy, pogasną światła i zdejmemy kostiumy, ona swój mundur, a ja więzienny drelich. Ale to nie był teatr, to się działo naprawdę.

Przywieziono mnie tutaj więzienną suką z aresztu śledczego zaraz po uprawomocnieniu się wyroku. Wraz ze mną przyjechały moje akta, które pani wychowawca miała teraz przed sobą. Kilka dni i nocy spędziłam w pojedynce, co stanowiło rodzaj kwarantanny. Sądziłam, że nic mnie już nie zaskoczy, a jednak kiedy klawiszka brutalnie przygięła mi głowę i zaczęła przeczesywać palcami moje włosy, wyrwałam się jej i oparłam plecami o ścianę.

- Mam obowiązek sprawdzić, czy nie masz wszy  
- powiedziała monotonnym głosem.

- Nie mam.

- Ja ci to powiem - stwierdziła jak urzędniczka, która komunikuje petentowi, że źle wypełnił jakiś formularz.

- Nie pozwolę się dotykać! - krzyknęłam histerycznie. - Nie znoszę, jak mnie ktoś obcy dotyka!

- Ale swojego męża nie pytałaś, czy lubi gryźć ziemię!

Rzuciłam się na nią z pięściami, cios w żołądek



natychmiast mnie jednak obezwładnił. Zgięta w pół, nie mogłam złapać oddechu.

- Nie stawiaj się - usłyszałam. - Z nami nie wygrasz.

Komisja penitencjarna ustaliła, do której celi zostanie przydzielona. W więziennym slangu byłam osobą z wyrokiem, czyli kimś, kto odebrał komuś innemu życie; władze więzienne trzymały się zasady, aby w jednej celi nie przebywał więcej niż jeden taki osobnik czy osobniczka.

Wyprowadzając mnie z sali sądowej, po raz pierwszy założono mi kajdanki. Obawiałam się, że na korytarzu opadną mnie fotoreporterzy, ale nie było ani jednego. Moja sprawa okazała się przebrzmiałą sensacją, od tamtego dnia minęły przecież dwa lata. Zawsze myślę o tym, co się wtedy stało: tam ten dzień. Pani wychowawca, przeglądając moją teczkę, pozostawiła ją otwartą na „Notatce służbowej”, którą tamtego dnia sporządził niejaki Antoni Pająk, sierżant.

*O godz. 22.15 otrzymałem polecenie od oficera dyżurnego komendy stołecznej policji udania się do miejsca rzekomego zabójstwa mężczyzny, jak wynikało ze zgłoszenia telefonicznego. Po przybyciu na miejsce stwierdziłem co następuje: mieszkanie położone w willi przy ulicy Malczewskiego... Drzwi otworzyła mi kobieta w bieliźnie - Ob. Daria Kalicka-Konieczna. W pokoju na podłodze zobaczyłem mężczyznę - obok niego leżał pistolet typu walter kal. 7, 65. Ustaliłem, że mężczyzna nie daje znaku życia. Był ubrany niekompletnie, na jego koszuli znajdowały się ślady krwi. Zawiadomiłem przez radio ekipę i do czasu jej przyjazdu dokonałem dodatkowych oględzin, a także*

*powiadomiłem kobietę o konieczności pozostania na miejscu. Ustaliłem ponadto z dokumentów przekazanych przez Obywatelkę, że mężczyzna nie dający znaku życia to jej mąż Edward Konieczny, pracownik Instytutu Badań Literackich PAN. Na zatrudnienie w tymże miejscu pracy wskazywała pieczętka w dowodzie osobistym. Obywatelka Daria Konieczna oświadczyła, że nie jest nigdzie na stałe zatrudniona i wykonuje zawód literat.*

Tragedia sprzed dwóch lat pod piórem sierżanta Pająka nabrała wymiaru groteskowego. Kobieta w bieliźnie wykonująca zawód literat, mężczyzna leżący na podłodze w stroju niekompletnym... A przecież był to prawdziwy dramat, który narastał latami i zakończył się śmiercią jednej z osób tego dramatu. Już tamtego dnia zdawałam sobie sprawę, jaką okrutną kpinią okazał się mój czyn. W tamtym momencie nic nie mogło mnie powstrzymać, ale tylko myśl poprzedzająca była zadośćuczynieniem, oczyszczała nasz związek z błota i ratowała naszą miłość. Sam czyn był już tylko żalną karykaturą tej myśli. Nie było w nim nic wzniosłego, okazał się chwilą umysłowego zaćmienia, wręcz szaleństwa. To jedno wtedy rozumiałam, że moje życie się przepoczwarza, będzie teraz zupełnie niepodobne do tego, jakie wiodłam od trzydziestu ośmiu lat. Być może będzie gorsze, spotworniałe, ale inne. Tego zawsze najbardziej pragnęłam, stać się kimś innym, uciec jak najdalej od kobiety, jaką do tej pory byłam. Ale chcąc się jej pozbyć, musiałam usunąć przyczynę, dla której stałam się właśnie taka. Tą przyczyną był on, Edward. Nigdy przedtem nie myślałam o podobnym rodzaju uwolnienia, nawet w momentach najgor-

szych psychicznych zapaści, kiedy zaczynało mi brakować powietrza i wydawało mi się, że się za chwilę uduszę. Odczuwałam to czysto fizycznie, korek w gardle stawał się coraz szczelniejszy. Zwykle pojawiał się wtedy potworny lęk, że jeszcze chwila i pęknię mi płuca. Wtedy chciałam tylko jednego, aby człowiek, który był przyczyną mojej męki, zniknął na zawsze. Już nigdy nie słyszeć jego głosu! To było najgłębsze pragnienie. Być może dlatego, że jego słowa raniły mnie najbardziej.

Nie sądziłam jednak, że zdobędę się na coś, co prokurator żądający dla mnie piętnastu lat więzienia określił jako działanie z premedytacją, a co mój адвокат skutecznie składowi sędziowskiemu wyperswadował.

- Wysoki sędzie - darł się, że go chyba było słychać na korytarzu, to był naprawdę zręczny mówca - wysoki sędzie, tak musiało się stać, prędzej czy później. Moja klientka zbyt często była poniżana, dręczona psychicznie i fizycznie - tutaj mecenas podniósł znacząco palec w górę - przez denata, za którymś razem coś w niej pękło.

Prawdę powiedziawszy jego mowa obrończa brzmiała grafomańsko, ale być może było to konieczne, wszystko, co wzięte prosto z życia, zatraça o kicz. Tylko te jego metafory w rodzaju: „Jeżeli ktoś przynosi do domu strzelbę, musi się liczyć z tym, że ta strzelba kiedyś wystrzeli. Odkrył to już swego czasu wielki dramaturg rosyjski, Antoni Czechow!” Mecenas chciał przez to powiedzieć, że człowiekiem, który przyniósł strzelbę do domu, był Edward. Raziły mnie górnolotne słowa; mimo że znajdowałam się w stanie psychicznego wzburzenia, nie potrafiłam się wyzbyć

dawnego nawyku oceniania czyichś wypowiedzi od strony literackiej. Kiedy tak siedziałam na ławce sądowej w towarzystwie dwóch policjantów, miałam uczucie, że uczestniczę w niesmacznej komedii, że ktoś się postanowił zabawić moim kosztem. Tylko kto? Los? Bóg? Właściwie nie byłam wierząca, to znaczy mój Bóg nie miał twarzy, istniał raczej jako świetlista energia. Ale dlaczego posadził mnie na tej ławce? Dlaczego wcześniej mnie nie powstrzymał? Ja nie zdawałam sobie sprawy, co się naprawdę dzieje, mimo że wszystkie moje poczynania były nader logiczne. Przemierzyłam drogę z sypialni do gabinetu, wyjęłam ze skrytki pistolet, wróciłam i odbezpieczając go, nacisnęłam spust. Te wszystkie następujące po sobie czynności wykluczały działanie w afekcie. A jednak tak było, dopiero odgłos wystrzału i rozrastająca się na koszuli Edwarda czerwona plama uświadomiły mi, co się naprawdę stało. Rzuciłam pistolet na ziemię i podbiegłam, aby go podtrzymać. Położyłam dłoń na jego piersi, chcąc zatamować krew. Osuwał się na kolana, a potem tak bokiem opadł na plecy. Miał rozszerzone źrenice, w jego oczach dostrzegłam zwierzęcy strach, który w tej samej sekundzie stał się moim strachem. Tak było przez osiemnaście lat, które z przerwami spędziliśmy razem. Wszystko, co się rodziło w tym człowieku, natychmiast przechodziło na mnie.

Chciał coś powiedzieć, sprawiało mu to widoczną trudność. Nie odejmowałam ręki od jego piersi w obawie, że krew zacznie płynąć gwałtowniej. Coś bardzo ludzkiego pojawiło się w jego wzroku, nigdy takich jego oczu nie widziałam.

- Oskarżą cię - powiedział wyraźnie.

Powieki zaczęły mu opadać. Czułam, że umiera. Nie wiem, ile czasu przy nim siedziałam, godzinę, dwie. Potem podeszłam do telefonu.

- Zabiłam swojego męża - usłyszałam własny głos i zdziwiłam się, że jest taki opanowany.

Policjant, jak się okazało sierżant Pająk, chodził po mieszkaniu, a ja siedziałam w pokoju stołowym na krześle. Obserwowałam swoje ułożone nieruchomo na kolanach ręce. Wyglądały jak martwe. Na schodach usłyszałam kroki i do mieszkania weszło kilku mężczyzn, jeden z nich miał na sobie biały fartuch, z ich rozmowy wywnioskowałam, że to lekarz pogotowia ratunkowego. Był też mężczyzna z aparatem fotograficznym. Na mnie nikt nie zwracał uwagi, zupełnie jakby mnie tam nie było. Podświadomie byłam z tego zadowolona, bałam się, że każą mi wejść do sypialni, gdzie na podłodze leżał Edward. Czułam, że jeżeli tam wejść, nie uda mi się zachować tego spokoju, który dla mnie samej był niezrozumiały. Zupełnie jakby zrobiono mi zimny kompres wystudzający mnie od wewnątrz. Niczego nie odczuwałam. Nie wiedziałam, czy w mieszkaniu jest zimno czy gorąco. Nie widziałam też, w jakiej ja sama znajduję się sytuacji. Moja głowa, mój mózg były tak samo wzięzione.

Wreszcie podszedł do mnie któryś z ekipy śledczej i beznamiętnym głosem oświadczył, że jestem zatrzymana do wyjaśnienia okoliczności przestępstwa na okres czterdziestu ośmiu godzin i będę osadzona w areszcie tymczasowym. Kazali mi się ubrać i wziąć ze sobą rzeczy osobiste. Spozregłam wtedy, że mam na sobie jedynie krótką koszulę i majtki. Przedtem jakoś to do mnie nie docierało. Ogarnął

mnie wstyd. Pałacy wstyd, że ci obcy mężczyźni oglądają mnie w takim stanie. Nie mogłam pojąć, jak do czegoś podobnego mogłam dopuścić. Poszłam do łazienki, ale oni nie pozwolili mi zamknąć drzwi, może obawiali się, że zechcę popełnić samobójstwo. Jeden z nich stał i patrzył, jak się ubieram, jak szukam kosmetyczki, a potem wkładałam do niej puderniczkę, szczoteczkę do zębów, napoczętą tubkę pasty. Spytałam, czy powinnam wziąć ze sobą mydło, na co ten pilnujący mnie mężczyzna nie zareagował, zupełnie jakby nie słyszał pytania. Wyszłam z łazienki ubrana w czarny golf i wełnianą spódnicę, to były rzeczy, które wcześniej odłożyłam do prania. Nie wiem, dlaczego tak się właśnie ubrałam. Dlaczego nie włożyłam czegoś innego. Na przykład rzeczy, które nosiłam tego dnia. Leżały w gabinecie na podłodze: spódnica i bluzka, tuż obok spodni Edwarda. Może tego nie zrobiłam, bo nie chciałam tam wchodzić. Oni spytali mnie, czy nie wymagam opieki lekarskiej, czy nie jestem chora na cukrzycę albo nie mam astmy. Zaprzeczyłam. Więc wyszliśmy na schody, chciałam zamknąć mieszkanie na klucz, jak setki razy przedtem, ale jeden z nich mnie powstrzymał. Poczulałam się nagle bezdomna. Pomyślałam też, że zawsze się tak czułam. Mieszkałam w różnych mieszkaniach, ale żadne z nich nie należało do mnie. Nawet to z Edwardem. To był jego dom, miał go na długo przed naszym ślubem. Zresztą nie chodziło dokładnie o to, że mieszkałam u kogoś, tylko że nie mieszkałam u siebie...

Zawieźli mnie do komisariatu, tam umundurowany mężczyzna kazał mi iść za sobą. Zeszliśmy po schodkach jak do piwnicy. I to była naprawdę piw-

nica, w dzień przez zakratowane okno widziałam nogi przechodniów. Otworzył drzwi do bardzo małego pomieszczenia. Był tam tylko podest z desek przypominający podłużną skrzynię. Drzwi miały małe okienko zamykane z zewnątrz. U sufitu paliła się naga, upstrzona przez muchy żarówka, pamiętam, że mnie to zdziwiło, bo nigdzie nie było ich widać. Ale może się pochowały, może wtopiły się w szarobury kolor ścian i stały się niewidoczne. Teraz wiem, dlaczego taki dziwny kolor miały ściany mojej celi. Chodziło o to, aby wewnątrz z niczym mi się nie kojarzyło. I nie kojarzyło mi się z niczym, było tak bezosobowe, jak tylko jest to możliwe.

- Czy... mogłabym dostać coś do picia? - spytałam, gdy strażnik przyniósł mi koc.

Miałam wysuszone gardło, a w ustach szorstki, kołkowaty język.

- O siódmej dostaniesz śniadanie - odrzekł.

Zdziwiłam się, że mówi do mnie ty, tamci zwracali się do mnie pani. To znaczy ci z ekipy, którą wezwał przez radio sierżant Pająk, on nazywał mnie obywatelką.

Zostałam sama. Usiadłam na podeście i dopiero wtedy spostrzegłam, że nie włożyłam rajstop, tylko kozaki na gołe nogi. Od cementowej podłogi ciągnął przejmujący chłód, łydki pokryła mi gęsia skórka. Wzdrygnęłam się i objęłam ramionami. Zawsze postępowałam podobnie, gdy było mi zimno, ale teraz stało się jakoś tak, jakbym obejmowała siebie naprawdę. Pojawiło się we mnie nie znane dotąd uczucie tkliwości wobec samej siebie, a więc coś na kształt akceptacji. Czy musiałam zabić człowieka, aby czegoś takiego doświadczyć? Czy tak musiało być? Moja



niechęć do siebie, czasami nawet nienawiść, wybudowały mur, którego ani ja, ani Edward nie potrafiliśmy w żaden sposób skruszyć. Teraz nagle mur runął, rozleciał się na kawałki. Na tych paru metrach, w mokotowskiej celi, siedziałam skulona, obejmując rękami coś, co było mną. Czułam bicie własnego serca, czułam ciepło swojego ciała. Byłam, istniałam.

Daria

zawsze uważałam, że to imię powinna nosić kobieta piękna. Ja nie jestem piękna. Ciągłe mi powtarzano, że jestem do kogoś podobna, do jakiejś aktorki, dentystki z rejonowej przychodni, do przechodzącej właśnie ulicą nieznanym kobiety, jakbym nie miała prawa do własnej twarzy. Kiedyś użyczyłam jej nawet swojej bohaterce, był to jedyny sposób, abym mogła wrócić do pisania. Wydawało mi się, że nie potrafię utrzymać pióra w ręce, wytracono mi je, a przyczynił się do tego mój własny mąż... Książka, którą zaczęłam pisać, chyba nie mogła się udać, od początku miałam taką świadomość, ale nie wolno mi było siedzieć beczynnie... Więc w kompletnej myślowej pustce zaczęłam kleić fabułę przyszłej powieści. W początkach stanu wojennego mój znajomy fotoreporter przyniósł zdjęcia robione z ukrycia. Na jednym z nich, we wnętrzu katedry Sw. Jana, w tłumie rozpoznałam siebie. I tego się uczepliłam. Amerykański dziennikarz ogląda te właśnie zdjęcia i dostrzega twarz kobiety, która przyciąga jego uwagę, fascynuje go do tego stopnia, że postanawia ją odszukać. Przyjeżdża do Warszawy...

To było zaraz po telewizyjnej audycji, w której Edward brał udział i zachował się wobec mnie obrzyd-



liwie. Mówiąc o kondycji literatury polskiej po upadku komunizmu, stwierdził:

- No cóż, w czasach przełomów prawdziwe wartości schodzą na drugi plan, takie są reguły gry. W obecnej grze o literaturę na czoło wysunęli się pisarze drugorzędni, że rzucę parę nazwisk...

I wśród tych nazwisk wymienia moje. W pierwszej chwili myślałam, że źle słyszę. Ale niestety, słyszałam dobrze i inni też to słyszeli. Kiedy Edward się wreszcie pojawił, od dawna nie mieszkaliśmy razem, spytałam go wprost, dlaczego to powiedział.

Popatrzył mi prosto w oczy i z uśmiechem odparł:

- Bo jesteś pisarką drugorzędną, nie wnosisz nowych treści do literatury, nie jesteś Gombrowiczem czy Witkacym, może tylko jedna twoja książka mogłaby uchodzić za nowatorską, nikt tak do tej pory nie pisał o matce, obaliłaś stereotyp Matki Polki.

- Ale nie powiedziałaś tego w telewizji!

- A po co, przecież to wszyscy wiedzą!

Chciał mnie pogłodzić po policzku na znak zgody, wtedy ugryzłam go w rękę. Pobladł i sięgnął po płaszcz.

- Wychodzi twój białoruski charakter - powiedział.

Nie pojawiał się przez całe dwa tygodnie, to sporo. Po takim trzęsieniu ziemi, jakim okazało się jego zamieszkanie z inną, nie widzieliśmy się miesiąc.

Książka o Amerykaninie mi nie szła. Uczucie zagrożenia, w jakim żyłam od dłuższego czasu, pogłębiało się. Telefon na moim biurku milczał, w czym nie było nic dziwnego, to tylko sukces ma wiele matek. Matek Polek, dodawałam w myślach.

Zadzwoił do mnie.

- Co robisz? - spytał.
  - Piszę drugorzędną powieść.
- Roześmiał się w słuchawkę.
- Poczucie humoru cię nie opuściło, to dobrze.
  - To nie ma nic wspólnego z poczuciem humoru, ale z tobą.
  - Chcesz, żebym do ciebie wpadł?
  - Wręcz przeciwnie - odrzekłam lodowato i odwiesiłam słuchawkę.
- Za chwilę telefon znowu zadzwonił.
- Jednak się do ciebie wybieram. Nie zabijesz mnie chyba. Bo jak by to wyglądało, powiedzieliby, że to zemsta autorki na surowym krytyku.
  - Raczej zemsta żony na podłym mężu.
  - Mąż i żona zazwyczaj śpią w jednym łóżku - odparł i tym razem to on się rozłączył.
- Stałam ze słuchawką w ręce.

Przeżywałam istne męki nad pustą kartką. I to też było przeciwko niemu, bo przecież to on mi doradził, żebym spróbowała pisać, niemal wcisnął mi pióro do ręki. A to nie jest zawód dla kobiety, a przynajmniej dla kogoś tak nie pozbieranego jak ja. Moje pisarstwo mi nie pomagało, ono nie było ujściem, ono rujnowało mnie wewnątrz. Za każdym razem, kiedy kończyłam książkę, miałam poczucie duchowego ubytku. Być może moje zasoby już się kończyły... I co dalej... Dalej była pustka. Nie miałam niczego: jakiegoś ludzkiego zawodu, mieszkania, nie miałam przyjaciół, nie urodziłam nawet dziecka. Bałam się macierzyństwa. Wydawało mi się zawsze, że nie potrafiłabym mu sprostać. Nie umiałam poradzić sobie sama ze sobą, nie mogłam więc skazywać nikogo na taką matkę...



Gdybym tylko mogła pisać, myślałam, uciec w los bohaterki ze zdjęcia we wnętrzu katedry Św. Jana na Starym Mieście... To byłby ratunek przed bezsennością, która z wolna stawiała się koszmarem. Nie mogłam spać, leżałam do rana z otwartymi oczyma. I tak noc w noc. Nikt tego nie zrozumie, kto sam nie przeżył, niemożność snu potrafi się przemienić w najgorszą torturę. Gdyby udało mi się wreszcie zobaczyć twarz mojej przyszłej bohaterki... Próbowałam konstruować ją na różne sposoby, ze zdjęć, z twarzy znajomych aktorek, z twarzy kobiet mijanych na ulicy. Nic z tego nie wychodziło, rozpadała się na kawałki jak gipsowa maska. Tęskniłam za Edwardem, ale postanowiłam, że tym razem to koniec, mimo iż nie pierwszy raz zachował się wobec mnie w podobny sposób. Bywały gorsze sytuacje, ale i moja sytuacja była wtedy inna, jako pisarki przede wszystkim. I na tym polegał ten paradoks: kiedy krytycy mnie hołubili, brakowało mi czytelników, kiedy zaczęto mnie czytać masowo, krytycy wydali mi wojnę. W końcu zrezygnowałam z dalszych poszukiwań fizys mojej bohaterki i oddałam jej własną twarz.

*Spojrzałem w twarz nieznannej kobiety na fotografii przedstawiającej wnętrze jakiegoś kościoła po brzezi wypełnionego ludźmi. Ogromny tłum. Głowa przy głowie. Od strony witraża przez sam środek tłumy biegła jaśniejsza smuga przypominająca promień. W tej smudze zobaczyłem twarz kobiety, od której nie mogłem oderwać oczu. Nigdy dotąd nic podobnego mi się nie przydarzyło, nie podejrzewałem siebie, że będę zdolny do tak emocjonalnej reakcji. To przecież było tylko zdjęcie. Prześwietlone zdjęcie, któ-*

*re mój kolega fotoreporter odłożył na bok z powodu usterki technicznej. Działo się coś, czego nie byłem w stanie kontrolować. Zupełnie jakby twarz tej kobiety mnie zahipnotyzowała. Nie była piękna ani jakaś szczególnie interesująca. Gorzki, zastygły w kącikach ust uśmiech zdawał się mówić: oto ja, taka jaka jestem, znużona, przegrana, ale jak chcesz, to mnie weź, może coś ci z tego przyjdzie...*

Takie były moje marzenia. Pragnęłam, aby mnie ktoś dostrzegł, ale nie podchodził blisko, zawsze mnie przerażała zbytnia bliskość drugiego człowieka. To był nieokreślony lęk, nagły skurcz serca. I potrzeba wycofania się, ucieczki.

Uciekałam już jako kilkuletnia dziewczynka, uciekałam babci, wystarczyło, że na moment spuściła mnie z oczu. Nosiłam latem czerwoną sukienkę z bufkami. Obrąbek rękawów był za ciasny i kiedy babcia rozbierała mnie wieczorem, pozostawały po nich czerwone pręgi, podobną pręgę odciskała guma od majtek, może dlatego natychmiast chciałam się ich pozbyć. Wymykałam się z domu i uciekałam na drogę, tam jednym ruchem ściągałam majtki i wieszalałam na najbliższym płocie. Kobiety przystawały i śmiały się ze mnie, a któraś z nich powiedziała:

- Żebyś tylko nie skończyła jak twoja matka...

Nie rozumiałam wtedy, dlaczego to mówi, ale jej słowa głęboko zapadły mi w pamięć.

Siedząc na nagich deskach w pomieszczeniu nie większym od spiżarni na plebanii, w której spędziłam dzieciństwo, próbowałam zawrzeć pokój z samą sobą, czy chociażby zawieszenie broni. Nie mogłam ze sobą teraz walczyć, skoro cały świat był przeciw-

ko mnie. Waśnie tak wtedy myślałam, że cały świat jest przeciwko mnie.

Punktualnie o siódmej strażnik przyniósł mi kubek kawy zbożowej z mlekiem i dwie pajdy chleba z pasztetówką.

To dziwne, zamknięta w czterech ścianach nie myślałam o Edwardzie jako o człowieku nieżyjącym. Zupełnie jakbym nie przyjmowała do wiadomości, co się naprawdę stało. Stało się „coś”, ale nie chciałam o tym myśleć. Próbowала znaleźć dla siebie miejsce w nowej sytuacji jak człowiek, który nagle oślepl i nie potrafi się poruszać pośród znanych dotąd sprzętów. Potrąca je, wpada na nie, doznając mniejszych lub większych urazów. Stół nie jest już tylko stołem, ma ostre kanty, które mogą boleśnie zranić... Taka sytuacja trwała przez kilka dni. Kiedy strażnik powiedział mi, że mam prawo zobaczyć się z adwokatem, zadałam mu pytanie:

- Po co?

Popatrzył na mnie jak na kogoś niespełna rozumu. I być może wtedy było to prawdą, miałam chory mózg, chorą głowę. Pod czaszką kłębiły się tysiące niezbarnych myśli, obrazów. Dzieciństwo... jakies zdarzenia ze studiów, urywki rozmów z Edwardem, nasze kłótnie...

- Idź się leczyć - powiedział kiedyś w. złości, chcąc mi dać do zrozumienia, że kwalifikuję się do czubków.

I zawieziono mnie tam z aresztu śledczego. Przez dwa miesiące psychiatrzy obserwowali mnie, aby wydać potem opinię, że jestem w pełni władz umysłowych. Pobył tam to była udręka znacznie większa

•

niż zamknięcie w celi. Sam widok ludzi w szpitalnych piżamach z twarzami naznaczonymi cierpieniem wystarczyło. Otaczało ich zewsząd ubóstwo, inne niż to więzienne, którego surowość była mi nawet na rękę, tutaj pachniało nędzą, poczynając od brudnych, podartych wykładzin podłogowych po rozmaitość łóżka z szarą pościelą, wyszczerbione naczynia. Gołym okiem widać było, że społeczeństwo spisało tych ludzi na straty. Personel szpitalny różnił się też od tego w areszcie. Tamci byli jakąś inną rasą, o której do tej pory niewiele wiedziałam. Traktowali mnie trochę jak przedmiot, dając mi jednocześnie do zrozumienia, że nie znalazłam się tam dla przyjemności. Tutaj lekarze odnosili się do mnie z pobłażliwością, jak do dziecka, które nie wie, że było niegrzeczne. A skoro tak, to nie sposób go ukarać. Szczególnie jedna z pań psychiatrów doprowadzała mnie do rozpacz, wmawiając mi, że nic się takiego nie stało. Zabiłam męża, to trudno, nie ja pierwsza i nie ostatnia. Co tydzień trafiają tu kobiety z podobnym kłopotem. Rozprawiają się ze swoimi małżonkami w sposób o wiele mniej elegancki, po prostu podrażniają im gardła albo walą tasakiem między oczy.

stworzyć wokół siebie przestrzeń ochronną myślałam, gdy myszowata strażniczka prowadziła mnie długim korytarzem, który przedzielony był w kilku miejscach kratą, ale tylko ta krata pomiędzy częścią administracyjną a więzieniem była zamknięta na klucz, wszystkie inne zamykały się jedynie na zasuwkę. Echo odbijało nasze kroki, strażniczka drobila nogami, szła jednak dosyć szybko, trudno mi

było za nią nadażyć. Mamrotała coś pod nosem. Wpadały mi w ucho poszczególne słowa i urywki zdań.

- Spacerniak sobie urządzają... jak będzie nie-szczęście, to kto odpowie...

Wywnioskowałam z tego, że podobnie jak moja pani wychowawca nie była zadowolona z nowych porządków. Skręciłyśmy w kolejny korytarz, strażniczka zatrzymała się przed jedną z cel i włożyła klucz do zamka; więc jednak nie było aż takiej wolności, zaleceń odgórnych dyrektora generalnego nie do końca przestrzegano. Potem zrozumiałam, że celę zamknięto, ponieważ wewnątrz nikogo nie było.

Kiedy tam weszłam, ogarnęło mnie zdumienie, miałabym duże trudności z określeniem miejsca, w którym się właśnie znalazłam. Na oknie wisiała wściekle różowa firanka z falbaną, gruba żelazna krata wyglądała przy niej jak zainstalowana przez pomyłkę. Ściany przyozdabiały kolorowe pocztówki, fotosy, sztuczne kwiaty. Nad jedną z prycz dostrzegłam obrazek Matki Boskiej w sąsiedztwie zdjęcia Jana Pawła II, a tuż obok, co mnie dosyć zdziwiło, generała Jaruzelskiego, którego podobizna musiała chyba należeć do innej więźniarki. Nad wejściem wisiał duży plakat z kobietą kulturystką, z wdzięcznym uśmiechem prężącą swoje bicepsy. Na jednej z szafek zobaczyłam stary telewizor, na szczęście wyłączony, W rogu stała miska na żelaznym stojaku, obok niej wiadro, w drugim rogu kibel. Był tu też prostokątny stół i wsunięte pod jego blat stołki. Nie wiem dlaczego przyszło mi do głowy, że przy podobnym stole Jezus jadł swoją ostatnią wieszczę, tamten stół był tylko trochę większy, na dwanaście osób,

a nie na sześc. Nie wszystkie prycze były zajęte, po moim przybyciu wolna pozostała tylko jedna. Wolałabym to, do czego przywykłam. Mur, bez żadnych skojarzeń. Tutaj to była sceneria jak ze złego snu. Z łatwością mogłam sobie dośpiewać, jak wyglądały i kim były moje współlokatorki, pani wychowawca co nieco mi o nich opowiedziała, ich gust dopowiedział resztę.

Z niejaką życzliwością pomyślałam o naczelniku aresztu, który nie pozwalał niczym przyozdabiać ścian.

- Wszystkie są w robocie - powiedziała strażniczka. - Możesz sobie wybrać miejsce to na dole albo tamto na górze. Szafka wspólna, też do wyboru. Do ciszy nocnej wolno korzystać z ubikacji na piętrze, potem tu masz wiadro, to z pokrywą. Samej z oddziału nie wolno wychodzić.

A więc wolność ograniczona, pomyślałam.

Strażniczka odwróciła się i ruszyła korytarzem swoim drobnym krokiem. To było dziwne uczucie, po raz pierwszy od dwóch lat nikt mnie nie zamykał. Po raz pierwszy nie usłyszałam znajomego zgrzytu klucza w zamku. I nie wiem, czy tak dobrze się z tym czułam. Znalazłam się w nowej sytuacji. Dopiero teraz zdałam sobie z tego do końca sprawę. Po namyśle wybrałam górną pryczę, mając nadzieję, że uda mi się w ten sposób chociaż odrobinę odizolować. Na szczęście głośnik, czyli szczekaczkę zainstalowano w rogu u sufitu po przeciwnej stronie. Byłam ciekawa moich współtowarzyszek. Jakie mają twarze. Jak się zachowują. Czy okażą się bardzo uciążliwe. Byłam skazana na ich towarzystwo, jak one zresztą na moje. Nie mogłam przecież powie-



dzieć: „do widzenia” i wyprowadzić się pewnego pięknego dnia. Ten dzień miał swoją określoną datę w kalendarzu i dzieliło mnie od niego wiele dni i wiele nocy.

Z ciężkim sercem zaczęłam oblekać pościel, którą wydano mi wraz z blaszaną miską i aluminiowymi sztućcami, potem wdrapałam się na prycę, myśląc jednocześnie, że odtąd czynność tę będę powtarzała do znudzenia; rachunek był prosty, przynajmniej raz dziennie będę musiała na nią wejść i raz z niej zejść. Wyciągnęłam się i przymknęłam oczy. Czułam się zmęczona, ostatnie dni wytrąciły mnie z równowagi. To, że wożono mnie do sądu, było czymś potwornym. Przed moimi oczami przesuwał się łańcuszek świadków, znajomi moi i Edwarda, speszeni swoją rolą w tym procesie. obrońca przywłókł nawet na salę mojego profesora polonistę, *co* miałam mu bardzo za złe. Staruszek usiłował mnie bronić, ale nie bardzo wiedział jak. Mógłby powiedzieć na przykład, gdyby o tym wiedział, że okazał się pechowym prorokiem. To on pierwszy wypowiedział zdanie: „Pięknie piszesz, Daria”. Chodziło mu o szkolne wypracowania, ale mi to moje pisanie wykrykał. Gdybym nie zaniósła swoich wypocin do redakcji, nie poznałabym Edwarda. Nie byłoby naszego wspólnego życia i naszych wspólnych pomysłów. Dlaczego okazaliśmy się tacy pomysłowi...

Zacząło się to równo w rok po naszym ślubie. Spędzaliśmy wtedy wakacje w ośrodku wczasowym Polskiej Akademii Nauk. Mieszkaliśmy w domku kempingowym z widokiem na jezioro. W tym domku właśnie obchodziliśmy naszą rocznicę pijąc szampa-

na, nad ranem strzelił kolejny korek. Stałam przy oknie ze szklanką, w której pienił się szampan, i obserwowałam jezioro. Niebo nad lasem porastającym drugi brzeg jeziora pojaśniało, odezwały się głosy ptaków. Edward podszedł i objął mnie ramieniem. Prawie jednocześnie zobaczyliśmy wyłaniającą się z wody kobiecą postać. Była naga. Miała wysmukłe ciało, jasne włosy kosmykami opadały jej na plecy. Wydała mi się zjawiskowo piękna, poczułam się przy niej jak pokurcz z szopą rudawych włosów i przysadzistą figurą, zawsze mi się wydawało, że mam trochę za krótkie i zbyt masywne nogi. I nagle zapragnęłam się z nią zmierzyć. Być może byłam pijana. Albo byłam po prostu pewna siebie.

- Prześpij się z nią - powiedziałam.
- Nie byłabyś zazdrosna? - spytał zaskoczony, w mig zrozumiał, że to nie jest żart, ale propozycja serio.
- Byłabym dumna.

Chyba zasnęłam, bo nagle obudziły mnie podniesione głosy. Przez chwilę myślałam, że to jakaś kłótnia, ale to była zwyczajna wymiana zdań. A więc wróciły moje współlokatorki. Leżałam z zamkniętymi oczami.

- Ta nowa tu już jest - usłyszałam szept. - Chyba że śpi.

- Wypada ją budzić, należy nam się przywitanie.

Ktoś wspiął się na dolną pryczę, po chwili poczułam na twarzy kwaśny oddech. Wolno otworzyłam oczy i tuż naprzeciw zobaczyłam inne, zupełnie pozabawione rzes. Wrażenie było niesamowite, tym bardziej że te oczy się nie poruszały, żadnego drgnięcia powiek, nic. Osadzone były w niemal okrągłej, gęsto

pokrytej piegami twarzy, nad którą włosy sterczały jak ryżowa szczotka. Przyszło mi nawet do głowy, że to nie jest ludzka twarz, ale maska.

- Jak się mamy - usłyszałam i maska wykrzywiła się w uśmiechu.

Zrobiłam nagły obrót do ściany, dając tym do zrozumienia, że nie mam ochoty na rozmowę. Dolna prycza zaskrzypiała, co oznaczało, że natrętka się wyniosła. Na dole dalej toczyła się głośna rozmowa, z której wywnioskowałam, że wszystkie te więźniarki pracują w zakładach krawieckich.

W pewnej chwili wmieszał się głos należący do starszej kobiety, chyba tej, co miała manko. Prosiła, aby pozostałe były trochę ciszej, bo nie słyszy słów własnej modlitwy.

- Ważne, żeby twój Pambóg słyszał - roześmiała się któraś chrapliwie - bo do papieża nie masz po co się mizdrzyć, on nie lubi bab.

- Wstydu nie masz, bezbożnico - głos tej od manka poszedł o ton w górę.

Rozległ się rechot jej zadowolonych z siebie współtowarzyszek.

Miałam w swoich rzeczach zatyczki do uszu, ale teraz nie mogłam przecież po nie sięgnąć. Ten jazgot na dole coraz bardziej mnie męczył, nie odważyłabym się jednak poprosić o ciszę. Nic teraz ode mnie nie zależało i taki stan rzeczy będzie trwał długo, całe lata. O wiele prostsze to było tam, w areszcie. Większość czasu przesiedziałam sama, a te okresy, kiedy dzieliłam celę z innymi, nie były zbyt dokuczliwe, zwykle pojawiał się ktoś z wolności, ktoś, kto czuł się ogłuszony swoją sytuacją. Tacy ludzie nie mają ochoty na rozmowy, zamykają się w sobie, to mi bardzo odpowiadało. Nic tak nie doprowadza do

rozpaczy jak bezmyślny słowotok. Nie wytrzymam tego - zamajaczyło mi w głowie i przestrogi pani wychowawcy nabrały nagle znaczenia. „Pani wychowawca” to brzmiało w mojej sytuacji absurdalnie. Chociaż... wychowywano mnie przecież przez całe życie, każdy na swoją modłę, ostatnim moim wychowawcą był Edward. Może lepiej byłoby nazywać ją politruczką. Ale teraz jest już przecież wolność i nikogo nie trzeba wychowywać w duchu Polski Ludowej...

Rozmowa na dole toczyła się dalej, w pewnej chwili wpadło mi w ucho zdanie: „Ciekawe, kiedy nasza Iza sobie o nas przypomni, już dawno nie prawiła nam kazań”. Nasza Iza... to mogło chodzić o panią wychowawcę. A więc ona miała na imię Iza... Nie potrafiłam pojąć, dlaczego jej osoba stale przyciąga moje myśli. Kiedy tylko zamykałam oczy, pojawiała się jej twarz. Pamiętałam ją niemal z fotograficzną dokładnością, nie przeoczyłam nawet ciemnej plamki na skroni, charakterystycznego przebarwienia skóry. Iza... Imię dość niebezpieczne w zestawieniu z jego właścicielką, bo mogłoby zabrzmieć pretensjonalnie. Ona sama zresztą znajdowała się na granicy pomiędzy naturalnością i pretensjonalnością, wystarczyłoby tylko dodać jeden element więcej, w jedną lub w drugą stronę, żeby tę równowagę zachwiać. Ciekawe, jak wyglądała w cywilnym ubraniu, w jakiejś spódnicy i bluzce. Pewnie ubierała się z gustem, sądząc po perfumach. Nagle przyszło mi na myśl, że bardzo nie chciałabym się rozczarować, nie chciałabym utracić tej fascynacji, która była pierwszym ludzkim uczuciem od tak dawna.

Kobiety do tej pory nie odgrywały dużej roli w moim życiu, nie umiałam znaleźć z nimi wspólnego

języka, lepiej mi to wychodziło z mężczyznami. Może dlatego, że wychowywała mnie babcia, że nie znałam swojej matki. Nie mogłam jej znać. Zniknęła z mojego życia, kiedy miałam dwa tygodnie. Po prostu zostawiła mnie babci i wyjechała. Nie pojawiła się więcej, nie pisała listów, nie podała też żadnego adresu. Babcia nie wiedziała, co się z nią dzieje. Mąż babci, a mój dziadek, zginął tuż po wojnie. Był funkcjonariuszem bezpieki i podziemie go sprzątnęło. Babcia bardzo dziadka kochała, chociaż nie miała najlepszych wspomnień ze swojego małżeństwa, bo on był człowiekiem porywczym i chorobliwie wręcz o nią zazdrosnym. Raz nawet podziurawił z tej zazdrości sufit kulami. Potem babcia z moją matką, która miała wtedy dziewięć lat, poszły na spacer, a on przyniósł drabinkę i gipsował te dziury. Podobno w starym mieszkaniu babci ślady po kulach pozostały do dziś. Potem już, po śmierci męża, nie chciała tam mieszkać. Nie chciała postawić stopy na schodach, którymi wyprowadzano go pod osłoną nocy w samej koszuli i kalesonach, z rękami skrępowanymi z tyłu. Rozstrzelano go w lesie i porzucono ciało. Więc babcia nie chciała wracać do wspomnień, zabrała moją matkę i zgodziła się do batiuszki na gospodynię. Żona batiuszki, piękna i wyniosła pani, widziałam ją wszystkiego kilka razy w życiu, ale zawsze robiła na mnie silne wrażenie, nie chciała mieszkać na wsi, bo Borysówka to przecież taka duża wieś, mimo że znana nawet za granicą dzięki temu, że polował tutaj swego czasu Goering. No i ze względu na rezerwat żubrów, są to w końcu unikalne zwierzęta. Ale popadła Jekatierina Iwanowna nie chciała się przeprowadzić z miasta, gdzie miała lu-

ksusowe mieszkanie pełne antycznych mebli, pluszowych kanap, przeróżnych lamp i samowarów. Obiło mi się o uszy, że było to małżeństwo pro forma, żeby nasz batuszka mógł otrzymać święcenia kapłańskie, taki był wymóg w kościele prawosławnym, duchowny miał być żonaty. Może o to chodziło, żeby nie sprowadzał bab na plebanię i nie gorszył swoich wiernych, jak to się często zdarzało wśród księży katolickich. Pomiędzy moją babcią a batuszką nigdy nie doszło do zbliżenia fizycznego, chociaż mieszkali wiele lat pod wspólnym dachem; kiedy on przeszedł na emeryturę, przenieśli się do Białegostoku, do małego dwupokojowego mieszkanca. Ale jedno żyło w jednym pokoiku, drugie w drugim. Może trudno w to uwierzyć, jednak naprawdę tak było. Babcię zresztą bardzo w Borysówce szanowano i liczone się z jej zdaniem. Jak Nina Andriejewna coś powiedziała, to tak musiało być. O batuszce mówiła zawsze, że to święty człowiek. Dbała o jego wygodę, gotowała mu, prała, pilnowała, aby interesanci nie za bardzo zawracali mu głowę. Kiedy udawał się na poobiednią drzemkę, obie chodziłyśmy na palcach. Jako dziecko zawsze się go trochę bałam i uciekałam przed nim.

- Daria - mówił surowo - niech Daria zaczeka.

Gdy byłam mniejsza, brał mnie po prostu pod pachę, mimo że się wrywałam i wierzgałam nogami, sadzał przy stole i uczył katechizmu. Potem, gdy podrosłam, zwracał się do mnie: Daria Aleksandrowna... Gdyby mój stryj to słyszał, z pewnością dostałby zawału. Nienawidził wszystkiego, co mu się kojarzyło ze Związkiem Radzieckim. Nie trafiało mu do przekonania, że narody takie jak białoruski zo-

stały zniewolone i siłą wtłoczone pod tę nazwę. Naród białoruski dobry jest i potulny, mawiała babcia, tylko Litwini to najgorsze zło świata. Wyrastałam w nienawiści do wszystkiego co litewskie jedynie dlatego, że matka babci, a moja prababka, zaznała krzywdy od Litwinów. Stryj nie przyjmował do wiadomości, że jestem w połowie Białorusinką, po matce, dla niego byłam córką jedyne go brata, którego zamordowali komuniści.

Nie miałam szczęścia do rodziców, byłam pogrobowcem; kiedy się urodziłam, mój ojciec już nie żył. Zrobiono na niego obławę, ktoś widocznie musiał donieść, gdzie się ukrywa. Były nawet takie głosy, że to babcia go wydała za to, że zbałamucił jej córkę. Ale jak się okazało, że jego ukochana spodziewa się dziecka, przeszedł na prawosławie i wziął z nią ślub w cerkwi. Więc chyba naprawdę ją kochał. Była w piątym miesiącu ciąży, kiedy na cztery dni przed śmiercią Stalina, czyli pierwszego marca pięćdziesiątego trzeciego roku, otoczono leśniczówkę, w której się ukrywał. Ojciec wybiegł w samej koszuli i kalsonach, zupełnie jak mój dziadek, nie zdążył jednak nawet wystrzelić, seria z karabinu niemal rozetrwała go na strzępy. Matka wybiegła za nim, bosą, z rozpuszczonymi włosami, musiała to być scena jak z Grottgera. Na postrach puścili jej serię pod nogi, aż kępki zeszłorocznej trawy uderzyły ją w twarz. Nie zważała na nic, rzuciła się na zwłoki męża i zaczęła głośno zawodzić, wschodnia rozpacz objawia się niezwykle gwałtownie.

Musiałam wreszcie zejść z góry, bo rozwożono kolację, z korytarza dochodził hałas wózka i szeczeń

blaszanych misek. One wszystkie obserwowały mnie w milczeniu, a kiedy znalazłam się na dole, kobieta-maską ukloniła mi się przesadnie, do samej ziemi.

- Witaj w haremie - powiedziała.

Odepchnęła ją inna, korpulentna, o zastraszająco dużym biuście i ostrzyżonych krótko włosach.

- Jestem Agata - powiedziała niemal męskim głosem. - Dobrze zrobiłaś, że stuknęłaś tego drania. Tylko trzeba było mu przedtem obciąć jaja!

Kobieta-maską parsknęła śmiechem, za co moja rozmówczyni spiorunowała ją wzrokiem.

- Jak będziesz ludzka, to i my będziemy dla ciebie ludzkie - ciągnęła. - Tutaj się da żyć, jak wszędzie, tylko trzeba być ludzkim.

- I dawać dupy - zapiszczała Maską.

Agata zamachnęła się i z całej siły uderzyła ją w twarz, z nosa pociekła jej krew. Nie wiedziałam, jak na to zareagować, na wszelki wypadek milczałam. Z pomocą przyszła mi pani Manko, domyśliłam się, że to ona, bo była najstarsza, siwa już, o zmęczonej twarzy.

- Nie chce się wam jeść? - spytała.

Wszystkie podeszłyśmy do stołu; Maską pociągała nosem. Przysiadła się do niej ta czwarta. Wyglądała zaskakująco normalnie. Miała zwyczajną twarz, włosy związane w koński ogon. Mogłabym ją spotkać w każdym innym miejscu i pewnie nie zwróciłabym na nią uwagi, bo niczym się nie wyróżniała. Ale Iza, tak już o niej myślałam, zdradziła mi jej sekret, który zresztą nie dawał się ukryć. Ona i Maską uprawiały po nocach seks, tak chyba tylko można to nazwać, pryca podę mną wydawała przeraźliwe zgrzyty i jęki, którym towarzyszyły jęki rozkoszy, na przemian to jednej, to drugiej z nich. Mimo że ta miłość była



laka głośna, żadna z pozostałych nie reagowała na l, o, na sąsiedniej górnej pryczy leżała nieruchomo na boku Agata, jej zwaliste ciało przypominało wieloryba wyrzuconego na piasek. Zachowywała się cicho, może już spała, a może rozpamiętywała chwile spędzone z kochanką, którą właśnie zwolniono do domu.

Lubiłam swój pokój na górze, z perspektywy zatłoczonej celi wydawał się rajem. Wchodziło się do niego po krętych drewnianych schodach; kiedy chciałam uniknąć nieproszonych gości, po prostu wymykałam się przez okno na dach, a potem zsuwałam po rynnie. Zawsze wybierałam tę przy oszkłonej werandzie, wtedy babcia nie mogła mnie zobaczyć przez okno z kuchni, weranda osłaniała mnie też przed przechodniami z ulicy, z tej strony widok był na mały cmentarzyk, pośrodku którego stała stareńka drewniana kaplica, zabytek klasy zerowej, niszczący jak wszystko w tej socjalistycznej Polsce. Parafia nie miała pieniędzy, rada narodowa też nie, więc trudno, zabytek klasy zerowej niszczał dalej. Plebania zresztą także była uznana za zabytkową, z modrzewiowego drewna, o łamanym gontowym dachu i kilku mniejszych daszkach nad werandami; było ich trzy, jedna cała przeszklona, w lecie babcia spała tam na kanapie. Jej pokój przylegał do kuchni i kiedy paliło się pod płytą, cała ściana się nagrzewała, w zimie było to nawet przyjemne, w lecie, szczególnie w czasie upałów, panował zaduch, babcia przenosiła się wtedy na werandę. Moje okno wychodziło na sad, za którym wznosiła się cerkiew. W zimie widoczna była jak na dłoni, ale od wiosny do

jesieni przesłaniały ją liście drzew. Kiedy kwitły jabłonie, widziałam już tylko jej bulwiaste kopuły. Opaśywał ją niski murek zakończony żelaznymi sztachetami. Tak samo zabytkowy jak sama świątynia, począł mnie batuszka.

- Niech Daria się nie wspina - mówił z surową miną. - Może sobie zrobić dziurę w brzuchu, a i płot ucierpi!

Wszystko, co dotyczyło cerkwi, było dla niego sprawą największej wagi, na pamięć znałam historię uratowania świątyni przed zagładą. Niemcy cofali się, wojska radzieckie były tuż-tuż. No i wiadomo, punkt obserwacyjny robi się w miejscu najwyżej położonym, a najwyżej położonym miejscem w Borysówce była cerkiew, a ściślej, jej wieżyczki zakończone cebulastymi kopułami. Więc Niemcy chcieli tam ustawić karabin maszynowy. Batuszka wpadł w rozpacz, wiedział, że jeżeli Niemcy tam wejdą, Rosjanie zniszczą cerkiew. Mają te swoje katusze, ze świątyni nie pozostanie kamień na kamieniu. Więc zaczął prosić ze łzami w oczach niemieckiego oficera, żeby pozwolił chociaż odprawić modły. Niemiec ustąpił. Ale tylko do końca nabożeństwa. W czasie ceremonii Niemcy nie wchodzili do świątyni, mieli taką zasadę. Więc batuszka celebrował mszę przez trzy dni i trzy noce, wierni przychodzili i wychodzili, szli do domu odpocząć, przespać się, ich miejsce zajmowali nowi, a batuszka ciągle odprawiał modły, potem nie miał już siły stać, to modlił się na klęczkach, a potem już i podpierał się czołem. Wtedy gospodarstwem zajmowała się jego matka, dopiero po jej śmierci moja babcia wprowadziła się na plebanie. Ale mogła zaświadczyć, że tak było, bo ona i jej sio-

stry brały udział w tym nabożeństwie, chyba najdłuższym w historii naszej cerkwi. Niemcy stali na zewnątrz i czekali, oficer się denerwował, ale do cerkwi nie weszli. A czwartego dnia rano musieli się wycofać. Pojawili się Rosjanie, cerkiew ocalała.

Maska i jej przyjaciółka nasyciły się już sobą, któraś z nich głośno chrapała przez nos. Pochrapywała też pani Manko, tylko Agata zachowywała się cicho, zbyt cicho, aby wyglądało to na sen. I nie pomyliłam się, w pewnej chwili usłyszałam podejrzanę pociągnięcie nosem, a potem następne. Ona płakała.

Któregoś dnia, kiedy wróciłam ze szkoły, zastałam na plebanii eleganckiego starszego pana, zwróciłam uwagę na jego laskę z kościaną rączką. Siedząc przy stole, wspierał na niej dłoń.

- To jest nasza Daria - powiedziała babcia z uśmiechem.

A on patrzył na mnie bez uśmiechu.

- Nie widzę najmniejszego podobieństwa - stwierdził.

- Bo ona poszła w matkę - odrzekła skwapliwie babcia - ale ojciec ją uznał, ma po nim otczestwo...

Starszy pan skrzywił się, jakby rozgryzł coś gorzkiego.

- Podejdz do mnie bliżej, dziecko - zakomenderował, ale ja nie ruszyłam się z miejsca.

Babcia szturchnęła mnie w bok i pchnęła lekko w jego stronę. Postąpiłam krok i znowu się zatrzymałam. On wtedy wychylił się i chciał przyciągnąć mnie laską, ale się wywinęłam i uciekłam do siebie na górkę. Babcia przyszła tam za mną.

- Wstydu się zawsze przez ciebie nałykam - po-

wiedziała. - To jest twój stryj, brat rodzony twojego ojca. Wrócił dopiero co z Anglii. I chce na ciebie płać. Za twoją szkołę, a potem studia.

- Szkoła jest za darmo!

- Wymyśliła - fuknęła babcia. - A buty? A ubranie? To co? Goła masz chodzić?

- Ty mi wszystko szyjesz.

Broniłam się przed wtargnięciem tego człowieka w moje życie, jakbym już wtedy przeczuwała, że pośrednio przyczyni się do mojej zguby. Bo przecież pistolet, z którego strzeliłam do swojego męża, był jego własnością. Trzymał go latami w skrytce w gabinecie, ale kiedyś podpatrzyłam, jak go wyjmuje, oliwi i z powrotem chowa. Stryj wywędrował z Polski w trzydziestym dziewiątym roku przez Rumunię, potem walczył pod komendą generała Maczka, tak jak generał osiadł w Anglii. Kiedy reżim komunistyczny trochę popuścił, postanowił wrócić do Polski, aby odszukać swoją jedyną krewną, czyli mnie. Kupił sobie pół willi na Malczewskiego za oszczędności swojego życia. Emeryturę płaconą w funtach przez rząd Jej Królewskiej Mości przeliczano mu tutaj na złotówki po oficjalnym kursie, więc otrzymywał marne grosze. Ale nie chciał stąd wyjeżdżać, uważając, że musi się mną zaopiekować. Jego zdaniem do matury powinnam była pozostać w swoim środowisku, przy boku babci, ponieważ potrzebowałam kobiecej ręki. Na studia miałam przyjechać do Warszawy i zamieszkać u niego, tak aby mógł sprawować nade mną pieczę. Taka była umowa pomiędzy nim a moją babcią. I powinnam być mu wdzięczna, że mnie nie chciał na siłę przeflancować do Warszawy tuż po swoim powrocie. Miałam wtedy czternaście lat i z pewnością bym go za to znienawidziła. Potem, już

jako osobę dorosłą, wiązały mnie z nim przyjazne stosunki. Dniem triumfu była dla niego data ukazania się tomu opowiadań, którym zadebiutowałam. Myślałam, że się staruszek popłacze. Był taki ze mnie dumny. To, że tu teraz jestem, to dla niego klęska, być może nawet większa niż dla mnie. Zamienił życie lepsze na gorsze, przyjechał do komunistów, których szczerze nienawidził i którzy go okradali z tych paru emeryckich funtów, tylko po to, aby mieć mnie na oku. Jako człowiek starej daty, żołnierz i dżentelmen uważał, że jego obowiązkiem jest zająć się córką jedyne go, nieżyjącego już brata. Bardzo się zresztą od tego brata różnił, do końca pozostał starym kawalerem, był abstynentem, nie palił. Pasją jego życia to kolekcjonowanie znaczków, ale nie stać go było na tak kosztowne hobby, długi czas miał przecież mnie na utrzymaniu. Dzięki niemu skończyłam studia.

W tamtym życiu dyplom mógł mi się nawet przydać, w tym był raczej bezużyteczny. To był świat nieprzystawalny do świata za murem. Tutaj liczyły się inne talenta i inne umiejętności, przede wszystkim spryt i zdolność adaptacji, a u mnie było kiepsko i z jednym, i z drugim. Iza musiała być dobrym psychologiem, bo od razu to odkryła. Ja sama zresztą niewiele teraz o sobie wiedziałam, te dwa lata to był taki dziwny czas w moim życiu. Trwanie w letargu, zupełnie jakby mój organizm funkcjonował na poziomie organizmu żaby, jakby moje serce biło wolniej. Nikt mnie nie odwiedzał oprócz adwokata, do czasu zapadnięcia wyroku wizyty były zresztą zabronione, stryj pisał do mnie listy. Krótkie, rzeczowe, ani jednego słowa komentarza na temat tamtego dnia. Teraz prawdopodobnie uzyskałby widzenie ze mną,

tyle że długa podróż mogłaby się okazać dla niego za trudna, on miał już prawie dziewięćdziesiąt lat.

To kobiece więzienie położone było w południowo-zachodniej części Polski. Po wielogodzinnej jeździe więzienna furgonetka skręciła z głównej drogi w polną, pełną wybojów i nierówności. Po obu jej stronach rosły stare, bezlistne o tej porze roku drzewa; pomyślałam, że stanowią swoisty szpaler powitalny na mojej nowej drodze życia. Po zaoranej i ściętej przymrozkiem ziemi kroczyły majestatycznie gawrony, część z nich obsiadła przydrożne gałęzie. Nigdzie nie widać było ludzi. A potem z daleka zobaczyłam kompleks starych ponemieckich budynków otoczonych murem. Sprawily na mnie przygnębiające wrażenie. Kiedy furgonetka stanęła przed bramą pokrytą odpryskami rdzy, zupełnie jakby odpadała z niej zużyta skóra, obejrzałam się i jeszcze raz popatrzyłam na drzewa. Pomyślałam, że zanim zobaczę na nich liście, będę już starą kobietą. A może nawet nie starą, ale inną. Inną kobietą, innym człowiekiem. Już nie pamiętam swoich dawnych ubrań. Noszę teraz bawełnianą szarą bluzę, taką samą spódnicę i bawełniane pończochy. Żadnych gumek, sznurowadeł, tasiemek, niczego, na czym przyszlaby mi ochota się powiesić. Strażniczka przyjrzała się nawet kawałkowi włóczki, którym związuję włosy, kazała mi go zdjąć i pokazać, ale oddała z powrotem. Włosów mam tak samo dużo jak przedtem, ściemniały, nie są już jasne na końcach, można określić ich kolor jako kasztanowy. A twarz, nie wiem, jaka jest teraz, myję ją mydłem i używam kremu nivea. To cała moja toaleta poranna i wieczorna. Wyjdę stąd z tuzinami zmarszczek, ale wygląd nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Chcę przetrwać jako człowiek.



Przez trzy dni pozostawałam w celi, podczas gdy inne więźniarki wychodziły zaraz po śniadaniu do pracy i wracały około piątej, obiad jadłam więc sama. Cofałam się myślami do przeszłości, jak na początku w areszcie. Nie poszukiwałam już odpowiedzi na pytanie, jak to wszystko było możliwe, zrozumiałam, że jednoznacznej odpowiedzi nie ma. To teraz przypominało raczej przewijanie taśmy z podglądem, a nuż odnajdzie się jakiś istotny, pominięty wcześniej szczegół...

Scena nad jeziorem, to wynurzenie się Wenus z wody, to był z pewnością początek naszej gry. Dziewczyna zniknęła nam z oczu, a my poszliśmy do łóżka. Wtuliłam się w ramię Edwarda.

- A jak ją rozpoznam w ubraniu? Skąd będę wiedział, że to ta sama?

Po tych słowach uczułam wyraźne ukłucie w pierś, to była taka igielka lęku.

- Ja ci ją odnajdę - odrzekłam.

I wypatrzyłam ją w stołówce, siedziała przy stoliku w rogu, miała na sobie czarną obcisłą bluzkę z głębokim dekoltem i cygańską spódnicę. Towarzyszył jej mężczyzna z pokaźną łysiną, w okularach.

- Jest tam - powiedziałam, wskazując kierunek głową.

Edward obejrzał się.

- Skąd wiesz, że to ona?

- To musi być ona - odpowiedziałam z naciskiem.

Upił z wyszczerbionego porcelanowego kubka duży łyk kawy.

- Wchodzisz do gry? - spytał na pozór obojętnie, ale wyczuwałam jego podniecenie.

- Wchodzę.

- Ile mam czasu?
  - Do naszego wyjazdu.
- Przeciągle zagwizdał.
- Dajesz mi fory.
  - Z rozmysłem - odrzekłam.

Czwartego dnia strażniczka zakomunikowała mi, że mam iść na rozmowę z wychowawcą.

- Z panią wychowawcą? - spytałam, chcąc się upewnić, ale nie odpowiedziała.

Prowadziła mnie przez ten sam labirynt korytarzy, aż do kraty oddzielającej blok administracyjny. Serce biło mi mocno, zupełnie jakby za chwilę miało mnie spotkać coś niezwykłego. Klawiszka wpuściła mnie do niewielkiego pomieszczenia, w którym stało tylko biurko i szafa pancerna i w którym ostatnio rozmawiałam z Izą. O ile ona naprawdę tak miała na imię. Z emocji pociły mi się ręce. Czekałam kilkanaście minut, zanim usłyszałam kroki. I już wiedziałam, że to ona.

To była ona. Jak poprzednio w mundurze, ale, co mnie zdziwiło, na wysokich obcasach. Włosy upięła w koczek na czubku głowy, niewielkie pasemko osunęło się jednak na kark. To uczesanie zmieniło jej twarz, jej uroda stała się olśniewająca. Co ona tu robi, pomyślałam zdumiona.

Usiadła za biurkiem, szukała papierosów, potem zapalniczki, otworzyła teczkę, w której zamknięty był mój los, i wreszcie spojrzała na mnie. Zobaczyłam jej oczy o złocistych nakrapianych tęczęwkach.

- No i jak, okay? - spytała.
- Nie pożarły mnie żywcem - odparłam.

Jej usta drgnęły w niedostrzegalnym uśmiechu, zauważyłam, że z prawej strony pod dolną wargą



ma małą brodawkę, która nie była jednak skazą, dodawała jej powabu.

- Pan naczelnik wziął pod uwagę moją sugestię i przydzielił cię do pracy w bibliotece. Możesz tam chodzić już po śniadaniu, ale obowiązkowo musisz przebywać w czasie wolnym dla więźniów. Z celi będzie cię zabierała funkcjonariuszka K. O., przeprowadzi cię przez posterunki na piętrach i wpuści do świetlicy. Czy to ci odpowiada?

- Tak. Czy dostanę klucze do ręki?

Iza była wyraźnie zaskoczona moim pytaniem.

- Po co ci klucze?

- Będę chyba odpowiedzialna za księgozbiór?

Roześmiała się.

- Jest tutaj co prawda parę złodziejek, ale książki to ostatnia rzecz, jaką chciałyby ukraść. Masz jeszcze jakieś pytania?

- Nie.

- Świetnie. No i będziemy się spotykały, w ramach resocjalizacji. Chcemy, żebyś wróciła do społeczeństwa w miarę normalna. Chcemy ci pomóc. Ja ci chcę pomóc.

- Świetnie - odpowiedziałam.

Ona spojrzała na mnie szybko.

- Żarty sobie robisz? Jeżeli tak, to ci nie radzę. Już na samym początku dałaś plamę, zaatakowałaś strażniczkę. Dlatego siedziałaś w pojedynce cztery dni zamiast jednego.

- Naruszyła moje dobra osobiste - odrzekłam ostro.

Skrzywiła się na to.

- Dobra osobiste, dobre sobie - powiedziała. - Więzień nie ma żadnych dóbr osobistych oprócz

własnej dupy i o nią przede wszystkim powinien się troszczyć.

- Nawet kiedy szuka mu się wszy, których nie ma!  
Pani wychowawca zaciągnęła się dymem.

- Nasza Elunia jest służbistką, jednakowo traktuje wszystkich - powiedziała ugodowo. - A trafiają się takie egzemplarze, co mają żyłatek pod dostatkim. Nie tylko w górnej fryzurze, ale i w dolnej.

- Mogła mi uwierzyć na słowo - stwierdziłam, ciągle jeszcze najeżona.

- Mogła - uśmiechnęła się Iza. - Toteż nie wpiśaliśmy ci tej niesubordynacji do akt.

Zapaliła kolejnego papierosa.

- A jak tam stosunki z Agatą?

- Poprawne.

- Uważaj na nią, bo to swołocz.

- Płakała w nocy - rzekłam bez zastanowienia i zaraz ugryzłam się w język, to mogło wyglądać na donos.

Iza pominęła milczeniem moją niefortunną uwagę i ciągnęła dalej.

- Osobiście wolałabym dla ciebie inne towarzystwo, ale tak zdecydowała komisja. Zresztą wszędzie jest jakaś kanalia, w każdej celi. Ale ona wszystkim nam zalazła za skórę. Bywało, że wracając z przepustki przemycała w pochwie po kilka paczek herbaty, karton papierosów, kawę, wszystko dla swojego haremu.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam, o jakiej pochwie mówi, a potem ogarnęło mnie zdumienie.

- Mówię ci to, żebyś miała pojęcie o panujących stosunkach. Ja stać zresztą na wszystko, rok temu była tu cała afera, bo Agata namówiła kilkanaście więźniarek do gwałtu na jednym facecie. W naszym

zakładzie krawieckim, ale poza terenem, coś się zepsuło w rurach i przysłał hydraulika. Kiedy zszedł do piwnicy, Agata wydelegowała do niego młodą i ładną dziewczuchę, ten się podniecił, wtedy dopadła go reszta, zawiązały mu członka u nasady, żeby zachował wzwód, i gwałciły po kolei. Biedak wylądował w szpitalu.

- Przecież ona... nie lubi mężczyzn.

- I dlatego się zemściła, podobno stała i patrzyła, jak inne to robią. To jest prawdziwa swołocz.

Zgasiła papierosa i sięgnęła po następnego, miałam taki odruch, żeby wyrwać go jej z ręki.

- Jak jestem zmęczona, palę - usprawiedliwiła się.

Jeżeli wszystko, co mówiła, było prawdą, wyglądało na to, że polskie więziennictwo zajmuje się przede wszystkim hodowlą lesbijek. Trafiłam tu, bo złamałam prawo i zasłużyłam na surowy wyrok, byłam gotowa go odsiedzieć, ale w więzieniu, nie w burdelu. Iza nie musiała wprowadzać mnie w szczegóły, wystarczyło to, co się działo w mojej celi. Te dwie kobiety pode mną pieprzyły się pół nocy, a wczoraj Agata zawezwała jedną z nich na swoją prycę. Poszła ta z końskim ogonem. Staralam się nie słuchać, co się tam dzieje, ale trudno się odizolować na tak bliską odległość. Na szczęście wszystko trwało krótko, dziewczyna ugrzęzła z głową pomiędzy potężnymi udami Agaty, te uda chwilę podrygiwały, a potem całe cielsko wyprężyło się, wydało głuchy pomruk i rozluźnione opadło na plecy.

- Won na dół - padła krótka komenda i dziewczyna posłusznie ją wykonała.

- To na razie tyle - powiedziała Iza. - Zaaklimatyzuj się najpierw w naszym babińcu, a potem współ-

nie zastanowimy się nad twoim życiem, pomyślimy, jak je posklejać, naprawić.

Babiniec, pomyślałam ponuro. Wina i kara, poczucie sensu kary, w który wierzyłam przez ten cały czas, bardzo się w ciągu tych paru dni zachwiało.

Moje współtowarzyszki wychodziły rano, pozostawałam sama. Strażniczka, która miała mnie zaprowadzić do biblioteki, jakoś się nie pokazywała. Tutaj nikt się nie spieszył, tutaj wszyscy mieli dużo czasu.

Dowiedziałam się, że łysawy partner przy stole to mąż naszej jasnowłosej. Nazwałam ją w myślach Jasnowłosą. Oboje byli socjologami i pracowali podobnie jak Edward w Polskiej Akademii Nauk, ona nawet miała wyższy stopień naukowy od swojego męża. Postarałam się, aby nas im przedstawiono, a Edward, przejmując inicjatywę, zaprosił ich na brydża. Przynieśli ze sobą koniak. Siedzieliśmy we czworo przy stoliku, nasze spojrzenia się krzyżowały. Ci dwoje nie mieli pojęcia, że chcąc tego czy nie, biorą udział w grze podwójnej. Ja rozdawałam karty w obu. Przy brydżu byłam partnerką męża Jasnowłosej. Edward siedział naprzeciw niej. Ich oczy przekazywały sobie informacje nie tylko związane z brydżem. Podobasz mi się - komunikował jej mój mąż. - Co ty na to. Ona nie kwapiła się z odpowiedzią, więc przekazał mi wzrokowy sygnał: chyba kłapa. A ja mu na to odpowiedziałam: próbuj dalej. To był moment, kiedy w jego wzroku wyczytałam pytanie: zastanów się, czy tego naprawdę chcesz. Moja odpowiedź brzmiała: tak. Rozegraliśmy dwie partie, obie wyegraliśmy z mężem Jasnowłosej. Biedak, pomyślałam. Ma szczęście w kartach...

Piliśmy koniak, a potem jeszcze naszą wódkę. Okazało się, że mąż Jasnowłosej ma słabą głowę, upił się, plótl głupstwa, jej było wstyd. Chciała go odprowadzić do ich domku kempingowego.

- Ja odprowadzę pani męża - zaofiarowałam się.  
- Edward ma ochotę na spacer, proszę mu towarzyszyć.

Szedł ze mną bez oporu, milczący, potulny. Ja też milczałam. To, że oni zostali tam sami... Nie chciałam się przed sobą przyznać, że jestem zazdrosna. Nie potrafiłam siebie zrozumieć; dlaczego z takim uporem pchałam Edwarda w ramiona tej kobiety. Czy liczyłam na to, że będzie się opierał? Kiedy wróciłam, ich nie było. Usiadłam na schodkach przed domkiem i patrzyłam na jezioro, które wyglądało teraz jak czarna otchłań. To, co czułam, to była nienawiść. Tylko do kogo? Do siebie? Do nich razem? Czy do każdego z osobna? Siedziałam tak dosyć długo, zaczynało się rozwidniać, mżył drobny deszczyk. Nad brzegiem unosiła się matowa, podobna do papierosowego dymu mgła. W pewnej chwili wyłoniła się z niej czyjaś sylwetka. To wracał Edward. Usiadł obok mnie na schodkach.

Wyjął paczkę gauloisów, swoje ulubione papierosy, kupował je za dolary w peweksie. Z namaszczeniem włożył jednego do ust.

- No i co? - spytałam, gdy cisza się przedłużała.  
- Załatwione.  
- Co załatwione? - nie potrafiłam chyba zapanaować nad swoim głosem.

Edward milczał.

- Odpowiedz na moje pytanie!  
- Odpowiedz sobie sama - odrzekł i podnosząc się gwałtownie, wszedł do środka.

Wbiegłam tam za nim i schwyciłam go za klapy kurtki.

- Odpowiedz na moje pytanie! Odpowiadaj, kiedy cię pytam! - wrzeszczałam.

Ujął mnie brutalnie za przeguby rąk i odtrącił.

- Nie musiałem jej gwałcić jak własnej żony!

Przeżyłam moment niezwykłego wzruszenia, kiedy ta kulturalno-oświatowa funkcjonariuszka, kurdupel w silnych okularach, za którymi ginęły jej oczy, zaprowadziła mnie do skrzydła, w którym mieściła się więzienna biblioteka. Po drodze nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa, w nic mnie nie wprowadziła, była tylko taką przewodniczką, moim więziennym cicerone. Minęliśmy kilka posterunków, zanim się znalazłam w pomieszczeniu wypełnionym regałami. Obok była świetlica, w której stało kilka stolików oraz stojak na gazety i czasopisma, a jeszcze dalej dyżurka, można z niej było obserwować, co się dzieje w obu pomieszczeniach. Siedziała tam klawiszka, do której obowiązków należało obserwowanie zachowań więźniarek podczas tak zwanego czasu wolnego. Gdyby działo się coś niepokojącego, była zobowiązana natychmiast wkroczyć. Weszłam pomiędzy regały, by zgubić ją z oczu, oparłam się twarzą o grzbiety książek i przymknęłam powieki, wdychałam znajomy zapach kurzu i starego papieru, zapach zapomniany. To była chwila prywatności, tak bardzo mi teraz potrzebna.

Pierwszą książką, którą wyjęłam z półki, byli *Trzej muszkietierowie*. Przykucnęłam przy regale i przeczytałam: „Trzy rady pana D'Artagnana ojca”, łyzy przesłoniły mi druk. Przypomniałam sobie mo-

ment, kiedy czytałam te słowa po raz pierwszy. Miałam wtedy czternaście lat, właśnie zaczęły się wakacje. Koleżanka pożyczyła mi powieść Dumasa; narwałam sobie wiśni w sadzie za plebanią, a potem w przezroczystej szklanej misce zaniiosłam na górę do pokoiku. Leżąc na brzuchu, jadłam wiśnie i zaczytywałam się w przygodach młodego D'Artagnana.

Z przerwą na obiad spędziłam cały dzień w bibliotece, aż do wieczornego apelu. A potem zaprowadzono nas do łaźni, trzeba było oddać rzeczy do prania i dobrać sobie nowe; to też było tutaj nie do zniesienia: stale się dostawało ubranie po kimś, co prawda było wyprane, ale cudze. Więźniarki zaawansowane stażem mogły mieć własne rzeczy i wkładać je na widzenia z rodziną, ale mnie to nie dotyczyło. Łaźnia znajdowała się na samym dole, w piwnicy. To było pomieszczenie z prysznicami, miało drewnianą szczebelkową podłogę, położoną wprost na cemencie. Kazano nam zostawić rzeczy w szafkach i kolejno wchodzić do łaźni. Bardzo mnie to krępowało, bo musiałam przy innych rozebrać się do naga, na szczęście były same kobiety, pilnowała nas strażniczka. Przebiegłam boso po kamiennej posadzce w korytarzu, czując zimny powiew na plecach, ale pod prysznicami przymocowanymi pod sufitem na rurze było ciepło, bo puszczano gorącą wodę; małe okienka od razu pokryły się parą.

Namydliłam całe ciało przydziałowym, najtańszym mydłem i z rozkoszą weszłam pod gorący strumień. Potem umyłam\* włosy, spłukując je, miałam uczucie, że jestem obserwowana. Odwróciłam głowę i zobaczyłam Agatę, stała tuż obok, wlepiając we mnie

oczy, odruchowo zakryłam rękoma piersi. Ona sama wyglądała karykaturalnie, jej ciało przypominało bezkształtny worek, do którego doczepione były dwa rozdęte bukłaki spoczywające na brzuchu, uda miała tak nalane, że musiała stać w rozkroku. I jeszcze do tego okrągła, jakby obrysowana cyrklem głowa. Spół, w jaki na mnie patrzyła, napełnił mnie lękiem. Instynktownie wyczuwałam, że to oznacza dla mnie coś bardzo niedobrego. Wyszłam spod prysznic a okręcając się ręcznikiem, pobiegłam do szatni, cały czas czując na plecach jej wzrok. Na szczęście nie wróciła z nami, gdzieś się zawieruszyła po drodze, mimo że po apelu wieczornym więźniarkom nie wolno przebywać poza celą. Weszłam na swoją pryczę, kąpiel bardzo dobrze mi zrobiła. To był pierwszy znośny dzień tutaj.

Zasypiałam w dobrym nastroju. Śniło mi się, że siedzę na drzewie, które wichura wrywa z korzeniami, drzewo przechyla się coraz bardziej, zaraz upadnie. Przerażona otwieram oczy, ale sen trwa nadal, czuję przygniatający mnie pień. W sekundę później pojmuję, że to ciało Agaty.

— Won stąd - szepczę jadownicie, ale ona chyba mnie nie słyszy, jest jak w transie, być może nawet pod działaniem narkotyku. Wypowiada w półprzytomne słowa: tak, tak... ty najśłodsza... słowiczku... rybeńko... Czuję zapach nikotyny pomieszany z nieświeżym oddechem. Chcę się uwolnić, ale nie mam żadnych szans. Ona napiera na mnie tym swoim potężnym cielskiem, jej spocona twarz świeci w półmroku. Wilgotne usta dotykają mojego policzka, a potem czuję je na wargach, odwracam głowę ze wstrętem. Chwilę mocujemy się, ona jest jednak sil-



niejsza, boję się, że uszkodzi mi szyję. Usiłuję bronić się, wpijając paznokcie w jej policzki, otrząsa się jak od ukąszeń komara, śmieje się chyba. A potem nagle Agata przemieszcza się z głową pomiędzy moje uda, swoimi ściska mi skronie tak, że czuję się jak w klezczach, zaczyna brakować mi powietrza, jej potężny owłosiony srom znajduje się na wysokości moich ust. Czuję jej język, wilgotny i miękki, omiata przestrzeń pomiędzy moimi udami, które rozwarła mi na siłę. Ogarnia mnie uczucie rozleniwienia, przemieniające się z wolna w coś na kształt seksualnej przyjemności. Przeżywam płaski, żalostny orgazm, nie mogąc mu w żaden sposób zaradzić. Tym trudniej jest mi teraz znieść pieśczęty tego potwora. Jej język stał się nagle twardy i szorstki, coraz głębiej wdziera się we mnie. Z niejakim zdumieniem odnotowuję jego wymiary. Boli mnie to, ale nie mogę wykonać najmniejszego ruchu. To ona o wszystkim decyduje, ona wyznacza czas tej potwornej sceny. Narasta w niej podniecenie, jej ciało przygniata mnie coraz mocniej, Z wolna pogrążam się w dusznej, lepkiej ciemności. Te wszystkie odgłosy, te młaśnięcia, jęki, sapania poczynają się oddalać. Kto wie, czy nie zadusiłaby mnie swoja cipą, gdyby jej miłosne spełnienie nadeszło o chwilę później. Bełkocząc nadal te swoje czułe słówka: rybeńka... kociątko, które w jej ustach brzmiały szczególnie plugawie, poczęła się wycofywać. Kiedy już się na dobre wyniosła, pomyślałam, że po raz kolejny sprawdziły się przestrogi Izy. Ale ja przecież zawsze byłam gwałcona. Bałam się tego. Więc nadchodziło. Być może to, co przed chwilą miało miejsce, było tylko kontynuacją mojego życiowego pecha. Gdybym kiedyś jako młoda dziewczyna nie wygląda-

ła przez okno na plebanii, być może nie zatrzymałby się pod nim mężczyzna, który mnie wprowadził w inny wymiar miłości. Zawsze już potem takiej poszukiwałam.

Nie mogłam zasnąć do rana, marzyłam o jakiejś toalecie. Z pewnością wiadro na wodę było puste, te dwie z dołu chlapały się tam do późna w noc, mimo że ze wszystkimi brały prysznic. Zresztą i tak nie miałabym siły zejść ze swojej pryczy. Ogarnęła mnie fizyczna niemoc, wszystko się we mnie trzęsło, drżało, jakbym za chwilę miała się rozpaść. Wycierałam śliną twarz, ale ciągle wydawałam się sobie brudna. Dobiegło mnie głośne chrapanie z pryczy obok. To Agata. Zupełnie jak prosty chłop, kiedy poużywa sobie z babą. Tyle tylko, że narzędziem gwałtu stał się jej język. Musiałam coś wymyślić, żeby się to nie powtórzyło, musiałam za wszelką cenę temu zapobiec. Wiedziałam, że inne więźniarki nie ujmą się za mną, one się jej panicznie bały. W każdym wypadku przegrywałam z nią fizycznie. Nie przychodził mi do głowy żaden pomysł, jak mogłabym się przed nią obronić. Jedno było pewne, drugiej takiej miłosnej sceny z Agatą nie zniosę psychicznie. Koszmar, który można przeżyć raz, za drugim razem zabija. Nie mogłam złożyć na nią skargi, Iza mnie przed tym przestrzegала, ale to wiedziałam i bez niej. Sama musiałam uporać się ze swoim problemem. Tylko jak? W jaki sposób?

Nadchodził świt, zakratowane okno pojaśniało na tle ciemniejszej teraz ściany, rzucając na podłogę przez filtr firanki różową poświatę. Życie na różowo, pomyślałam.

Bałam się chwili, gdy ja i ona spotkamy się oko w oko. Jak mam się zachować? Udawać, że nic się nie stało? Takie moje zachowanie ona może potraktować jako zachętę. Więc wydać jej wojnę? W jaki sposób? Podejść i walnąć ją w pysk? Odda mi tak, że się nie pozbieram. I niczego to nie zmieni. Ona będzie górą. Zaszantażować ją czymś? Ale czym? To był babsztyl kuty na cztery nogi, siedziała tu długo i nie po raz pierwszy. Znała wszystkie układy, układziki. Miała chyba jakieś zblatowane strażniczki, bo nie bała się przebywać poza celą po wieczornym apelu. Ciekawe, gdzie wtedy była? Zaraz... jej zachowanie ostatniej nocy, pomijając seksualne podniecenie, wydało mi się dziwne, nienaturalne, zupełnie jak po narkotyku. Może ona ćpa? Należałoby przyjrzeć się jej żyłom. Jeżeli ma na rękach jakieś ślady, to jestem uratowana.

W celi zaczął się ruch, dyżurna poszła wynieść nieczystości i wzięła wiadro na wodę. Miałam rację, nie było w nim ani kropli. Agata zeszła z pryczy ostatnia. Bałam się na nią spojrzeć. Usłyszałam, jak Maska mówi do niej:

- Aga! Co ty masz na cyferblacie? Na drut kolczasty wlażłaś?

Teraz i ja popatrzyłam na nią. Cała jej twarz upstrzona była czerwonymi cętkami, jak po świeżo przebytej ospie. To były ślady po moich paznokciach. Pod oczyma miała żółtogradowe sińce, policzki obwisły jej jak u buldoga. Ona ćpa, pomyślałam i wstąpiła we mnie odrobina nadziei. Nie mogłam sprawdzić, czy ma ślady po igłach, bo ręce miała osłonięte rękawami. Ale jej wygląd mówił sam za siebie. Na wolności zażywanie narkotyków nie było

karalne, ale w więzieniu to co innego. Ktoś je musiał tutaj przemycać, a gdyby się wydało kto, rozpętałyby się afera.

W czasie śniadania Agata usiadła w taki sposób, aby nasze oczy się nie spotkały. Wyraźnie mnie unikała, co dobrze rokowało na przyszłość. Oczywiście nie powinnam przeceniać jej obecnego zachowania, ktoś taki jak ona nie miewa wyrzutów sumienia, jedynie chwile złego samopoczucia. Jak przyjdzie jej ochota, ponowi swoją wizytę, nie tej nocy, to następnej, ale ja już chyba odkryłam odpowiedni sposób obrony.

Zaraz po śniadaniu zgłosiłam się do strażniczki na piętrze i zameldowałam chęć udania się do biblioteki. Kazała mi wrócić do celi i czekać. Po jakimś czasie pojawił się ten kurdupel w okularach i kiwnął na mnie głową, o żadnej kulturze nie mogło tu więc być mowy. Ruszyliśmy zwykłą drogą. Tym razem w dyżurce siedziała stara znajoma, Myszowata, przeglądała jakieś kolorowe pismo, w okularach jeszcze bardziej przypominała polną mysz.

Zajęłam się porządkowaniem ewidencji księgozbioru, przeglądałam karty czytelników. Najczęściej wypożyczano książki Fleszarowej-Muskat. Ale natrafiłam na całkiem ciekawy zestaw tytułów: *Pani Bouary*, *Zbrodnia i kara*, *Sennik współczesny*. Więc nawet Konwicki, autor niegdyś zakazany. Spojrzałam na nazwisko czytelniczki i serce żywiej mi забиło. Izabella Poźniak. To musiała być ona, Iza. Bo w nawiasie widniał skrót „per. ”, co oznaczało, że to ktoś z personelu. Przyszło mi też do głowy, że może jest tu któraś z moich książek. Poszperałam w fiszkach. Była. Daria Kalicka, *Stary i inne opowiada-*

nia, przeczytałam. Mój debiutancki tomik. Czy znajdę go na półce? Podeszłam do regału, gdzie znajdowali się autorzy na literę „k”. Stał na półce obok kilku powieści Kraszewskiego i wierszy Marii Konopnickiej, innych autorów na literę „k” nie było. Trzymałam ten cieniutki tomik w ręce jak coś najbardziej drogiego. Od niego się przecież wszystko zaczęło.

Nie powstało mi w głowie, że mogę zostać pisarką. Po prostu, przyjechałam na plebanię przepisywać pracę semestralną, byłam na drugim roku studiów. Zataczałam na górkę starą, zdezelowaną maszynę do pisania, której od lat nikt nie używał i waliłam po nocach w klawisze. Zupełnie nieoczekiwanie pewnej takiej nocy wystukałam na marginesie zdanie: „Idąc śpiewał”. Przyjrzałam się mu i dopisałam drugie: „Ludzie stawali. Patrzyli. Śpiewa - mówili. ” I tak powstało opowiadanie:

### „Stary”

*Idąc śpiewał. Ludzie stawali. Patrzyli.  
Śpiewa - mówili.  
A gdzie on idzie?  
Mówią, że Jadźka wróciła.  
Jadźka wróciła? A Stary wie?  
Wie, idzie po nią na stację.  
A co on wie?  
Powiedzieli mu, że Jadźka wróciła. Włożył kapotę  
i idzie po nią na stację.  
Czapkę z głowy zdjął. Siwa czupryna na oczy mu  
spada, a on idzie i śpiewa.  
Co powiedzieli Staremu o przyjeździe Jadźki?  
No, że wróciła. Że siedzi na stacji.*

*Bez słowa zdjął kapotę z kołka i teraz jest w drodze. Stary, jak mu się córka urodziła, dał jej imię Sołtysowej żony.*

*Sołtys do gospody poszedł, popił zdrowo. Potem przed domem Starego stanął. Stary z domu wyszedł, o płot się oparł.*

*- Daleś córce Jadwiga? -pyta Sołtys.*

*- A dałem... - odpowiada Stary.*

*Sołtys się na to odwrócił i poszedł. Na konia wsiadł, ale nie ujechał daleko. Potem długo z łóżka nogi zdjąć nie mógł.*

*Na wiosnę wszyscy wiedzieli, że Stary do Sołtysa idzie. Sołtysowa żona ze stołu zmiotła, wódkę postawiła. Sołtys się z łóżka zgrabał, przysiedli na ławie.*

*A Stary mówi:*

*- Napijmy się, Sołtysie, bo żadnej urazy do ciebie już nie mam. Masz ty swoją Jadwigę, ja mam swoją. Co było, zapomnijmy i do przyjaźni powróćmy...*

*Ale Jadźka nie wróciła sama. Czy Stary wie, że Jadźka nie wróciła sama? Chyba nie wie, boby tak nie szedł i nie śpiewał. A on idzie i śpiewa.*

*Trzeba zatrzymać Starego. Idźcie do Sołtysa, niech wymyśli coś, aby Starego zatrzymać, bo inaczej, kiedy Stary zobaczy, że Jadźka nie wróciła sama - zabije ją.*

*Trzeba koniecznie biec do Sołtysa, niech wsiada na rower i goni Starego. Nie może się spóźnić, bo Stary zabije Jadźkę.*

*Sołtys wsiada na rower. Klnie na czym świat stoi, bo wczoraj u Witków były chrzciny i sołtys popił zdrowo. Sołtysowi ból o mało oczu nie wylupie ze łba. Sołtys klnie Jadźkę, że akurat zachciało się jej wrócić, kiedy u Witków były chrzciny. Klnie Starego,*

że po nią idzie i nic nie wie, że Jadźka nie wróciła sama. Klnie rower, że nie chce jechać po piasku.

Kiedy Sołtysa przywalilo drzewo i do szpitala go zabrali, ludzie zaczęli gadać, że do Sołtysowej Jadwigi chłopak od Szymonów chodzi. Stary do Sołtysowej żony poszedł. Bez słowa pasek odpiął i na goły tyłek kobiecie przyłożył.

Nie wpuściła więcej Jadwiga za próg Szymonowego chłopaka.

Stary wszedł już na górkę. Stamtąd widać budynki stacyjne. Stary jest już na górze i Sołtys może nie zdążyć na czas, bo łańcuch mu się poluzował. Sołtys musi zostawić rower i dalej iść piechotą. Trzeba założyć konie do wozu i podwieźć Sołtysa, bo inaczej nie zdąży na czas.

Ale wszystkie konie są w polu.

U Szymona kobyła w stajni stoi, bo zgubiła podkowę. Szymon wybierał się do Kowala, ale popił zdrowo na chrzcinach u Witków i teraz śpi w stodołę na strychu.

- Budzić Szymona! Niech kobyłę do wozu założy i podwiezie Sołtysa, bo inaczej Sołtys nie dogoni Starego, który wszedł już na górkę, skąd widać budynki stacyjne.

Sołtys ze Starym byli razem na wojnie. Kiedy Stary kulę dostał, Sołtys niósł go na plecach dziesięć kilometrów. Do wsi wrócili. Obaj do pięknej Jadwigi. Spotkali się pod jej domem.

- Moja ona! - mówi Sołtys i drogę Staremu zastępuje.

- Z drogi, Sołtysie! - mówi Stary.

Ale potem, nikt nie wie dlaczego, Stary zawrócił się, a Sołtys został.

*Soltys klnąc drapie się pod górkę, Szymon złazi ze strychu, a Stary przystanął i przysłoniwszy oczy patrzy w stronę budynków stacyjnych. Stary stoi na górze i Jadźki na stacji wypatruje. Niech Szymon prędzej złazi z tego strychu.*

*Eee, z takiej odległości Stary nic nie zobaczy, a przynajmniej nie może rozpoznać, czy Jadźka wróciła sama czy nie.*

*Ale na wszelki wypadek niech Szymon prędzej złazi z tego strychu. Stary przestał wypatrywać w stronę budynków stacyjnych i idzie dalej. Ależ on nie idzie wcale na stację! Skręcił w zagajnik przy Witkowym polu. A może Stary nie wie, że Jadźka wróciła i siedzi na stacji. Jak to nie wie. To, że wróciła, wie, tylko nie wie, że Jadźka nie wróciła sama.*

*O! Wyszedł z zagajnika, kij dębowy w rękę trzyma. Podpiera się na nim i idzie w kierunku stacji.*

*Widocznie Stary wie, że Jadźka nie wróciła sama, i tym kijem chce ją zabić.*

*Niech Szymon prędzej zakłada kobyłę do wozu, bo Soltys zasapał się i idzie coraz wolniej, a Stary jest już blisko stacji. Eee, tak blisko to nie jest. Do stacji z górki będzie ze trzy kilometry, więc jak się Szymon pospieszy, zdąży dowieźć Soltysa na czas.*

*Ładna była ta Jadźka Starego. Może nawet ładniejsza panna z niej wyrosła, niż była Soltysowa Jadwiga.*

*Chłopcy we wsi kochali się w niej na zabój, ale Stary pilnował córki. Przystąpić do dziewczyny nie dał. Jadźka zresztą wcale się za chłopakami nie oglądała...*

*Kobyła Szymona kuleje, bo wczoraj zgubiła podkowę i Szymon miał jechać do Kowala, ale popił*



zdrowo na chrzcinach u Witków i zasnął. Kobyła jest kulawa i Szymon nie może wieźć Sołtysa.

Trzeba koniecznie zatrzymać Starego. Niech chłopak od Sołtysa leci na pole i wyprzęgnie konia od pługa. Na skróty dogoni Starego w pół godziny.

Ależ to nie chłopak od Sołtysa ma dogonić Starego, tylko sam Sołtys. A Sołtys na konia nie wsiądzie, bo Sołtys ostatni raz siedział na koniu, jak były chrzciny Jadźki. To będzie dwadzieścia lat temu. Wtedy Sołtys popił zdrowo, spadł z konia i nadwreżył sobie kręgosłup. Od tej pory Sołtys nie może jeździć konno. Skoro Sołtys na konia nie wsiądzie, to niech pojedzie Szymon i zatrzyma Starego.

Szymon nie ma po co jechać, bo jedyną osobą we wsi, która może Starego powstrzymać, jest Sołtys.

Nic nie wychodzi, tylko trzeba posłać chłopaka do Komendanta. Niech Komendant da motor. Na motorze Sołtys z łatwością dogoni Starego.

Ale Sołtys nie umie jeździć na motorze.

No to Komendant może zawieźć Sołtysa. W końcu Komendantowi też powinno zależeć, żeby Stary nie zabił Jadźki. Bo gdyby Stary Jadźkę zabił, Komendant miałby niemałe kłopoty.

To niech chłopiec pędzi do Komendanta i trzeba się spieszyć, bo Stary jest już o kilometr od stacji.

Na szczęście zmęczony się widać, bo usiadł w rowie i odpoczywa.

Co Stary teraz robi?

Stary siedzi w rowie i pali skręta.

No, Komendant wyjechał na motorze, to teraz Sołtys z łatwością dogoni Starego.

Stary w rowie siedzi. Nogi przed siebie wyciągnął, kapotę rozpiął. Skręta, pali i śpiewa.

Stary pierwszy raz śpiewa od, czasu, kiedy Jadźka

uciekła. No tak, ale Stary nie wie, że Jadźka nie wróciła sama. Więc dlatego siedzi w rowie i śpiewa.

Komendant dogonił już Sołtysa. Sołtys jest dopiero w połowie górkę, bo wczoraj popił zdrowo na chrzcinach u Witków i źle mu się jakoś idzie. Zupełna katastrofa. Sołtys powiedział, że za nic nie wsiądzie na motor, bo kiedyś spadł z konia i ma chory kręgosłup, a z tyłu na siodełku bardzo trzęsie.

To niech Komendant jedzie sam i zatrzyma Starego. W końcu Komendantowi najpóźniej powinno załżeć, żeby Stary nie zabił Jadźki. Bo jak Stary Jadźkę zabije, to nikt inny, a Komendant będzie miał kłopoty.

Ależ Komendant nie ma po co jechać, bo jedyną osobą, która może Starego zatrzymać, jest Sołtys.

A Stary wstał, kapotę otrzepał i idzie dalej.

Baby we wsi nadziwić się nie mogły, żeby chłop tak koło dziecka, chodził, jak Stary koło Jadźki. Piełuchy prał. z butelki ją karmił. Żonie do malej przystąpić nie dał...

Jadźka, kiedy podrosła, chodziła za nim krok w krok. Stary cierpliwie z jej nożynami rytm trzymał. Często odpoczywali po drodze. Śpiewał jej wtedy głosem pięknym i czystym.

Przecież wczoraj do Witków na chrzciny przyjechał szwagier z miasta. Szwagier przyjechał na motorze z przyczepą, bo wiozł teściową. A rano sam wracał, więc przyczepę na Witkowym podwórzu zostawił. Niech Komendant zajedzie na podwórze do Witków, przyczepę weźmie, do przyczepy Sołtysa wsadzi i dowiezie na czas.

Ale brama u Witków zamknięta. Wszyscy w polu, a póki Witek z pola przyleci, to Stary dziesięć razy dojdzie na stację.

*Trzeba wyważyć bramę. Najlepiej zawołać Szymona, niech Szymon pomoże Komendantowi wyważyć bramę. O, jest Szymon!*

*Marnie im jakoś idzie to wyważanie. - Nic dziwnego, obaj byli wczoraj na chrzcinach u Witków. No, nareszcie...*

*Za dziesięć minut Stary będzie na stacji. Sołtys i Komendant muszą się bardzo spieszyć, jeżeli chcą zdążyć na czas.*

*Na szczęście Stary zatrzymał się, za potrzebą. Zresztą zwolnił kroku. Idzie noga za nogą, na kiju się opiera. Tym kijem Stary chce Jadźkę zabić. On chyba wie, że Jadźka nie wróciła sama.*

*Chłopiec Szymona, co medycynę w mieście studiuje, zakochał się w Jadźce. Szymon do Starego przyszedł o dziewczynę prosić.*

*Stary pomilczał i mówi:*

*~ Żle wychowałeś syna, Szymonie. Na cudze żony on lasy. Do Sołtysowej Jadwigi chodził, kiedy jej męża do szpitala wzięli. Nie oddam mu Jadźki!*

*Motor Komendanta zakopał się w piachu i stanął. Nawet na górkę nie wjechali. Teraz już nie zdążą.*

*Stary właśnie wszedł na stację.*

*Trzeba zawiadomić Proboszcza. Niech każe bić w dzwony.*

*Nieszczęście wisi w powietrzu.*

*Proboszcz daje klucze od dzwonnicy organiście. Organista sapiąc idzie po schodach, bo całą noc grał u Witków na chrzcinach. Zaraz zacznie dzwonić...*

*Jadźka rano przyjechała, a tu już się wieczór zbliża. Siedzi w poczekalni. Chustką ramiona owinęła.*

*Stary podchodzi kulejąc. Na kiju się oparł.*

*Stary milczy i Jadźka milczy.*

- No, Jadźka! - mówi w końcu Stary. - Wróciłaś, Jadźka, i to nie sama wróciłaś!

Jadźka z ławki się podniosła, lży jak groch po polickach jej leca.

Stary czuprynę siwą z oczu odgarnął i do Jadźki podszedł, zawiniątko z jej rąk odebrał.

- No - mówi - bierz, Jadźka, walizkę. Kolebkę wymościlem, co ją nieboszczka matka twoja na strych wyniosła. Idziemy, Jadźka, do domu!

Stary od początku wiedział, że Jadźka nie wróciła sama.

Zaniosiłam swoje opowiadanie do redakcji, która już dawno nie istnieje. Może wybrałam ją z powodu podtytułu: tygodnik młodych. Byłam młoda i zupełnie zielona, nie orientowałam się w niczym. Gdzie pójść, do kogo. Sekretarz redakcji przyjął tekst i stwierdził, że niczego nie obiecuje, ale kiedy w miesiąc później zgłosiłam się po odpowiedź, już zupełnie innym tonem zakomunikował mi, że redaktor naczelny chce ze mną mówić. Weszłam do gabinetu i zobaczyłam mężczyznę średniego wzrostu w szarym garniturze, miał przeciętną twarz, jak ja to nazywam, twarz przechodnia.

- Cieszę się, że mogę panią poznać - powiedział wyciągając do mnie rękę, a kiedy mu podałam swoją, przytrzymał ją chwilę.

Doprowadziło mnie to niemal do utraty przytomności, byłam już dostatecznie zdenerwowana i bez tego.

- Proszę, niech pani usiądzie, pani Dario - wskazał mi fotel przy niedużym stoliku, sam zajął miejsce po drugiej stronie. - Herbaty?

- Dziękuję - odrzekłam z wysiłkiem.
- Dziękuję, tak czy dziękuję, nie? - uśmiechnął się.
- Nie.

Jak ja bym mogła przy nim pić herbatę, nie po-  
trafiłabym utrzymać w rękach szklanki.

- Daria to piękne imię, niespotykane. Pani rodzi-  
ce mieli fantazję.

- Ja go nie lubię - odrzekłam szybko.

- Dlaczego?

- Bo... jakoś tak, nie lubię... - bąknęłam, myśląc  
jednocześnie, że on mnie zagaduje, bo nie ma dla  
mnie dobrych wiadomości, odwalił moje opowiadanie  
i teraz nie wie, jak mi o tym zakomunikować. Jakby  
zgadując moje myśli powiedział:

- Pani opowiadanie bardzo mi się podoba, podoba  
mi się do tego stopnia, że chciałem panią poznać.  
Wie pani, dlaczego jest takie niezwykle?

W milczeniu potrząsnęłam głową.

- Ono jest perfekcyjne warsztatowo, ktoś z góry  
obserwując akcję komentuje ją. Zachęcałbym panią  
do pisania.

Zapadła cisza.

- Nie myślałam o tym - odezwałam się wreszcie.

- Pani studiuje polonistykę, co chce pani dalej ro-  
bić?

- No... jeszcze nie mam jakichś konkretnych pla-  
nów...

Nie mogłam mu powiedzieć, że wybrałam filologię  
polską tylko po to, żeby się wreszcie jakoś określić.  
Chciałam pięknie mówić po polsku, wyeliminować  
ten wschodni zaśpiew, który był jak moja wizytów-  
ka. Wiadomo, Kacapka. Skoro mój rodzony stryj  
wszystkich stamtąd wrzucił do jednego worka, co  
mówić o obcych. Udało mi się, przestałam zaciągać,

stawalo się to widoczne tylko wtedy, gdy bylam zderwowana.

- A moze przyjdzie pani do nas do redakcji? - uslyszalam.

Gdybym wtedy powiedziala nie, dziekuje, w zadnym wypadku, byc moze teraz nie bylyby mnie tutaj. Bo tym mezczyzna, tym redaktorem naczelnym tygodnika mlodych byl Edward. To prawda, na pierwszy rzut oka wygladal dosc niepozornie, ale kiedy chcial, potrafil byc interesujacy. W jego usmiechu bylo cos zniewalajacego. Twarz Edwarda sie wtedy zmieniala, nabierala blasku, zupełnie jakby ktos wstawil mu do srodka zapalona lampe. Zawsze wzruszaly mnie jego rece, niemal kwadratowe, o krótkich palcach, rece jak zrobione ze sznurka, z supelkami w miejscu stawow. Podczas naszych licznych klótni te rece mnie czesto rozbrajaly, wystarczylo, ze na nie popatrzylam. Wydawaly sie jakies bezbronne.

Tej nocy nie zmruzyłam oka, chociaz wydawalo mi sie, ze Agata spi, posapywala nawet przez nos, jakoś tak boleśnie, jak skrzywdzony psiak. Ale tym razem nie bylo we mnie wspólcucia dla niej, to ona mnie skrzywdzila.

Odkąd znalazłam się za kratami, ciągle zadawano gwałt mojej naturze, odcięta byłam od tego, co kochalam i co bylo dla mnie wazne. Nie miałam tu moich ksiazek, moich płyt, bez których nie potrafilam przeżyć dnia do wieczora; kiedy mój adapter odmawiał posłuszeństwa, to był nieomal dramat, biegalam do różnych punktów napraw, błagalam o uslugę ekspresową. Gotowa byłam zapłacić każde

pieniądze, byle tylko mieć swój poranny, potem południowy i wreszcie wieczorny koncert. Moimi faworytami byli ci wielcy, Bach, Beethoven, ale najczęściej słuchałam Mozarta, bo jego muzyka płynęła przeze mnie jak woda, rozedrgana i czysta, i nie wymagała takiego wysiłku i skupienia jak słuchanie tamtych. Pisałam przy muzyce Mozarta swoje książki, sprzątałam mieszkanie, rozmawiałam przez telefon, mając ją w tle. A teraz zostałam od niej odcięta. Odebrano mi też moją prywatność, którą tak sobie ceniłam. Od początku walczyłam o osobny pokój, już od pierwszego dnia, kiedy zamieszkałam z Edwardem. Upatrywał w tym fortelu, podejrzewał, że chcę się od niego odgrodzić, a dla mnie to była życiowa konieczność. Musiałam od czasu do czasu pobyć sama, może dlatego tak dobrze znosiłam miesiące izolacji w areszcie śledczym; mój adwokat powiedział, że wystara się o przeniesienie mnie do większej celi, gdzie będę miała towarzystwo, ale błagałam go, aby tego nie robił. Nie miałam zamiaru go wynajmować, uważałam, że w ogóle nie jest mi potrzebny adwokat, a jeżeli już musi być, to ten przydzielony z urzędu. Ale stryj był innego zdania, zwrócił się do adwokackiej sławy i sława zgodziła się mnie bronić. Być może miał rację, być może gdybym miała gorszego adwokata, odsiadywałabym teraz o wiele wyższy wyrok. Dostałam dziewięć lat, a najniższy wymiar kary z paragrafu, z którego mnie sądzono, opiewał na osiem.

Wtedy było mi wszystko jedno, osiem, dziesięć, piętnaście, czy nawet wyrok śmierci. Przecież świat się rozleciał na kawałki. Ale teraz, odkąd się tutaj znalazłam, inaczej to wygląda. Teraz chcę przede wszystkim stąd wyjść.

Wróciliśmy znad jezior i nasze życie potoczyło się starym trybem, Edward pisał swoje referaty, ja przygotowywałam się do egzaminu magisterskiego. Po naszym ślubie odeszłam z redakcji.

- Może zaczniesz wreszcie pisać - mówił Edward.
- Przecież piszę pracę magisterską.
- Nie wykręcaj się, napisałaś sześć opowiadań, dopisz jeszcze trzy, cztery i uzbiera się tomik.
- Ale po co?

Edward pukał się na to w czoło.

Nasza sytuacja była dość dwuznaczna. Mieszkaliśmy razem, ale nie do końca, bo część rzeczy miałam na Malczewskiego, u stryja. Żeby się nazywało, że nie wyprowadziłam się ze wszystkim. Nocowałam tam, kiedy Edward gdzieś wyjeżdżał. Kiedy wracał, byłam z nim. To znaczy w jednym mieszkaniu, bo nie sypialiśmy razem. Pozwalałam się całować, pieścić, ale nie dopuszczałam do niczego więcej. W ostatniej chwili udawało mi się wywinąć, uciec. Czasami wyglądało to jak walka. Kiedyś Edward porwał na mnie ubranie, był brutalny. Miałam potem na skórze sińce.

- Jeżeli mnie nie kochasz, to powiedz! - mówił roztrzęsionym głosem.

- Kocham cię.

- To o co ci chodzi, do cholery? Chcesz, żebym wyładował u czubków? Jak tak dłużej potrwa, jest to całkiem prawdopodobne.

- Boję się.

- Czego? - pytał. - Boisz się, że zajdziesz w ciążę? Są przecież różne środki.

- Nie! Ja nie wiem, czego się boję - odpowiadałam gorączkowo. - To jest silniejsze ode mnie...



Siedziałam za pulpitem, na którym w drewnianych skrzynkach stały karty czytelników. Segregowałam je, te, które były już nieaktualne, wkładałam do szuflady, bo nie wiedziałam, co z nimi zrobić, może powinny powędrować do więziennego archiwum. Jeżeli jakiś doktorant będzie pisał pracę o stanie czytelnictwa w polskich więzieniach, takie stare karty mogą mu się przydać do sporządzenia statystyki. Kierowałam się datami wypożyczanych ostatnio książek.

Myszowata przydreptała do mnie, stanęła przy pulpicie z dziwnym wyrazem twarzy, jakby zażenowania.

- Kto napisał *Wiśniowy sad*? Na siedem liter.
- Czechow.
- Była taka piosenka, ale autora nie powiem...
- Nie, to chodzi o sztukę.
- Pani wie lepiej - odrzekła i wróciła do dyżurki.
- Pasuje - odchrząknęła po chwili.

Zwróciła się do mnie: „pani”, widocznie funkcja, którą wykonywałam, podniosła w jej oczach moją wartość, przedtem mówiła mi „ty”, i to w tonie raczej pogardliwym. A może się przejęczyła. Jednak nie, bo kiedy odprowadzała mnie na obiad, też wyjechała z tą panią.

- Słyszałam, że pani pisarka - powiedziała, uśmiechając się krzywo.
- Od kogo?
- A... nasza Iza coś mówiła, że pani pisarka czy jakoś tak... A co pani pisze?
- No... książki.
- Ale jakie, o miłości czy kryminały?
- I jedno, i drugie.

Moje wyjaśnienie znalazło uznanie w jej oczach.

- A Fleszarową-Muskat może pani zna?
- Nie znam. Ona zresztą już nie żyje.
- Nie żyje! - zmartwiła się. - Ja to lubiałam ją czytać, teraz to oczy mnie bołą i nic nie czytam.

Swoją drogą, jak to się dziwnie plecie... Czechow po raz któryś pojawia się w moim życiu i przynajmniej do tej pory nie obywało się to bez konsekwencji. A teraz? Czy skończy się tylko na haśle do krzyżówki...

Bywało, że babcia wyjeżdżała do siostry do Białegostoku i zostawialiśmy na plebanii sami z batiuszką. Wtedy nie mogłam już uciekać przed nim na górkę jak dzika kotka. Chodziłam do szkoły i po powrocie do domu musiałam odrabiać lekcje, które on starannie sprawdzał. I tak się utarło, że kiedy był ze mnie zadowolony, opowiadał mi jakąś historyjkę. Uwielbiałam te chwile, kiedy siedzieliśmy przy stole, na którym paliła się naftowa lampa. Na plebanii była już elektryczność, ale wieczorami Teodozjusz zapalał lampę naftową, uważając, że ma ona w przeciwieństwie do żarówki prawdziwą duszę. I opowiadał, często przymykając oczy. Więc ja też przymykałam swoje, widząc niemal te siostry, tak bardzo nieszczęśliwe, tęskniące do innego, ciekawszego świata. Wzdychające: do Moskwy... Do Moskwy... Albo poczciwego wujaszka Wanię, zakochanego w swojej bratowej, która też się co prawda kochała, ale w kim innym i w dodatku brakowało jej odwagi, by pójść za głosem serca... W tej historii każdy był zakochany w kim innym i jeden od drugiego bardziej nieszczęśliwy...

— To po co się w ogóle kochać? - pytałam. - Żeby tylko płakać? Lepiej się nie kochać i być wesołym...

- Trzeba się kochać, Dario Aleksandrowna - odpowiadał łagodnie. - Życie bez miłości jest puste...

Chyba mu wtedy nie wierzyłam. A czy wierzę teraz?

Po latach, już jako licealistka, zrozumiałam, że batuszka opowiadał mi sztuki Czechowa, oczywiście w formie uproszczonej, dostosowanej do wyobraźni dziecka. Ale ta moja wyobraźnia stworzyła sobie wizerunek Czechowowskich postaci i żaden teatr świata nie był chyba w stanie im sprostać. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam *Trzy siostry* na scenie, rozpląkałam się...

Po obiedzie wróciłam do biblioteki, oczywiście nie sama, przyproceedził mnie Kurdupel, na miejscu Myszowatej siedziała obca klawiszka. Gapiła się na mnie ponuro, niemal patrzyła mi na ręce, a kiedy weszłam pomiędzy regały, żeby ją stracić z oczu, po jakimś czasie przylazła zobaczyć, co tam robię. Segregowałam książki, okazuje się, że nie wszystkie były ustawione alfabetycznie. Z radością odkryłam *Sennik współczesny*, który zawieruszył się pod literą „s”, to zupełnie tak, jakbym spotkała na ulicy dawno nie widzianego przyjaciela. Moje myśli powracały ciągle do sprawy Agaty. Jak ją rozwiązać. Szantaż byłby niezły, tylko powinnam z nim wystąpić wcześniej, zanim ona sobie o mnie przypomni. Powinnam ją zaskoczyć. I nie czekać z tym zbyt długo. Tyle że nie mogłam prowadzić z nią rozmów przy świadkach, a odwołanie jej na stronę nie byłoby dobrym posunięciem.

Wieczorem po apelu przeżywałam godziny grozy, gdyż Agata wymknęła się z celi. Kiedy strażniczka

zgasiła światło, zapanowały ciemności, jak na złość nie świeciła latarnia za oknem, pewnie znowu przepaliła się żarówka. To pograżanie się w mroku było zawsze niezbyt przyjemne, tym bardziej że w razie potrzeby nie można było zapalić światła, kontakt znajdował się na zewnątrz. A teraz ciemność wydawała się szczególnie złowroga. Oczekiwałam powrotu Agaty z nerwami napiętymi do granic możliwości, moje ciało było usztywnione, jakby je ktoś skrępował sznurem.

Wróciła po północy, ciężko stawiając kroki, aż się trzęsły od tego prycze. Jednocześnie rozległ się zgrzyt klucza w zamku, a więc przyprowadziła ją tu klawiszka, która teraz zamykała celę. Zacisnęłam pięści, jakby mi to w czymś mogło pomóc. Zaszło mi w gardle, miałam trudności z przełknięciem śliny. A ona wdrapała się na swoje legowisko i odwróciła twarzą do ściany, widziałam zarys jej potężnych pleców. Mimo to bałam się zasnąć, do rana było jeszcze daleko. Z ulgą powitałam świt. Nie poszłam do biblioteki, korzystając z przywileju pozostania w celi. Drzemałam, słysząc wszystko, co się dzieje na zewnątrz, kroki, szurania, głos spikera w radiu. Nie włożyłam zatyczek do uszu, postanowiłam nie używać ich już nigdy. Gdyby nie one, być może usłyszałabym w porę, że Agata wdrapuje się na moją pryczę. Z racji jej tuszy i dość skąpej przestrzeni w celi zawsze było ją słyszeć. To swoją drogą zadziwiające, że ten kolos wybrał sobie miejsce na górze, wspinać się tam musiało być dla niej zadaniem niezbyt łatwym. Może traktowała to jako swego rodzaju gimnastykę. Zastanawiałam się, czy można w ogóle myśleć o niej jako o kobiecie. Była czymś w rodzaju

hybrydy, takim pomieszaniem form, płci, nawet gatunków, bo chyba nie należało być zbyt pewnym, że ona jest do końca człowiekiem. A już myślenie o niej jako o kobiecie w zestawieniu z Izą było grubym nieaktym. Iza była kobietą, co do tego nie miałam żadnych wątpliwości. Iza była kobietą o wiele bardziej niż ja, jej kobiecość działała na wyobraźnię. Ona to zjawisko, które można by rozpamiętywać godzinami. Sama jej twarz, te niezwykle złociste oczy. Uśmiech... To dziwne, paliła tyle papierosów, a miała białe, bardzo piękne, równe zęby. Ciekawe, jak się ułożą nasze stosunki... Była inteligentna, używała jednak dość plugawego języka, trochę mnie to raziło. Tyle że tutaj prowadzenie salonowych rozmów byłoby sztuczne, nawet śmieszne. Ja też zresztą nie wyrażam się zbyt wyszukanie, gdyby ktoś mógł podsłuchać, w jaki sposób formułuję myśli, byłby zaskoczony. Ale w tym obskurnym miejscu wszystko staje się obskurne, nawet ludzkie wnętrze.

Kobiety mnie fascynowały, te prawdziwe kobiety, świadome swojej kobiecości. Piękne, pachnące perfumami. Zwykle mnie peszyły, obchodziłam je z daleka, szukałam towarzystwa bardziej podobnych do mnie, zwyczajnych. Ktoś mógłby powiedzieć, że pisarka nie jest zwyczajną kobietą. Nie taka pisarka jak ja, nie kreowałam rzeczywistości, opisywałam ją, zupełnie jakbym nie miała wyobraźni. Sprzedawałam po kawałku, co miałam do sprzedania, i stawałam się przez to coraz uboższa. Może dlatego nie stać mnie było na życie osobiste. Każde silniejsze uczucie, którego nie przelewałam na papier, wydawało mi się marnowaniem materiału. Wystarczało mi cudze życie, cudza miłość, cudze macierzyństwo.

Panicznie bałam się zajścia w ciążę i na szczęście mnie to ominęło. Nie ominęło to niestety mojej najlepszej koleżanki z liceum, razem dojeżdżałyśmy do szkoły wąskotorówką. Jako uczennica Natalia była raczej szczuplutka, tylko włosy zawsze miała bujne, nosiła warkocze grube jak polana. Wyrosła na przepiękną kobietę. Byłam na jej ślubie w cerkwi, jeszcze batuszka go jej udzielał, tuż przed swoim odejściem na emeryturę. Mąż Nataszy wyglądał przy niej dość niepozornie, ale ona zdaje się go kochała. Gdzieś tak pod koniec lata zauważyłam przez okno na górce, że dróżką przez sad idzie matka chrzestna Natalii, zdziwiłam się widząc na jej ramionach czarną chustę. W taki upał! Nie miałam jeszcze złych przeczuć. A potem babcia zawołała mnie na dół. Natalia. Umarła nagle. Obie kręciły, podawały niejasne powody, dużo później dowiedziałam się, że była to ciąża pozamaciczna. Poszłam do domu jej rodziców, bo istnieje taki białoruski zwyczaj czuwania przy zmarłym. W izbie o zaciemnionych oknach, na stole przykrytym białym prześcieradłem, leżała Natalia, wokół niej paliły się cienkie świeczki. Wyglądała na śpiącą raczej niż na umarłą, przejmujące wrażenie zrobiły na mnie jej nieruchome, bose stopy. Ona tak szybko chodziła, jakby dokądś się spiesząc, nie mogłam nigdy za nią nadążyć.

Po kątach rozsiadły się stare kobiety, które w przypadku czyjejś ciężkiej choroby lub śmierci zwoływały się jak stada czarnych, zwiastujących nieszczęście ptaszysk. Miały narzucone na ramiona czarne zapaski, z których wystawały pomarszczone szyje, i chustki na głowach, wiązane pod brodą. Bezzębne usta poruszały się bezgłośnie. W końcu jedna z nich zaszeptała przejmująco.

- Odleciała gołąbeczka, nawet nie zaćwierkała. Taka cicha, taka cicha...

Słysząc było tylko syk topiącej się stearyny, kiedy płomienie świec strzelały do góry, i szepty kobiet.

- Spokój wieczny, sen wieczny na jej sumienie - zaszeptała znowu ta pierwsza.

- Na jej serce - zaszeptała druga.

- Na jej oczy.

- Na jej uszy.

I znowu pierwsza:

- Żeby serce nie cierpiało.

- Żeby uszy nie słyszały - dodała druga.

- Żeby oczy nie płakały - zakończyła trzecia.

Robiło to na mnie dziwne wrażenie, obrządek ten wydał mi się jakiś pogański, nie mający nic wspólnego z religią. Wyszłam z izby, cały czas mając przed oczyma te nieruchome, bose stopy.

Rozmowa z Izą to było jakby wejście w zupełnie inny świat, już sam fakt, że mogłam na nią patrzeć, wewnątrz mnie rozładowywał. Od kilkunastu dni chodziłam na wpół przytomna z niewyspania, bałam się, żeby Agata nie zaskoczyła mnie podczas snu. Ciągle nie miałam sposobności, by ją przestrzec przed kolejną taką próbą. Nic tego, co prawda, nie zapowiadało, ale byłam ostrożna. W czasie wspólnych kąpieli ustawiałam się pod prysznicem jak najdalej od niej, uważając przy tym, aby nie znaleźć się w jakiejś luce, w której mogłaby mnie zobaczyć. Nie chciałam jej prowokować. Ona też mnie szczególnie nie śledziła. Powoli nabierałam nadziei, że po prostu zrezygnowała albo któraś z nowo przybyłych stała się przedmiotem jej zainteresowania. Tym bardziej że nie żądała posług od parki z dołu. Ale nadeszła

taka noc, kiedy na wpół drzemiąc usłyszałam jakiś ruch i po chwili zobaczyłam jej łapy czepiające się krawędzi mojej pryczy. Serce skoczyło mi do gardła, załomotało mi w skroniach. Nie mogłam dopuścić, aby weszła na górę, tu już bym sobie z nią nie poradziła. Nie miałam ani chwili do stracenia, poderwałam się i wpierając stopy w jej ramiona, pchnęłam ją z całej siły. Udało się, jej ręce oderwały się od mojej pryczy. Usłyszałam głuchy łomot, po czym nastąpiła cisza. Po długiej chwili rozległo się w ciemnościach krótkie stęknienie. I jeszcze jedno.

- Ceśka, weź pomóż! — wyjęczała wreszcie.

To chyba było skierowane do tej dziewczyny z końskim ogonem.

- Ceśka!

Skrzypięcie dolnej pryczy i zaspany głos:

- Aga? Co jest? Co się stało?

- Wywaliłam się, weź pomóż.

Zaczął się teraz na dole ruch, bo obudziła się też Maska, obie próbowały Agatę podźwignąć, a ona wyła z bólu. Przywołano strażniczkę.

- Chyba złamałam nogę - powiedziała Agata zbolalym głosem. - Wstałam, żeby się wysikać, i się potkłam.

Strażniczka sprowadziła z więziennego szpitalika dwóch sanitariuszy z noszami, ale mieli ogromne, trudności z umieszczeniem na nich Agaty, po kilku bezskutecznych próbach wreszcie się im udało, drzwi się zamknęły za nimi z hałasem, tu nikt się nie przejmował, że komuś mogłoby to zakłócić sen.

Aż w końcu stało się to, co prędzej czy później musiało się stać. Dowiedziałam się, czym jest pełny kontakt z mężczyzną. Nie mieliśmy jeszcze wtedy



ślubu. Edward wyjeżdżał do Trewiru na kilkudniowe sympozjum i postanowił zabrać mnie ze sobą.

- Pooglądasz sobie po drodze winnice - powiedział. - Sam Trewir jest przepiękny, pełno tam śladów romańskich...

Nie potrzebował mnie zresztą namawiać na tę podróż, sama się do niej paliłam. On siedział w zadmionej sali w towarzystwie sobie podobnych osobników, którym w głowie były tylko problemy współczesnej literatury, a ja chodziłam po mieście. Była wczesna jesień i drzewa przywdziały na siebie wszystkie z możliwych kolorów zbliżonych do żółci i czerwieni. Kiedy wyszło słońce i oświetliło zbocza wzgórz, miasto leżało w kotlinie, pomyślałam, że ktoś rzucił na te wzgórza barwny, ręcznie robiony dywan, teraz i u nas przyjęła się nazwa „patchwork”. Trewirski patchworek, myślałam. I te widoki bardziej mnie zachwyciły niż szczątki starych budowli. To prawda, z zaciekawieniem oglądałam bramę wjazdową z czasów romańskich, która zbudowana była z idealnie przylegających do siebie kamieni. Wrażenie zrobiły też na mnie dobrze zachowane ruiny rzymskich łaźni. Schodziłam po kamiennych schodach w podziemny labirynt z uczuciem emocji, drogę w korytarzach jak kiedyś oświetlały pochodnie. Ale prawdziwy wstrząs przeżyłam w kaplicy Savigny w katedrze trewirskiej, oglądając freski namalowane w połowie czternastego wieku przez nieznanego artystę.

Włóczyłam się uliczkami tego miasta dziwoląga, gdzie co cesarskie i co germańskie wchodziło sobie w drogę na każdym kroku, starając się dopytać przechodniów, w którym miejscu znajduje się zaznaczona w przewodniku wieża bez okien z jedenastego wie-

ku. Niestety znajomość angielskiego moich rozmówców nie była dostateczna, nie mogli pojąć, o co mi chodzi. A jak wytłumaczyć na migi, co to jest wieża bez okien i to w dodatku jedenastowieczna. Tę moją pantomimę przerwała otyła kobieta z dużym siwym kokiem; była ubrana dosyć biednie, w wytarty na rękawach płaszczyk, na nogach miała sfatygowane adidas.

- Pani jest z Polski? - spytała.

- Tak - byłam zaskoczona. - Czy to widać?

- Po butach - odrzekła.

Roześmiałyśmy się.

- Pokażę pani katedrę - powiedziała. - Odrestaurowywałam tam średniowieczne freski w kaplicy, do której niestety zwykli śmiertelnicy nie mają wstępu.

- Co przedstawiają? - spytałam.

- Sąd Ostateczny.

- Myślę, że jak się go widziało u Breughla, to można już gdzie indziej nie oglądać.

Ona uśmiechnęła się, w tym uśmiechu było coś takiego, że nagle zapragnęłam zobaczyć freski. Za wszelką cenę wejść do kaplicy. Powiedziałam jej o tym. Pokręciła przecząco głową.

- Nie, tam nie może pani wejść. Nikt obcy nie może wchodzić. Wystawiane są tam trumny wysokich dostojników kościelnych, kaplica jest przesiąknięta śmiercią...

- Więc chcę poczuć tę śmierć - upierałam się.

Ale ona już mi nawet nie odpowiedziała. Więc kiedy znalazłyśmy się w katedrze, zamiast jak inni turyści oglądać sarkofag mieszczący słynną na cały świat szatę Chrystusa, którą wystawiano na widok publiczny raz na pół wieku - ostatnio około roku pięćdziesiątego naszego stulecia, a więc przed moim

urodzeniem - zaciągnęłam swoją przewodniczkę pod drzwi kaplicy. Wisiała na nich ogromna pordzewiała kłódka. Spoglądałam smętnie ku tym drzwiom, kiedy okrążyliśmy wewnętrzny cmentarzyk, na którym spoczywali owi dostojnicy.

Znalazłyśmy się z powrotem na wprost wejścia do kaplicy Savigny, gdy zobaczyłam idącego z naprzeciwka brata zakonnego z pękiem kluczy u pasa. Niósł w ręku konewkę, pewnie szedł podlewać kwiaty na cmentarzu. Nie musiałam o nic pytać, żeby wiedzieć, iż jeden z tych kluczy przy jego boku pasuje do żelaznej pordzewiałej kłódki. Pociągnęłam za rękę moją towarzyszkę, przystanęłyśmy. On też przystanął. Był niewielkiego wzrostu, miał na sobie brązowy habit z kapturem. Głowa zupełnie siwa, w twarzy widziało się tylko małe przenikliwe oczka i wydatny nos.

- Niech go pani spyta, czy mogę tam wejść - zaszeptałam.

- Mnie tam nie wpuści, chociaż mnie zna - odzwała.

Ponaglałam ją wzrokiem, odchrząknęła więc i przekazała moją prośbę. Na twarzy mnicha odmalowało się zdumienie. Na kilka sekund zaniemówił, a potem szorstko spytał:

- A po co ona chce tam wejść?

- Proszę mu powiedzieć, że jestem pisarką i czuję, że jedno spojrzenie na te freski odmieni moje życie... Skończę książkę...

Ona tłumaczyła moje słowa, ale trudno było poznać po jego minie, na ile go przekonały. Byłam pewna, że odejdę stąd z niczym. Kiedy więc zobaczyłam, że zdejmuje klucze z pasa, nogi się pode mną ugięły.

Powiedział coś, co zrozumiałam:

- Nur eine Minute!

Czas już ruszył z miejsca, a ja nie mogłam ode-  
rwać się od kamiennej posadzki.

- No, niech pani idzie - ponagliła mnie moja ro-  
daczka.

Bałam się, że on się rozmyśli i zamknie z powro-  
tem kłódkę, jakimś nadludzkim wysiłkiem oderwa-  
łam więc wreszcie stopy od ziemi. Weszłam sama.  
Mnich i konserwatorka zostali za drzwiami.

I oto znalazłam się na Sądzie Ostatecznym. Jako  
intruz, jako niepowołany świadek, byłam tego w peł-  
ni świadoma.

U góry jaśniało surowe oblicze Boga, a w dole  
diabły ciągnęły powiązanych w pęczki, nagich i za  
życia rozwiązanych mnichów; u ich stóp czołgały się  
zaś kurwy babilońskie, tak samo obnażone, odraża-  
jące w swojej fizjonomii, z obwisłymi brzuchami i  
sznureczkami piersi. Jedna z nich trzymała w ręce  
węża, który usiłował dosięgnąć językiem stopy naj-  
bliżej stojącego mnicha. Diabły były niczym żywe,  
miały groźne pyski, z których buchały płomienie. I  
ani krztyny litości. To był przecież Sąd Ostateczny,  
na który zwykli ludzie zarabiali całym swoim ży-  
ciem, a osoby duchowne w dwójnasób. I w dwójna-  
sób liczyły im się ich grzechy. Tam w górze został  
wydany wyrok boski, a nie ludzki, dlatego był spra-  
wiedliwy. Nie znany mi człowiek, którego prochy  
dawno rozwiały wiatry wieków, usiłował przekazać  
mi tę prawdę. Sprawiedliwość istnieje!

Bardziej wyfrunęłam z kaplicy niż wyszłam. Z ja-  
kiejś naglej wdzięczności schyliłam się do ręki brata  
furtiana, ale wyszarpnął mi ją w ostatniej chwili.

- Frau geh mit Gott! - powiedział i z powrotem zamknąwszy drzwi kaplicy, oddalił się drobnym krokiem.

Szłam obok mojej towarzyszki w milczeniu, wiele jej zawdzięczałam, ale nie wiedziałam zupełnie, jak jej o tym powiedzieć. Dla mnie samej to było takie nowe i niezwykle. Zaproponowałam, abyśmy wstąpiły na kawę, przystała na to chętnie. I mówiłyśmy raczej o niej niż o mnie. Przyjechała do Trewiru jako świeżo poślubiona żona, śliczna, filigranowa, zakochana w swoim mężu, który pochodził właśnie stąd. Miał tutaj zamek na jednym ze wzgórz, urządził jej w nim pracownię, o jakiej mogła tylko marzyć. Wydawało jej się, że życie obdarowuje ją ponad miarę, bo i tak chyba było. Ale potem odebrało jej wszystko z nawiązką. Rozpieszczający ją, •obsypujący prezentami małżonek zbankrutował, zamek odebrano mu za długi. I skończyła się jego romantyczna miłość do ślicznej, utalentowanej Polki. Wierzyłam jej, że potrafiła bezbłędnie odróżnić falsyfikat od oryginału, choćby nie wiem jak był doskonały. I nie tylko polegało to na wiedzy, ale i na intuicji, którą ona miała. Utraciła ją, gdy jej życie waliło się w gruzy. Teraz mieszka spory kawał za miastem w wynajętym pokoiku bez kanalizacji, ma dwunastoletniego forda, który coraz gorzej jeździ pod górę, ze strachem myśli o tym, co będzie, jak któregoś dnia odmówi jej posłuszeństwa. W dodatku roztyła się, bo ma kłopoty z tarczycą. Wygląda jak własna babcia i wie o tym. Nie ma stałych dochodów, więc różnie jej się wiedzie. Teraz brakuje jej pieniędzy, zalega z komornym i kto wie, czy po powrocie do domu nie znajdzie swoich rzeczy wystawionych za próg.

- Dlaczego nie wróci pani do Polski? - spytałam.  
Uśmiechnęła się smutno.

- Bo muszę być tutaj... tutaj się czuję u siebie, te mury do mnie mówią...

Do mnie też, pomyślałam z niejakim zdziwieniem.

- Dzisiaj jest szczególny dzień - powiedziała. - Mój były mąż bierze ślub z inną. Wysłałam na spacer i spotkałam panią... A co robi pani mąż?

- Jeszcze nim nie jest - odrzekłam.

Wróciłam do hotelu pierwsza i nie zapalając światła położyłam się na łóżku. Przeżywałam od początku ten niezwykle dzień. W ciemności majaczyły mi freski z kaplicy Savigny, zamek na górze, w którym mieszkała ze swoim niemieckim mężem moja nieszczęśliwa rodaczka, podziemny labirynt rzymskich łaźni... Kiedy wrócił Edward, chciałam mu to opowiedzieć, ale brakowało mi słów.

- Jak to wszystko jest takie niezwykle, to ja też ci coś niezwykłego zaproponuję.

Wyciągnął papierośnicę i wyjął z niej papierosa, chcąc mi go podać.

- Ja nie palę - odrzekłam zdumiona.

- To trawka.

Spojrzałam na niego szeroko otwartymi oczami.

- Czym ty mnie częstujesz?

- Pociągnij kilka razy, to spotęguje twoje wrażenia.

Po chwili wahania posłuchałam go. Początkowo byłam napięta, oczekując jakiejś gwałtownej reakcji, ale nic takiego nie następowało, więc zaczęłam mu relacjonować swoje przeżycia z całego dnia. I rzeczywiście szło mi dużo lepiej niż przedtem, nie miałam problemów z dobieraniem słów, aby wyrazić dokładnie to, co czułam.

Edward wydawał się zainteresowany moimi przy-

godami, ale bardziej od wrażeń z kaplicy ciekawiła go historia mojej przewodniczki.

- Masz temat na opowiadanie - powiedział. -  
Może nareszcie skończysz książkę?

- Skończę - odrzekłam z przekonaniem.

Pociągnęłam jeszcze raz trawkę, niemal parząc sobie koniuszki palców, bo papieros zamienił się w niedopałek. A potem nagle zakręciło mi się w głowie, wszystko dokoła nabrało ostrych barw, głos Edwarda stał się przenikliwy, jego śmiech drażnił mi bębenki. Zatykałam uszy, prosząc, aby był ciszej. Edward objął mnie.

- Jak chcesz, abym zamilkł, pozwól przemawiać  
mojemu sercu - wyszeptał.

Chciałam coś odpowiedzieć, ale nagle nie mogłam. Popadłam w stan odrętwienia, było w tym coś niesamowitego, moje ciało prowadziło niezależne życie, nie reagując na żadne sygnały przesyłane z mózgu. Traciłam z nim kontakt, jednocześnie będąc gdzieś w samym jego środku. Wszystkie zmysły miałam wyostrzone, reagowałam na najlżejszy nawet dotyk; kiedy Edward przesuwiał dłoń po mojej skórze, ta skóra mnie niemal bolała. Nie zdawał sobie chyba sprawy z tego, co się ze mną naprawdę dzieje. Sam był oszołomiony narkotykiem i narastającym podnieceniem. Całował mnie coraz gwałtowniej, a ja, mając świadomość, że za chwilę stanie się coś potwornego, nie potrafiłam temu zapobiec. Nagle poczułam ostry, niemal zwierzęcy ból. Chciałam krzyknąć, ale żaden dźwięk nie wydobywał się z moich ust. Ból. krew...

Nigdy nie przyznałam się Edwardowi do moich odczuć podczas tego niemal rytualnego aktu utraty dziewictwa. Traciłam je, nie będąc już niewinna,

może dlatego spotykała mnie za to kara. Nad ranem doszłam wreszcie do pełnej świadomości, uprzytomniając sobie, co się stało i gdzie jestem. Obok spał odwrócony do mnie plecami Edward. Nie wiedziałam, co mam robić, ubrać się i uciekać stąd, zanim on się obudzi, czy zostać, pogodzić się z sytuacją i przytulić do jego pleców. Nie żywiłam wobec niego żadnych złych uczuć. To, co się stało, nie było przeciwko niemu, raczej przeciwko mnie. Jakby ekspedując mnie na świat o czymś zapomniano. Nie wyposażono w kobiecą intuicję, która podpowiada zwykle najprostsze sposoby radzenia sobie w różnych sytuacjach. Tej nocy doznawałam czegoś, co było udziałem wszystkich w miarę normalnych kobiet. One jakoś sobie z tym radziły i nie był to dla nich taki koszmar. Ale nikt im nie dawał przedtem narkotyków... No tak, bo nie musiał im dawać... Nie byłam taka jak inne, ale jak inne kochałam mężczyznę i nie chciałam go utracić. Więc przytuliłam się w końcu do jego pleców...

Tak nieoczekiwane rozwiązanie moich problemów uwolniło mnie od nocnego czuwania, miałam jednak coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Z rozmów w celi dowiedziałam się, że to było otwarte złamanie uda, Agata została przewieziona do więziennego szpitala do Warszawy, bo nasz lekarz nie podjął się jej leczenia. Kara za to, czego przez nią doświadczyłam, wydała mi się zbyt okrutna. Ale czy w ogóle należało mówić w tym przypadku o karze i winie. Została odrzucona jako kobieta. U żadnego mężczyzny nie miała szans, więc zwróciła się w tę stronę, z której mogła oczekiwać akceptacji. Tylko kobieta może do



końca zrozumieć tę drugą, okazać jej serdeczność i prawdziwe ciepło. Czulość mężczyzny jest inna. Graniczy zawsze z uczuciami bardziej gwałtownymi, seks jest przecież formą agresji, jest brutalny z samego założenia.

Być może nasze problemy małżeńskie brały się stąd, że moje wtajemniczenie odbywało się w złej kolejności, nie tak, jak sobie zażyczyła natura; najpierw powinien być ból, który towarzyszy wszelkim narodzinom. Zapłaciłam za to swoją cenę, bo kochając męża, nie potrafiłam wyzbyć się lęku przed jego fizycznością, przed jego pragnieniami, które były tak bezwzględne, tak nie liczące się z tym, czego ja bym dla siebie pragnęła. Kiedyś w złości Edward powiedział:

- Nie wiesz o tym, że stojący chuj nie ma sumienia?

- Nie dowiedziałam się tego w porę - odrzekłam.

To się wydarzyło w czasie wakacji, na rok przed maturą. Siedziałam w swoim pokoiku na plebanii i wyglądałam przez okno. A nie opodal studenci robili jakieś badania. Borysówka musiała być ciekawym miejscem dla różnego typu badaczy, bo ciągle się tam kręcili. Etnografowie, biolodzy, meteorolodzy, archeolodzy. On był właśnie z tej ostatniej ekipy. Wykopali w pobliżu plebanii dziurę, ogrodzili ją palikami i czegoś tam ciągle szukali, chodząc w tę i z powrotem, bo potrzebowali wody ze studni, dużo tej wody. Nosili wiadro za wiadrem. Między innymi on, ten student. Było upalnie, więc zdjął koszulę i paradował rozebrany do pasa. Ciało miał opalone na oliwkowy kolor, jasne włosy ładnie z tą jego opalenizną

kontrastowały. Za którymś razem zatrzymał się i zacierając głowę zawołał:

- Panienko z okienka, zejdź do nas.
- Nie mogę roześmiałam się, wcale nie speszona.
- Dlaczego nie?
- Bo babcia mi nie pozwala.

On zrobił nieokreślony ruch ręką.

- A może poprosimy babcię, żeby ci pozwoliła?

Pokręciłam przecząco głową.

Potem któregoś dnia spotkaliśmy się na ścieżce. Już nie byłam taka swobodna, byłam spięta, najchętniej bym się odwróciła na pięcie i uciekła. Ale jakoś mi nie wypadało. Nie chciałam, żeby pomyślał, że jestem głupia gęś. Zależało mi nawet, żeby tak sobie o mnie nie pomyślał. Postawił wiadro z wodą na ziemi i ujmując mnie pod brodę, zajrzał mi w oczy.

- Zielonooka - wyszeptał. - Powiedz, jak masz na imię?

- Daria.
- Masz najpiękniejsze imię świata!

Potem babcia wypytywała, czego ten student ode mnie chciał.

- Pytał o drogę - odburknęłam.

Ona jednak nie zakończyła na tym swojego śledztwa.

- A czego tak ci zaglądał w oczy?

- Bo stałam jak niemowa! - wrzasnęłam i uciekłam z kuchni.

Jeszcze parę razy tak się minęliśmy, a któregoś popołudnia, słońce już się chowało za drzewa, wziął mnie za rękę i dokądś poprowadził. Szłam za nim bez oporu. Znaleźliśmy się na starym cmentarzyku za plebanią, a potem on przez okienko dostał się do

drewnianej kapliczki, otworzył zaryglowane drzwi, wpuszczając mnie do środka. Panował tu półmrok, promienie słońca wpadające przez szpary w okiennicach wyglądały jak zestrugane na podłogę złociste drzazgi.

- Dario - powiedział ciepło. - Zdejmij sukienkę.

Cofnęłam się o krok, ale on, ujmując moją twarz w dłonie, przyciągnął mnie z powrotem.

- Dario, nie skrzywdzę cię. Zrób, o co proszę.

I ja go posłuchałam, ściągając sukienkę przez głowę.

Stałam pośrodku wnętrza, w którym pachniało kurzem i zbutwiałym drewnem, osłaniając ramionami obnażone piersi, jakby mi było zimno. Serce mocno mi waliło. On też się rozebrał. Zbliżył się i objął mnie. Poczulałam coś zdumiewającego, coś, co pojawiło się nagle pomiędzy nami i było obce, jednocześnie stanowiąc powód mojej ciekawości, wręcz fascynacji. On ukląkł i mnie też do tego nakłonił, całował moje piersi. Dotyk jego ust sprawiał mi przyjemność, robiło mi się tak jakoś słodko, stawałam się coraz bardziej rozleniwiona. Potem leżeliśmy na jego kurtce, dotykał wargami mojej skóry, jego pocałunki były delikatne jak muśnięcia. A ja sama sobie wydałam się nieznana, nie mogłam siebie rozpoznać w tej nagiej dziewczynie. Nagle zapragnęłam czegoś więcej niż tylko pocałunków. Nie wiedziałam jednak, jak mu o tym powiedzieć, byłam niedoświadczona, zagubiona w swoim pożądaniu. Odkrył to bez słów.

- Nie, Dario - zaszeptał. - To by było brutalne, to by cię zraniło... Zrobimy to inaczej...

I rozchylając moje uda, dotykał mnie językiem, moje ciało poddawało się jego pieszczotom, oczekiwało ich, zaczynało nawet żądać. Stawałam się coraz

bardziej niecierpliwa, a potem na chwilę znalazłam się w stanie nieważkości. Lekkość, cudowna, najcudowniejsza lekkość i tak samo nagły powrót na ziemię i nagły wstyd.

- Nie wstydz się niczego, Dario - powiedział. - Nasza miłość jest niewinna i czysta. Niech ta cudza będzie brudna...

cudza miłość

Z tego, co mówiła Iza, ukochana Agaty była całym do rzeczy. A mimo to związała się z takim potworem i jeszcze odchodząc z więzienia rozpaczała, że się nie będą przez jakiś czas widziały. Czas dosyć długi, bo Agacie pozostały do odsiedzenia jeszcze dwa lata, a jako recydywistka nie miała co marzyć o zmniejszeniu kary. Dziwne doprawdy, podobno w tym związku to Agata była niewierna, zdarzały jej się skoki w bok, a ukochana robiła jej wtedy wyrzuty, dochodziło do awantur. Kiedy wychodziła na wolność, obejmowały się płacząc.

- Nie odwiedzę cię, Aga - mówiła. - Dobrowolnie nie przestąpię tej bramy, ale zawsze cię będę miała w swoim sercu.

I znowu w bek. Co za scena!

Być może tam na wolności trudniej byłoby mi to zrozumieć. Teraz wiem, że życie potrafi przynosić zaskakujące rozwiązania. I fascynacje. To, co czuję do Izy, to z pewnością sprawa poza seksem, nigdy nie miałam takich skłonności, a po historii z Agatą tym bardziej nie. Byłoby to wręcz niemożliwe. Seks był dla mnie zawsze trudną sprawą. Nie potrafiłam sprostać roli kochanki, co pozornie nie jest wcale takie trudne. Wiele kobiet latami udaje, dla zachowa-

nia małżeństwa. Szczególnie kiedy są dzieci. Ja nie potrafiłam, nawet kiedy próbowałam, natychmiast zostawałam zdemaskowana. Edward zrywał się z łóżka, wychodził do drugiego pokoju, tam po ciemku palił papierosy. A kiedyś jak wariat wyleciał z domu w środku nocy, wsiadł w samochód. Bałam się, że spowoduje wypadek. Na szczęście wrócił cały i zdrowy. Wybiegłam do przedpokoju. Przywarliśmy do siebie.

- Dlaczego? - usłyszałam jego rozżalony głos.
- Nie wiem.

Na pewno nie dlatego, że go nie kochałam, nie dlatego także, że często budził moją pogardę jako człowiek. Szczególnie wtedy, gdy coś ze strachu o swój tyłek odszczekiwał. Chwalił jakąś książkę, mówił o niej entuzjastycznie, a jak się tylko zorientował, że autor jest niezbyt dobrze widziany przez decydentów, pisał miażdżącą recenzję. Taki on już był, niestety. Z jednej strony niezwykła erudycja, olśniewająca wręcz inteligencja, człowiek naprawdę utalentowany, ale kompletna szmata. Być może jego nieszczęściem było to, że się tutaj urodził, jako intelektualista na Zachodzie nie musiałby wybierać pomiędzy karierą a własnym sumieniem. A sumienie miał naprawdę obciążone... Starałam się nie myśleć o tym w chwilach spokoju, kiedy nasze wzajemne stosunki były poprawne, to znaczy kiedy żadne z nas nie czuło się do głębi zranione tym, co powiedziało to drugie. On krzyczał, że ożenił się z kurwą, która tylko dlatego z nim jest, że uważa, iż baba powinna mieć przy sobie jakieś spodnie. Ja wyzywałam go od konformistów i komunistycznych pachółków. Potem się godziliśmy. Bywało, że leżeliśmy ra-

zem na kanapie, Edward trzymał głowę na oparciu, a ja swoją na jego brzuchu. Każde z nas czytało książkę. I od czasu do czasu wymienialiśmy uwagi. Kochałam te chwile. One potwierdzały nasz związek. Wiele mu z pewnością zawdzięczam; kiedy go poznałam, byłam miękka w środku niczym plastelina, mógł mnie formować, jak mu się tylko podobało. I chyba nie zrobił mi krzywdy, raczej pomógł mi się odnaleźć. Jak on to ciągle powtarzał, „oprawił brylant”. Była to oczywista przesada, bo takim znowu brylantem nie jestem, ale napisałam kilka książek i ludzie je chętnie czytali.

Ostatnie spotkanie z Izą było przełomem w naszych stosunkach, tak mi się wydaje. Do tej pory trzymałyśmy się sztywno swoich ról, ona zadawała oczywiste pytania, a ja udzielałam jej oczywistych odpowiedzi. I nagle, patrząc mi w oczy, z nieodłącznym papierosem w smukłych palcach, już się z tym pogodziłam, że pali, nawet dym mi przestał przeszkadzać, spytała:

- Dlaczego go zabiłaś?

Poczułam się przyparta do muru, nie wiedziałam, co mam jej odpowiedzieć. Bo jak odpowiedzieć na tak postawione pytanie.

- Wszystko powiedziałam przed sądem... - bąknęłam, chociaż nie było to w pełni prawdą, w sądzie mówił za mnie mój adwokat, ja przeważnie milczałam.

Iza roześmiała się.

- W sądzie mówi się różne rzeczy. Pytam prywatnie. Nienawidziłaś go?

- Ja... ja go kochałam.

- On ciebie nie kochał?

- Kochał mnie.

Kąciki jej ust drgnęły w tym znajomym, skrywanym uśmiechu. Zaciągnęła się dymem, wydmuchując go w błękitnoszarą chmurę, która na chwilę przesłoniła jej twarz.

- Musiała być niezła z was para.

- Właściwie nie byłoby wcale źle - powiedziałam po namyśle - gdyby nie inni ludzie...

Urwałam, bo jak jej miałam wytłumaczyć, że pod stwierdzeniem: „inni ludzie” rozumiem kobietę, z którą Edward mieszkał.

- Dlaczego oboje byliście rozebrani w tamtym momencie?

„W tamtym momencie”... To, że użyła dokładnie tych samych słów, jakich ja używam w myśli na określenie mojej tragedii, oszołomiło mnie, niemal zaparło dech. Pojęłam bowiem, że znalazłam się tutaj nieprzypadkowo. Zawsze czekałam na tak doskonały kontakt myślowy z drugim człowiekiem, kontakt idealny, ale sądziłam, iż nie jest on możliwy. Bardzo dobrze rozumieliśmy się z Edwardem, wystarczyło, że zaczynałam zdanie, on je z łatwością kończył. Nigdy nie było jednak tak, żeby wypowiedział je za mnie od początku do końca. Ale on był mężczyzną...

Zaraz po przyjeździe do biblioteki, czyli, jak mówią moje koleżanki, „czytałki”, zakopałam się na dobre w stercie przeróżnych papierów. Okazało się, że większość księgozbioru pochodziła z darowizn, wykaz dobroczyńców był pokaźny i obejmował przeważnie instytucje, które chciały się pozbyć nikomu niepotrzebnych pozycji. Na przykład dzieł Lenina. Ale zdarzały się całkiem przyzwoite tytuły, były to pre-

zenty gwiazdkowe od wydawców. Natrafiłam też na protokoły zniszczeń, które spisywano, kiedy jakiś egzemplarz został zaczytany na śmierć. Zaszczytu takiej egzekucji w naszej bibliotece jak dotąd dostąpiły tylko książki sensacyjne. To nawet zabawne, że w kryminale takim powodzeniem cieszyły się kryminały. A może to jest po prostu lektura uzupełniająca.

- Co tak pani Daria grzebie w tych papierzyśkach, od kurzu można dostać zapalenia wątroby - woła Myszowata z dyżurki. - Moja jedna znajoma to źle skończyła, bo nic tylko latała ze ścierką po mieszkaniu i te kurzyska wycierała. Rzuciło się jej na wątrobę...

I zaraz rozumiem, skąd to zagadywanie, podchodzi i wyciąga zza pazuchy moją ostatnią powieść.

- Może by pani napisała dedykację, jedna moja znajoma prosiła, zaczytuje się w pani książkach. Mówi, że pani to pięknie pisze, dla ludzi...

- To ta, co tak ścierała kurze? - pytam.

- Nie, nie ta. Ta to już w ziemi dawno. Taka jedna, od nas, z kuchni...

No jasne, myślę, wszystko się zgadza. Piszę literaturę dla kucharek. Gdyby to mogli usłyszeć moi wrogowie, mieliby naprawdę dobry dzień.

- Jak tu pracuje, to czemu nie przyszła sama?

- A jakoś tak... nie ma śmiałości...

Kolejny paradoks, przecież jestem więźniarką, czyli nikim. Można mnie traktować jak psa, chociaż generalny dyrektor więzień w Polsce uważa, że my to też ludzie. Ale na razie chyba tylko on tak uważa. Ja na szczęście nie zetknęłam się ze szczególną brutalnością służb więziennych, ale po pierwsze, w więzieniach kobiecych jest jednak mniej surowy reżim, a po drugie, Iza mi zdradziła, że oni od razu wiedzą,



na kogo trzeba z góry, a z kim należy postępować łagodniej. To „z góry” oznacza często tak zwany wpierdol, Iza opowiedziała mi o głośnym ostatnio przypadku, kiedy to klawisze skatowali więźnia, a potem, żeby nie mógł na nich złożyć zażalenia, zamknęli go w karcerze do czasu, aż znikną na jego ciele ślady pobicia. Ten nieszczęśnik znalazł sposób, żeby się uwolnić. Popełnił samobójstwo. Wszczęto dochodzenie i tylko dlatego sprawa się wydała. Ja zostałam zaliczona, to również informacja od Izy, do grupy „nietypowych”, jak pani Manko, tyle tylko że o oczko w górę; w aktach odnotowano, że jestem osobą „o wyższej moralności”. No tak, ale skuto mnie kajdankami. To było dziwne uczucie, nazwałabym je uczuciem podłym. Lęk, zażenowanie i niepewność, jak się zachowywać w takiej sytuacji. Tylko raz miałam na sobie kajdanki, kiedy mnie wyprowadzano z sądu po ogłoszeniu wyroku; w czasie podróży do Kowańca już tego nie zrobiono. Może to była taka ich psychologiczna zagrywka, żebym się nie stawiała, w końcu wlepili mi dziewięć lat. Byłam raczej zdziwiona, że tak mało, ale oni o tym nie wiedzieli. A ten Kowaniec... Ładna nazwa, szkoda tylko, że będzie mi się zawsze kojarzyła z więzieniem. Dookoła same pola i rząd wysokich drzew przy drodze. Już z daleka widać ponury kompleks budynków otoczonych murem. Do miasteczka jest sześć kilometrów, w pobliżu nie ma żadnych zabudowań oprócz kilku bliźniaczych piętrowych domów z betonowej płyty, w których mieszka personel więzienny. Iza zajmuje tam jedno z mieszkań...

Dziwną scenę zaobserwowałam dzisiejszego wieczoru, czy raczej późnego popołudnia, właśnie zach-

dziło słońce i przez kratę i wściekły róż firanki, ciągle nie wiem, co zrobić, żeby jej się pozbyć, przedarł się jego ostatni promień, załamując się na tej ścianie, przy której stoi miska na stojaku i wiadro. Maska i jej przyjaciółka wykonywały swoje codzienne ablucje. Jest nas teraz tylko trzy w celi, bo Agata, wiadomo, a pani Manko rozchorowała się na grypę, taką klasyczną grypę z wysoką gorączką, i zabrali ją do tutejszego szpitalika, żeby nas nie zarażała. Obserwowałam te dwie ze swojego miejsca na górze. Miały na sobie nasze więzienne koszule z grubego płótna na ramiączkach. Myły się po kawałku, bo jak się można myć w misce i to w dodatku zimną wodą. Potem zestawiły miskę na ziemię i ta z końskim ogonem, włosy miała teraz rozpuszczone, usiadła, a Maska myła jej nogi. Ale jak ona jej te nogi myła! Gdyby nakręcił to zdolny reżyser, mogłaby to być jedna z piękniejszych scen miłosnych w kinie światowym. Tyle że sposób, w jaki jedna z kobiet trzymała w swoich dłoniach stopę drugiej, czułość wyrażająca się w tym geście, były czymś nie do opisania. Pocałowała stopę, potem w skupieniu polewała ją wodą z blaszanego kubka. Namydliła stopę i jeszcze raz ją polalała. To samo zrobiła z drugą. W pewnej chwili siedząca dziewczyna przychyliła się do niej, twarz zasłoniły jej sypiące się włosy, długie włosy koloru sarniej sierści, na których właśnie spoczął przedwieczorny promień. Widziałam jej włosy prześwietlone słońcem i nagie ramię, które wyciągnęła w stronę przyjaciółki. Dotknęła dłonią policzka Maski, a ona przytuliła się do tej dłoni ramieniem. To była tylko taka chwila, promień przesunął się na ścianie i scena zgasła. Znowu były tylko te dwie zakłócające mój sen swoimi amatorami baby.

- Jak to ugryzłaś go w rękę? Żartujesz!
- On mnie potrafił doprowadzić do takiego stanu, że traciłam nad sobą kontrolę. Byłam gotowa rzucić się na niego, zacząć go bić... Oczywiście nigdy do tego nie doszło...
- Ale go ugryzłaś.
- Oboje byliśmy tym zaskoczeni. On zaraz zresztą wyszedł...
- Ale w tym konkretnym przypadku, czego ty właściwie chciałaś? Żeby powiedział o tobie telewizjom, że jesteś wielką pisarką?
- Jemu się wydawało, że jeżeli wrzuci mnie do jednego worka z miernotami, jeżeli wyda na żer, inni pomyślą, jaki to z niego obiektywny krytyk. Ale i tak mu to nie pomogło. A mnie bardzo zaszkodziło. Gdyby mnie chwalił, nie miałyby to znaczenia, ale w tym przypadku... Skoro własny mąż tak o niej mówi, źle z nią...
- A może zrobił to specjalnie, żeby inni zaproteutowali, stanęli w twojej obronie?
- Aż taki naiwny to on nie był. Zrobił to dla siebie...

Czy znałam swojego męża? Tak mi się mogło wydawać. Ale nie wiedziałam tego do końca, jaki on był. Co myślał. Co myślał w ogóle i co myślał o mnie. Z pewnością byłam dla niego kimś ważnym. Ale co to oznaczało? To ja przecież ustanowiłam ten przedział uczuciowo-łóżkowy. W tym pierwszym umieszczałam siebie, w drugim ją. Jak było naprawdę... Obawiam się, że nie wiedział tego nikt z nas trojga. Jediną zadowoloną osobą była z pewnością ona. Bo

przecież ani ja, ani Edward nie mogliśmy być zadowoleni, myśmy się przede wszystkim szarpali. On może nawet bardziej niż ja. Nie miał czystego sumienia. A ja... A ja już od dzieciństwa narzucałam sobie poczucie winy.

Chyba jako pięcioletnia dziewczynka zakradłam się kiedyś do cerkwi, chociaż wiedziałam, że nie wolno mi tam samej wchodzić. Przychodziłam tutaj na nabożeństwa z babcią, ale modlący przesłaniali mi ołtarz. Teraz zobaczyłam tuż na wprost złotą ścianę, oddzielającą nawę od części ołtarzowej. Miała troje drzwi, od góry do dołu była pokryta ikonami różnych rozmiarów i kształtów. Było tu tak bogato... Niektóre ikony lśniły drogimi kamieniami, inne miały srebrne lub złote koszulki i widać było tylko twarze świętych. Wszystkie ornamenty na okuciach miały motywy roślinne, stwierdziłam to już jako osoba dorosła. Wtedy byłam zalękniona. Wprost na ziemi paliły się setki cienkich świeczek, migotliwe płomyki prowadziły ze sobą jakąś wyszukaną grę, jedne kładły się prawie płasko, inne strzelały do góry. I te twarze świętych, takie surowe, groźne. Ich oczy spoglądały z naganą na małą dziewczynkę, która wtargnęła tutaj wbrew wyraźnemu zakazowi, by zakłócić im spokój. Tak mnie te spojrzenia przeraziły, że nagle się rozplakałam. Stałam przed cesarskimi wrotami sparaliżowana strachem. Nie mogłam się poruszyć, tylko płakałam coraz głośniej. Na szczęście babcia usłyszała mój płacz.

Od jakiegoś czasu przychodzi do biblioteki przedziwny stwór, bo trudno sobie wyobrazić, że ktoś taki może być kobietą czy w ogóle człowiekiem. Za-

miast włosów ma na głowie fioletowy grzebień, rzęsy kapią od tuszu, który zwykle rozmazuje jej się pod oczyma, tworząc czarne podkowy. Doprawdy, ta wolność tutaj w niektórych przypadkach idzie za daleko. Nowy generalny dyrektor z pewnością nie wie, co czyni, pozwalając do tego stopnia rozluźnić więzienny rygor. Zgodnie z regulaminem więźniarki korzystające z biblioteki w czasie wolnym mogły tu przychodzić tylko w grupie, ale jej to nie dotyczyło. Więc stwór przychodzi, staje pod ścianą i wgapia się we mnie. Trwa to parę godzin, często do końca czasu wolnego. Staram się nie siedzieć przy pulpicie, chowam się między regałami, ale kiedy zbyt długo się nie pokazuję, stwór podchodzi bliżej i zaczyna mnie wypatrywać. Wyciąga szyję, staje na palcach, czasami kuca. I robi się coraz bardziej bezczelny. Ostatnio wszedł nawet za mną pomiędzy książki.

- Tutaj nie wolno wchodzić - powiedziałam ostro.

I stwór się wycofał, ale następnym razem już nie zareagował na moje ostrzeżenie. Oparł się o regał i wlepiając we mnie ogromne podbite oczy zaczął się na moich oczach onanizować. Zrobiło mi się niedobrze z obrzydzenia. Nie wiedząc, co począć, machałam rękami, jakbym wyganiała kury.

- Sio! Sio! - powtarzałam w kółko.

Ona doprowadziła jednak grę miłosną do końca, zamrugła sztywnymi rzęsami i wreszcie się wyniosła.

Tego dnia dyżur pełniła Myszowata. Robiła na drutach paputki dla wnuczka i nic jej nie obchodziło.

- Ona tu znowu przylazła - powiedziałam roztrzęsionym głosem.

- Kto?

- Ta z fioletowym czubem.

- A, ta Aśka - machnęła ręką strażniczka. - To głupia.

- Ale ona mi nie daje pracować.

Myszowata podniosła na mnie oczy znad okularów.

- Przecież ona nic nie robi, tylko stoi. Co to pani Darii przeszkadza.

Nie mogłam jej powiedzieć, co ta Aśka robi, kiedy stoi, nie chciało mi to przejść przez gardło.

Leżąc na pryczy, myślałam z goryczą, że odbierają mi mój azyl. Z lękiem wchodziłam teraz do biblioteki, bo wiedziałam, że ta z czubem znowu się pojawi i będzie mnie obserwowała. Nauczona doświadczeniem, w jej obecności nie wchodziłam już między regały, co jej oczywiście przed niczym nie powstrzymywało. Jak tylko zostawałyśmy same, podciągała spódnicę i wkładała rękę za majtki. Modliłam się w duchu, żeby ktoś przyszedł, ale jak na złość zawsze wtedy było pusto. W końcu opowiedziałam o tym Izie.

- Trzymamy ją tutaj, bo nikt jej nie chce, w wariatkowie nie ma miejsc, na dom dziecka jest za stara. To co z nią zrobić?

- Ale dlaczego uwzięła się na mnie?

- Ona stale się masturbuje, to ją uspokaja - odrzekła Iza.

Widząc jednak, jak bardzo to przeżywam, zakazała strażniczkom wpuszczać Aśkę do biblioteki. Tylko że niestety nie wszystkie tego przestrzegały.

moja babcia Nina Andriejewna  
przyśniła mi się którejś nocy, taka jak w dzieciństwie: wyprostowana, słusznej budowy, kasztanowa-

te włosy splecione w warkocz i upięte z tyłu na karku. Regularne rysy twarzy i jasne oczy o uważnym, trochę smutnym spojrzeniu. Ten wschodni smutek oczu to była zdaniem Edwarda nasza jedyna wspólna cecha. Byłam od niej sporo niższa i miałam dużo jaśniejsze włosy, niektórzy uważali je za rude, ale mój opis brzmiałby: na końcach jasne, u nasady miedzianobrazowe. Słowem, niezdecydowane, jak wszystko w moim życiu. Nie wiadomo jakiej narodowości, bo ani Białorusinka, ani Polka, nic pewnego nie można było powiedzieć o rodzicach, matka i ojciec nieobecni. Jedynym stabilnym pojęciem w moim życiu była babcia. Mówiła cichym, ale zdecydowanym głosem. Nie okazywała mi czułości, wiedziałam jednak, że mnie kocha. Nasze stosunki układały się bezkonfliktowo, na ogół byłam posłuszna, ona pozostawiała mi zresztą dużo swobody. Nigdy niczego mi nie narzucała, nawet jako dziecku. Raz jeden tylko doszło między nami do prawdziwej awantury. Uderzyła mnie w twarz, potem obie płakałyśmy, ja w swoim pokoju, ona w swoim. Ale następnego dnia wszystko wróciło do normy. Nigdy więcej, nawet jako osoba dorosła, nie spytałam jej: czy to prawda, że wydała w ręce ube mojego ojca... Tak jak to było ustalone pomiędzy nią i stryjem, do matury mieszkałam na plebanii, dojeżdżając codziennie do szkoły kolejką wąskotorową. A potem zdałam na polonistykę w Warszawie i przyjeżdżałam już tylko na święta i na wakacje. Więź między nami się rozluźniła. Batuszka przeszedł na emeryturę, babcia wraz z nim przeniosła się do Białegostoku. Byłam tam chyba wszystkiego raz czy dwa razy przed jej chorobą. Bo ona zachorowała, ciężko, chociaż przez całe życie na

nic się nie skarżyła. Nic, nawet kataru. Nosiła te swoje przepyszne, splecione w warkocz włosy, a w uśmiechu pokazywała rząd równych bielusiękich zębów. I nagle telefon z Białegostoku. Nina Andriejewa umiera. Nie mogłam tego pojąć, kilka miesięcy wcześniej widziałam ją w pełnym zdrowiu i niespodziewanie taka wiadomość. Kiedy weszłam do szpitalnej sali, nie wiedziałam, które łóżko zajmuje, wskazano mi zasuszoną staruszkę; woskowa pomarszczona skóra, bezzębne usta. Spod rzadkich włosów prześwitywała łysa czaszka. Poznałam ją po głosie. ■

- Zostaw mnie tutaj, Daria - powiedziała. - Wracaj do męża.

Pokręciłam przecząco głową.

- Zabiorę cię.

- Zostaw mnie tutaj. Człowiek gaśnie jak lampa, moją lampę już dokręcają...

Mimo jej sprzeciwu przewiozłam ją karetką do Warszawy, oddałam jej swój pokój, sama przenosząc się do Edwarda. Mieliśmy małe dwupokojowe mieszkanie z ciemną kuchnią. Czas jej umierania to był pierwszy poważny kryzys w naszym małżeństwie. To, co czułam wtedy do Edwarda, można było nazwać nienawiścią. Wiedziałam już wcześniej, że potrafi być bezwzględny, parę razy odczułam to boleśnie na własnej skórze, ale jego zachowanie w ciągu tych paru miesięcy, kiedy babcia była z nami, można by określić tylko jednym słowem: podłość. Jak każdy mężczyzna nie znosił choroby w domu, bywał nieznośny, gdy leżałam w łóżku z grypą. Ale kiedy raz dostałam zapalenia okostnej i nie mogłam spać po nocach, on też nie spał. Jednej takiej nocy zastałam go w kuchni z zaczerwienionymi oczami. Wycierał nos w chusteczkę.



- Co ty, płaczesz? - spytałam zdumiona.
- Nie mogę znieść twojego cierpienia - odpowiedział.

Ale cierpienie babci go nie wzruszało, był wściekły, że musi czuć się skępowany we własnym domu. Jak tylko się odwróciłam, zamykał drzwi do pokoju, w którym ona leżała. Była za słaba, by poradzić sobie z klamką. Idąc do łazienki posuwała się wzdłuż ściany, potem został taki ciemniejszy ślad w miejscach, gdzie się jej przytrzymywała. Po śmierci babci przeżyłam okres psychicznej zapaści, spałam po szesnaście godzin na dobę, gdziekolwiek przysiadłam, powieki mi się zamykały. Zupełnie jakbym chciała uciec przed bólem w sen. Ten ból znalazł wreszcie ujście, napisałam książkę, taki tren córki, która nie może pochować matki, fizycznie nie może się z nią rozstać. Ma poczucie potwornej straty, jakby wyrwano z niej kawał żywego mięsa. Pisałam: „matka”, a miałam na myśli swoją babcię... Edward, kiedy przeczytał maszynopis, powiedział:

- Gdybyś była pisarką francuską, z miejsca byś dostała Goncourtów, a tutaj mało kto cię zrozumie. W prowincjonalnym kraju należy pisać prowincjonalną literaturę.

rozmowa z Izą

- Ale dlaczego się wyprowadziłaś do tego stryja?
- Ja się parę razy wyprowadzałam, Edward tam jednak przychodził, namawiał mnie do powrotu. Więc pakowałam walizkę, a on ją znosił do samochodu...
- A ta kobieta, z którą mieszkał?
- Wprowadziła się do niego jesienią osiemdziesiąt

tego siódmego roku, zaraz po naszym powrocie z wakacji.

- Byliście wtedy razem na wakacjach?

- Tak. Powiedział mi, że ona wprowadza się do naszego mieszkania. Że będzie z nim mieszkała... a nawet nie to, że mi powiedział. Dał mi do zrozumienia. Myśmy prowadzili ze sobą taką grę... Od początku naszego małżeństwa załatwialiśmy pewne sprawy za pomocą cytatów literackich... A potem, kiedy pojawiły się inne kobiety, wynajdowaliśmy dla nich literackie odpowiedniki...

- Jak to wynajdowaliście? Przecież to były jego kochanki!

- Właśnie mówię, kiedy zaczynał się jakiś jego romans, on mi zostawiał karteczkę: „Dama Kameliowa” i ja już wiedziałam, o co chodzi. Albo: „Pani Bovary...”

- Nie było ci przykro?

- To nie w tych kategoriach, z jednej strony cierpiałam, że tak jest, ale z drugiej... nasz związek na tym zyskiwał, zbliżaliśmy się do siebie...

- Szczególnie wtedy, gdy on rznął inne baby.

- Ale ja to kontrolowałam!

- Ale dlaczego się na to godziłaś?

- Sama mu to zaproponowałam. Taką ograniczoną wolność. Wydawało mi się, że jeżeli ja wiem i on wie, że ja wiem, to panuję nad sytuacją. Nie zależało mi na jego fizycznej wierności, ja tylko chciałam być tą najważniejszą kobietą... I tak było, skoro on mi o nich wszystkich opowiadał... Na przykład przy śniadaniu mówił: „Żegnając się ze mną Dama Kameliowa zużyła trzy tuziny chusteczek...”

- To jakieś chore, nienormalne!

- To był jeden z elementów naszej gry... Na tych

wakacjach w osiemdziesiątym siódmym on się z nią wycofał, wiedziałam, że kogoś ma, ale tym razem się przede mną z niczym nie zdradził. Często chodził na pocztę do telefonu, mimo że mógł telefonować z pensjonatu, w którym mieszkaliśmy. Nie chciał, żebym słyszała, o czym z nią rozmawia. Któregoś dnia wychodząc na spacer zostawiłam mu kartkę. „Co z naszą grą?” Kartka zniknęła, ale odpowiedzi nie było. Więc zostawiłam mu kolejną: „Pani de Tourvel?” I otrzymałam odpowiedź: „Tak”. I wtedy zrozumiałam, czym może być zazdrość o mężczyznę...

- Ale kto to była ta pani de...
- Tourvel.
- Kto to był?
- Czytała pani *Niebezpieczne związki* de Laclosa?
- Nie.
- To historia byłych kochanków, którzy nadal się przyjaźnią. Markiza wciąga swojego przyjaciela, wiechrabiego Valmonta, w sieć intryg doprowadzających w konsekwencji do upadku kobietę, którą on naprawdę kocha. Tą kobietą była właśnie pani de Tourvel. Teraz pani rozumie?
- Nie.
- Więc proszę przeczytać książkę!

Nie mogąc zasnąć, myślałam o rozmowie z Izą. Co ona mogła z tego zrozumieć, co ktoś z zewnątrz mógł cokolwiek z tego zrozumieć. Dlaczego wtedy nad jeziorem zaproponowałam własnemu mężowi, by mnie zdradził... Może to nie do niego była skierowana ta propozycja, może ja się zwracałam do mężczyzny w moim mężu. Wymyśliłam, że po innych kobietach będzie go w nim mniej... To było chore, a może tylko dziecinne... Ale nie potrafiłam znaleźć innego roz-

wiązania, a to było jakimś rozwiązaniem naszych problemów. Rozwiązaniem częściowym, bo nasze życie erotyczne nie wygasło, nie było jednak tak intensywne. Niewierność mojego męża stwarzała pożywkę dla naszego współżycia. Przystawałam się tak panicznie bać fizycznego zbliżenia, wyobrażając sobie, że ten potwór kryjący się gdzieś przede mną został już obłaskawiony, nasycił się, nie zrobi mi wielkiej krzywdy. Skrzywdzi mnie tylko trochę.

Po powrocie z wakacji nad jeziorami już jednak nie wskazałam Edwardowi palcem jego przyszłej kochanki. Wydawało mi się, że wolę nie wiedzieć, jak wygląda, że wolę ją sobie wyobrażać bez twarzy. Ale to też nie było takie proste. Wtedy, po jego pierwszej zdradzie, nie mogłam znieść tego faktu. Tego, że wiem, jak tamta wygląda, jaką ma twarz, jakie ciało. Niemal w chwilę potem kochaliśmy się. I nie przypominało to żadnego z naszych poprzednich zbliżeń, nie było ani wymuszone przez niego, ani zaaranżowane przeze mnie ze strachu, że odejdzie; to był jakby sprawdzian, na ile mu jeszcze na mnie zależy, na ile mnie pragnie. Tak bardzo chciałam się tego dowiedzieć, że zagubił się gdzieś mój zwykły lęk. Oddawałam się mojemu mężowi cała, bez zwykłych zahamowań. Pachniał jeszcze tamtą miłością, tamtym ciałem, ale pragnął mnie. Byłam ważniejsza, czułam to. Tamto było rodzajem onanizmu, a tamta kobieta stanowiła jedynie piękne naczynie...

Od kilku dni jestem w naszym szpitaliku, mam grypę. Temperatura trzydzieści dziewięć stopni.

Dużo ludzi choruje, personel i więźniowie, w naszej celi pierwsza zaczęła nedomagać pani Manko, która już zdążyła wyzdrowieć, ale zdążyła też nas

pozarażać, obok mnie na łóżku leży Maska. Codziennie odwiedza ją tu ta z końskim ogonem, którą od sceny z myciem nóg nazywam Kochanką. Mogę się teraz lepiej im obu przyjrzeć. Gdybym miała sama sobie nadać jakiś przydomek, myślę, że najtrafniejszym byłby Niemowa. W celi się właściwie nie odzywam, najczęściej siedzę na swoim bocianim gnieździe, schodzę tylko, jak nam przywożą zarcie, no i na apel, a potem do mycia. Zwykle myję się ostatnia i to już wtedy, gdy zaczyna obowiązywać cisza nocna. Zupełnie jakbym się mogła schować za nią jak za parawanem. Ciągłe mam uczucie, że te dwie mnie podglądają, że oceniają moje ciało. Nie wiem, jak z nimi jest, czy któraś z nich pełni rolę mężczyzny; gdyby tak było, to „kobieta” przynajmniej by się we mnie nie wgapiła. Zwariowany świat, a raczej świątek. W naszym więziennym świątku, proszę państwa... tak mogłaby się zaczynać moja kolejna książka. Ale... nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek coś napiszę. Zgłosił się do mnie nawet prywatny wydawca.

Kiedy weszłam do rozmównicy, zobaczyłam niewysokiego mężczyznę, który na mój widok podniósł się z miejsca. Gdybym go spotkała w tramwaju albo na ulicy, pewnie bym na niego nie zwróciła uwagi. Długie, rozwichrzone włosy, broda. Miał na sobie dżinsową kurtkę, wypchane na kolanach sztruksy i wojskowe buty. Do tego jeszcze torba, duża, przewieszona przez ramię torba, taka w jakiej młodzi kontestatorzy i działacze podziemia zwykli nosić przed laty cały swój dobytek.

W rozmównicy jest tylko stolik i dwa taborety. On stał przede mną jak uczeń, ale jednocześnie patrzył na mnie w taki kupiecki, oszacowujący sposób. Mój

więzienny drelich wywarł na nim wrażenie. Widocznie zastanawiał się, ile jestem warta w tym przebraniu.

- Napisze pani dla mnie książkę o więzieniu? - spytał.

- To znaczy o sobie? - upewniłam się.

- No... tak, to byłby prawdziwy hit.

- Niech hity piszą Gierek i Jaruzelski i niech ich pan dalej wydaje.

Prywatny wydawca obruszył się.

- Ja ich nie wydaję i nie będę wydawał. Mam rowód podziemny.

Wstałam.

- Mimo to, mnie pan też nie wyda.

Niestety wraz z Maską przywędrował tutaj jej telewizor, który ogląda od początku do końca, to znaczy do momentu, kiedy zaczyna obowiązywać cisza nocna. Ale to wystarczy, żeby mnie przyprawić o mdłości i ból głowy. Widocznie jej rola w moim życiu polega na tym, żeby mnie dręczyć, jak nie miłosnymi ekscesami, to reklamami z telewizora. „Omo samo pierze”. Zauważyłam, że ją te idiotyczne, znane na pamięć scenki fascynują. Niedawno wyczytałam w gazecie, jaki wpływ mają reklamy telewizyjne na naszą młodzież. Nauczycielka zabrała klasę do teatru na sztukę Czechowa *Wiśniowy sad*; kiedy Raniczka mówi do swojej córki: „Aniu!”, jej dalszy dialog zagłusza chóralne: „Czas na Colgate!”

Wszystko w tych czasach przełomu zatraciło proporcje i jest, mówiąc delikatnie, w niezbyt dobrym guście. Wystarczy rozejrzeć się po naszym więzieniu. Budynki są stare, nie remontowane od lat, w celach

nie ma kanalizacji, po kątach straszą porzewiałe kubły na nieczystości, każe nam się jeść z pogiętych blaszanych misek, a za ścianą jedna z odsiadujących karę kobiet otrzymała zgodę władz więziennych na zamontowanie anteny satelitarnej i ogląda sobie programy z całego świata!

Na szczęście Maskę odwiedziła jej przyjaciółka i ekran zamilkł.

- Wychorowałaś się? - pyta Kochanka.

- Trzyma mnie ta zaraza, najbardziej to na żołądku. Cały czas mam sraczkę, ale podobno wszyscy tak.

- Co ty, daj spokój - mówi Kochanka.

- A ty co porabiasz?

- Nic, szyję te rękawice dla woja jak szylałam, pół zakładu wymiotło przez tą gripę. To nam dodają pracy. Ta kierowniczką, wiesz ta, co ma taki tik w oku, jakby mrygała, przyczepiła się do rudej Stachy, że na złość szyje same lewe.

- Albo to jest różnica lewa, prawa, jeden palec w tą i w tamtą.

- Ale powiedz tej. Na czarne gada, że białe, i co jej zrobisz.

Maska poprawia się na łóżku.

- A co jeszcze?

- No, ta, co siedziała przy maszynie za tobą z tyłu, jak jej tam...

- Elka.

- No ta Elka znalazła sobie inną, już nie chodzą razem z Bacha.

- Co ty mówisz! - zdziwiła się Maska. - A taka była wielka miłość, jadły sobie z dzióbków. To Bacha w dołku?

- Nawet nie, mówi, że przynajmniej pieniądзорów będzie miała więcej, nie będzie tej musiała fundować. To frajerka, co ona zarobi na akord, grosze. Dwie lewe ręce...

- Ty, to może ona te same lewe szyje!

Obie parsknęły śmiechem.

W nocy miałam wysoką gorączkę, dręczyły mnie jakieś koszmary, sny bez żadnej fabuły, poszczególne, nie mające ze sobą związku sceny. Obudziłam się przerażona, pot lał mi się po skroniach. Przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem. Chciało mi się pić, na szczęście obok na szafce stało w kubku trochę kompotu.

Najtrudniej było mi chyba poradzić sobie z drugą zdradą. Ta pierwsza była zaskoczeniem, co prawda sama ją zaaranżowałam, ale nie wierzyłam, że do niej dojdzie. Sądziłam, że Edward nie posunie się tak daleko, że skończy się na flircie. Kiedy mi jednak o niej powiedział, czułam, że mówi prawdę. To był szok, ale następstwa tego szoku okazały się zbawienne. Po raz pierwszy chyba dane mi było czerpać radość z fizycznego zbliżenia z mężczyzną.

Czy zdawałam sobie chociaż w części sprawę, czym jest obecność mężczyzny obok, obecność męża? Jedno wiedziałam na pewno, że nie potrafię być dobrą żoną, a mimo to wzięłam ślub. Niby to nic nie znaczyło, niby było tylko dla innych, jednak jakoś to przeżywałam. Miałam uczucie, że przystępuję do egzaminu, do którego się nie miałam czasu przygotować, do którego nie przygotuję się nigdy...

W dniu swojego ślubu, tak jak kiedyś jako mała dziewczynka, stałam w cerkwi otoczona mrocznymi spojrzzeniami świętych i wszystko we mnie truchlało.



W tych surowych twarzach widziałam potępienie, że nie potrafię sprostać jednemu z boskich nakazów. Ci święci i ja wiedzieliśmy dobrze, że tej nocy nie oddam mężowi swojego ciała, że mu go jak zwykle poskapię i nic w tej sprawie nie zmieni przysięga małżeńska złożona przed obliczem Boga. Drużbowie trzymali korony nad naszymi głowami, a ja powtarzałam za batuszką słowa przysięgi.

- Imasz li ty, Daria, przizwolenije błagoje i nie-prinużdionnoje i kriepkuju mysi pojati siebie w muza Edwarda jęgo że pieried toboju widiewszy?

Ja:

- Imam, czestnyj otcze.

Batuszka:

- Nie obieszczalaśia innomu mużu?

Ja:

- Nie obieszczalaśia, czestnyj otcze.

Kiedy batuszka wsuwał mi obrączkę na palec, obejrzałam się i napotkałam zapłakane oczy babci. Ona chyba musiała przeczuwać, że moje małżeństwo źle się skończy.

Kiedyś przypadkiem podsłuchałam jej rozmowę z batuszką.

- Nie wiem, co Teodozjusz uważa - mówiła - ale dla mnie ten mąż Darii to takie dziwadło, jak zacznie mówić, to ani słowa nie zrozumieję. Nigdy nie powie wprost, tylko tak ogródkiem, nakręci, nakręci...

- Ważne, żeby był dobrym człowiekiem, Nino Andriejewna - odpowiedział batuszka.

- Po mojemu to nie jest dobry człowiek.

Następnego dnia byłam już zdrowsza. Nawet trochę porozmawiałam z Maską. Powiedziała mi, że pochodzi z małego podlubelskiego miasteczka...

opowiada Maska

studiowała w Lublinie na AWF-ie, potem uczyła w szkole podstawowej w swoim mieście. Cisnęło mi się na usta, dlaczego w takim razie skończyła jako drobna złodziejka. Wyjaśniła mi to nie pytana. Początkowo nie wiedziała, jak naprawdę z nią jest, tylko nie ciągnęło jej do mężczyzn. Jak ją kiedyś jeden pocałował, poczuła odrazę. Pół godziny szorowała zęby w łazience. Kiedyś weszła do szatni i zastała tam rozebraną uczennicę z ostatniej klasy. I wtedy jakby Maskę zahipnotyzowało, do dziś nie potrafi powiedzieć, co to naprawdę było. Wpatrzyła się w piersi dziewczyny i wszystko inne przestało się liczyć. Podobno podeszła i chciała tamtą całować. Zrobiła się afera, bo uczennica dostała szoku, Maskę zwolniono dyscyplinarnie. Odebrano jej prawo nauczania. Rodzina jej się wyrzekła, bo to był skandal na całe miasteczko. Palcami ich wytykali. Wyjechała stamtąd, ale nigdzie miejsca nie mogła zagrzać. A w końcu spiknęły się z tą z końskim ogonem, która jest wychowanką Domu Dziecka, razem je przyłapano i razem siedzą. Nie są taką przyszywaną parą jak te tutaj. To nie żadne prawdziwe lejby, to amatorki. Do wielu z nich przyjeżdżają mężowie i one chodzą z nimi na te mokre widzenia. A taka, co pójdzie z mężczyzną, to zdrajczyni.

- Taki ten świat, wszystko na dupie się zaczyna i na dupie kończy - stwierdza melancholijnie.

Drzemałam, bo co można zrobić lepszego w więziennym szpitalu, kiedy usłyszałam kroki. Jej kroki. Usiadła obok na stołku z uśmiechem, który tyle razy przywoływałam w myślach. Takie było hasło: uśmiech Izy.

- Przyszłam odwiedzić chorą - powiedziała odgarniając do tyłu włosy.

- Dzięki - wychrypiałam.

Zapadła cisza, jej uśmiech wskazywał, że czuje się nieco speszona. W końcu spotykałyśmy się w odmiennych warunkach, tutaj przychodziła do mnie całkiem prywatnie.

- Przeczytałam twoją książkę - powiedziała wreszcie.

- Którą?

- Tę o matce. Zrobiła na mnie wrażenie... naprawdę... Te sceny w kaplicy, jak ona ogląda ciało matki po sekcji, no, ciarki mi chodziły po plecach... A przy końcu łzy same leciały mi z oczu... - zakłopotanym ruchem poprawia włosy. - Tak naprawdę było?

- Nie... to przecież literatura.

- Ale skąd ty to wiedziałaś? Te opisy...

- Umarła mi babcia. Opisywałam ból.

- I to ona leżała w kaplicy?

- Nie, w kaplicy nikt nie leżał. Babcia umarła w domu, w łóżku.

Iza pokiwała ze zrozumieniem głową.

- Dałabym sobie rękę uciąć, że z tą kaplicą to prawda.

- Bo to jest prawda, ale prawda literatury.

Chyba nie do końca mi uwierzyła. Wstała, ciągle jednak nie odchodząc. Czułam, że chce mnie jeszcze o coś spytać.

- I tamtą powieść też bym przeczytała, tylko nie pamiętam autora.

Nie bardzo wiedziałam, którą książkę ma na myśli.

- Tą o tej byłej kochance, co robi intrygi...

- *Niebezpieczne związki* Laclosa!

Potem, kiedy już poszła, długo myślałam o niej.

To, że przeczytała moją książkę, oznacza, iż chciała sprawdzić, jak ja piszę. Ale chęć przeczytania książki nieznanego autora, której nawet tytułu nie zapamiętała, wskazywało na to, że chciała się dowiedzieć czegoś o mnie. Ja też byłam jej ciekawa. Ale mogłabym mówić o niej jedynie jako o harmonii ciała. Wszystko było u niej na swoim miejscu. Dłoń Izy, smukła, o długich palcach, piękna; kolano Izy, niezbyt masywne, ale krągłe, doskonałe; tak samo jak kształt łydki czy zarys talii. Nie, to nie oznacza wcale, że fascynuje mnie jej fizyczność, że jej fizyczność mnie pociąga i zniewala. Ja nie jestem Maską, która wchodzi do szatni i wariuje na widok półnagiej dziewczyny, to nie dzieje się w tych kategoriach. W Izie pociąga mnie właśnie harmonia elementów, Iza jest bliska doskonałości... Ona zastępuje mi to wszystko, co utraciłam, moją muzykę, moje książki, ciszę mojego pokoju, wreszcie przedmioty, do których byłam przywiązana: fotel uszak, tak wygodnie mi się w nim siedziało, podciągałam nogi i nakrywałam je chustą. Świat z perspektywy tego fotela był o wiele łatwiejszy do przyjęcia, nie mam tu swojego fotela... Ale mam Izę, tylko kim jest Iza. Nie wiem. Czym jest, nie wiem także. Spytam ją, w jakiej książce mogłabym ją odnaleźć, ja już jej podałam swoje hasło. Czy ona mi odpowie?

A jeżeli tak, co dalej? Właśnie zakończyła się moja gra z mężczyzną. Czy teraz chcę podjąć grę z kobietą? A może to jest ciągle ta sama gra? Fizyczność Izy odgrywa tu tak wielką rolę, bo podświadomie, z nawyku oceniam ją oczami Edwarda. Wiem, że zrobiłaby na nim wrażenie, i gdybym poznała Izę wcześniej i podsunęła mu ją, kto wie, czy nie stałaby

się moją kartą atutową i nie przebiła tamtej kobiety, którą wyciągnęłam z talii jak Czarnego Piotrusia. Edward dał ogłoszenie, że poszukuje kogoś do konwersacji angielskich. Umówił się z kilkoma osobami, ale jak zwykle nie miał czasu i zwałił wszystko na mnie. Mogłam wybrać kogoś innego, ale wybrałam ją. Nie przyszło mi na myśl, że mogłaby go zainteresować, zbyt wulgarna, z tlenionymi włosami i bujną sylwetką. Mimo że była lektorką na uniwersytecie, wyglądała jak nastolatka. A on nie znosił młodych dziewcząt, twierdził, że śmierdzą mlekiem i są zbyt infantylne. Może dlatego ją właśnie wybrałam. Kobieta musi mieć w sobie to coś, mówił, swoją tajemnicę, wtedy dopiero jest warta zachodu. Po kilku lekcjach stwierdził zresztą, że ładne z niej cielątko i że dobrze zna angielski, gdyby tylko było jeszcze o czym z nią w tym języku rozmawiać. Więc zupełnie nie brałam jej pod uwagę. Głowiłam się, kim może być ta tajemnicza pani de Tourvel. Gdzie ją poznał i co go w niej tak zafascynowało. Na naszych ostatnich wspólnych wakacjach chodziliśmy na spacer, Edward włókł się obok mnie, ale był jakiś nieobecny, myślał o tamtej. To mnie przerażało, po raz pierwszy czułam, że mogę go stracić. Że moja władza nad nim się kończy. Już mnie nie potrzebował tak jak przedtem. Zupełnie jakby chciał, abym dołączyła do innych jego kobiet, które coś mu z siebie dawały, nie otrzymując nic w zamian.

Wyzdrowiałam. Wróciłam do celi, ale z Maską jest gorzej, przeziębila grypę, nie położyła się w porę do łóżka i teraz ma. Zapalenie płuc. Kochanka jak tylko wraca z Zakładów Krawieckich przy Zespole Więziennictwa Zamkniętego, zaraz tam do niej idzie i

siedzi przy jej łóżku do końca, do wieczornego apelu. A czasami nawet pozwalają jej czuwać przy chorej i dłużej, oczywiście poza regulaminem. Za komuny coś takiego nie mieściłoby się w głowie, ale teraz wszystko się rozprzęgło, nawet więzienny rygor. Jeżeli Masce temperatura jeszcze przez kilka dni nie spadnie, przewiozą ją do Warszawy. Często po wieczornym apelu pozostaję w celi sama z panią Manko. Ona też do tej pory była raczej małomówna, czasami tylko wyrażała swój głośny sprzeciw wobec tego, co się tutaj po nocach działo.

- Takich zboczeńców jak one to lepiej omijać z daleka - powiedziała. - Bo to człowiek wie, co takie zrobi? Jeszcze przez złość jakiej trucizny dosypie do jedzenia.

- A skąd by ją wzięły.

- Ach, co się tu nie wyprawia, nie chce mi się mówić. Dłużej pani pobędzie, to sama pani zobaczy.

Skorzystałam z okazji i spytałam, czyją własnością jest wizerunek generała Jaruzelskiego.

- Tej Agaty. Wymyśliła sobie, że dzięki niemu spotkała miłość swojego życia, bo ona siedziała w stanie wojennym z taką solidarnościową. Z tą samą, co stąd niedawno wyszła. Tamtej pod wpływem tego potwora przeszła i polityka. Podobnie miała nawet męża, co ją odwiedzał. A tu nagle wielka miłość do naszej Agaty. Za bramę wyszły razem. I tak co jakiś czas wracają.

- A widziała pani tę jej miłość?

- Widziałam i w głowie mi się nie chciało pomieścić. Proszę panią, śliczna dziewczyna, jak te z tych reklam w telewizorze. Szczuplutka, buzia ładna. Nigdy bym nie powiedziała, że w niej takie zepsucie. I to podobno z dobrego domu, rodzice wykształceni.

Ojciec daje łapówki, to ją wcześniej wypuszczają. Wywiózłby ją gdzieś, za granicę, jak ma pieniądze... Ale teraz się dowiedziałam, że one obie narkomanki. To już dziewczucha się zmarnuje.

I pani Manko rozgadała się na dobre.

opowiada pani Manko

kiedy zaczęło się to wczesnokapitalistyczne bezrobocie, ją i jej męża zwolnili z pracy. Mieszkają w małym mieście na Mazurach, region nieuprzemysłowiony, przedtem, za komunistów, to każdy musiał mieć pracę. I miał, mało zarabiał, bo mało, ale na życie wystarczało. A teraz zaczęli ludzi zwalniać, w ich miasteczku bezrobotni to prawie połowa mieszkańców. Ale co się dziwić, małe zakłady bankrutowały jeden po drugim. Wysiew bankructw w ostatnich latach był chyba większy niż grzybów po deszczu. Ona pracowała w przetwórni warzyw, była księgową, a jej mąż, inżynier, został zdjęty ze stanowiska dyrektora pegeeru. Pegeer szedł do kasacji, chłopom pozwolono wykupywać ziemię.

- Tyle jego życia poszło na zmarnowanie - powiedziała smętnie. - Człowiek harował czasem po szesnaście godzin na dobę i gospodarstwo kwitło, przynosiło zyski. A teraz rozkradają resztki, maszyny, co to na wagę złota w rolnictwie, rdzewieją na deszczu. Ot, i taka polityka...

Musieli coś zacząć robić, do emerytury daleko, jej brakuje dziesięciu lat, mężowi nawet więcej. Ale okazało się, że dla nowych właścicieli Polski są za starzy. Teraz wszędzie szukają ludzi rzutkich, z pomysłami. Najchętniej po szkole hotelarskiej i ze znajomością obcych języków. Bo postawiono u nich na

rozwój turystyki. Więc naradzili się i zaciągnęli kredyt pod zastaw mieszkania na otwarcie małego sklepiku. Ona stanęła za kontuarem, mąż się zajął dostarczaniem towaru, część pieniędzy z tego kredytu poszła na zakup samochodu dostawczego. Trafiła im się okazja, kupili dwuletniego volkswagena diesla. Pracowali ciężko, całą rodziną, bo i dzieci jak wracały ze szkoły, starały im się pomagać. Najmłodszy synek, siedmioletni Adaś, tymi rączynami zdejmował towar z samochodu, potem ustawiał na półkach. Robili to po zamknięciu sklepu, do późna, potem trzeba było usiąść do rachunków, czy wszystko się zgadza. Czasami to żal jej było dziecka, oczka mu się kleiły, bo to pod północ podchodziło.

- Idź, synek, do domu - prosiła.

A on tylko główką kręcił.

- Pomogę ci sklep zamknąć.

Ojciec pierwszy szedł spać, bo musiał wstawać o czwartej rano i jechać do hurtowników. A ona liczyła te przychody i rozchody i pilnowała, żeby w terminie spłacać odsetki. Ale właśnie te odsetki ich zjadły. Nie nadążali ze spłatami, ich zadłużenie rosło, zaczęli zalegać u hurtowników. W końcu musieli sklepik zamknąć. A długi zostały, karne odsetki narastały, to już szło w miliony. Ona siedziała w domu, mąż się zgodził za ogrodnika u takiego jednego, co mu się powiodło. Taki z byłej nomenklatury, wtedy mu było dobrze, a teraz jeszcze lepiej. To bogacz, najnowszym typem mercedesa jeździ. Urlopy z żoną spędza na Hawajach. A jej mąż, człowiek po wyższych studiach, został u niego służącym, żywopłot wokół posiadłości przycina, bo to nawet nie willa, a posiadłość. Całkiem jak ranczo na Zachodzie. Raz mąż



wraca do domu cały pokiereszowany, oko podbite, wargę rozcięta. Okazało się, że hurtownik, co mu najwięcej są winni, wynajął dwóch z mafii rosyjskiej. Odgrażał się i słowa dotrzymał. A potem mieli sprawę w sądzie. Prokurator oskarżył ich, że z premedytacją oszukali bank. Zastanawiali się, które ma wziąć winę na siebie. Wyszło, że ona. Dzieci co prawda zostały bez matki, ale jakby mąż poszedł, toby nie mieli z czego żyć. On ma pracę. W dodatku bałaby się, że serce mu nie wytrzyma, od dawna ma z nim kłopoty. Nabawił się choroby na państwowej posiadzie, bo to w gumiakach po polach chodził. Zbiór buraków czasem wypadał przy pierwszych przymrozkach, woda po rowach zamarzała. Wracał siny z zimna. No i zachorował na stawy, a potem na serce.

Za chwilę zobaczę Izę. Będę na nią patrzeć, usłyszę jej głos, jej śmiech. Śmiała się z głową lekko przechyloną do tyłu, wydając niski, gardłowy dźwięk. Zupełnie jak Marlena Dietrich. Fizycznego podobieństwa nie było między nimi, ale miały bardzo podobny uśmiech. A może jednak łączyło je coś więcej, obie były zrobione z tego samego materiału, z łatwością mogłabym sobie wyobrazić, że moja pani wychowawca jest córką aktorki. Obie były blondynkami, ich figury miały dużo wspólnego, tylko rysy twarzy różniły się zasadniczo; Iza była bardzo słowiańska, miała jednak szeroką, trochę jakby tatarską twarz. Nie, nie, była niezwykle kobieca, te lekko wystające kości policzkowe dodawały jej tajemniczości. Z jednej strony chciałam wszystko o niej wiedzieć, ale też się tego obawiałam, bo gdybym się miała rozczarować

wać, co by się ze mną stało. Cała moja egzystencja zawisała na jednym jej uśmiechu... Właśnie mnie nim powitała. Była w tym radość z naszego spotkania, oczekiwanie, a także nuta onieśmielenia.

- Jak się czujesz? - spytała i byłam jej wdzięczna, że w ślad za Myszwotą nie zaczęła mi mówić pani.

- Już dobrze, cieszę się, że panią wychowawcę ominęła ta paskudna grypa...

- Iza! - powiedziała tylko jedno słowo.

- Iza - powtórzyłam za nią. - Cieszę się, że cię widzę. Co u ciebie?

- Czytam tego de Laclosa, jeździłam specjalnie w ostatni weekend do Zielonej Góry, bo w Słubicach nie było w księgarni ani nawet w bibliotece. W Zielonej też nie było, ale trafiłam w antykwariacie. Przechodzę, patrzę, a tu stoją na wystawie *Niebezpieczne związki*...

- Palec boży.

- To ty kim tam jesteś? - pyta mnie Iza. - Markizą?

- Gdzie mnie do markizy - odpowiadam. - Byłam tylko jej nieudolną uczennicą...

- Ale Edward to wicehrabia?

- To już bliżej.

- A ta trzecia to pani de Tourvel?

- Ta trzecia z pewnością.

I na potwierdzenie swoich słów kiwam głową.

- Tylko mi nie mów, jak się kończy.

- Jak się kończy, już wiesz!

Iza patrzy na mnie uważnie.

- Markiza zabija go i idzie do więzienia?

Kręcę głową.

- Tam to jest bardziej skomplikowane, literatura jest zawsze bardziej skomplikowana niż życie.

To doskonałe porozumienie, ten rodzaj komitywy pomiędzy mężczyzną i kobietą, jaki opisał Laclos w swojej książce, tak rzadki, prawie niemożliwy, istniał między mną i Edwardem. To dlatego tak trudno było nam się rozstać, właściwie nie mogliśmy się rozstać. Nie mogliśmy jednak także ze sobą żyć, co także opisał Laclos. Być może doskonałość duchowego związku eliminuje inne. Nie potrafiłam pójść do łóżka w sposób naturalny ze swoim mężem, zawsze odczuwałam jakiś opór.

- Nie będę się szarpał z własną żoną - powiedział kiedyś zawiedzionym, pełnym pretensji głosem.

A ja płakałam, ukrywając twarz w poduszce, szlochałam głośno. Próbowaliśmy jakoś temu zaradzić, prowadziliśmy długie rozmowy.

- Daria - mówił patrząc mi w oczy - jestem ostatnim człowiekiem, który chciałby wyrządzić ci krzywdę...

Ale tak było tylko na początku naszego małżeństwa. Potem już chciał mi wyrządzić krzywdę całym świadomością, chciał mnie dotknąć, upokorzyć, chciał, żeby mnie bolało. Albo inaczej, on chciał, abyśmy cierpieli oboje, bo sądził, że z rozmysłem go odtrącam.

Groził mi nawet:

- Skoro nie możemy żyć we dwoje, będziemy żyli we troje.

Po powrocie z tamtych wakacji żyłam w napięciu, przeczuwałam, że to nie koniec naszej gry, że to do-

piero początek. Nie zadawałam żadnych pytań, ale kiedy Edward wracał później niż zwykle, nie mogłam nie myśleć, skąd wraca. Kiedyś przy śniadaniu zupełnie nieoczekiwanie, patrząc mi w oczy, powiedział:

- Dama Kameliowa zużyła przy pożegnaniu trzy tuziny chusteczek...

- Tak? - odrzekłam na pozór obojętnie. - A gdzież to się z nią żegnałeś?

- W jej łóżku.

- I jak było?

- Lepiej niż poprzednio.

- A poprzednio to też ona?

- Nie.

W ten sposób Edward dał mi do zrozumienia, iż mnie nagminnie zdradza. Nie mogę powiedzieć, że mnie to nie zabolalo, ale gdzieś w głębi pojawił się odruch akceptacji. To była myśl, że będzie nam obojgu z tym łatwiej.

Tak się zaczęły kontrolowane romanse mojego męża. Czuwałam nad tym, aby żadna z jego spraw łóżkowych, bo to w końcu na tym polegało, nie trwała zbyt długo. Po kilku miesiącach zaczynałam rozglądać się za inną dla niego zdobyczą. Zmieniłam zdanie, teraz już wolałam wiedzieć, kim ta osoba jest. Uważaj - ostrzegał mnie jakiś wewnętrzny głos, ale byłam tak pewna siebie i jego jednocześnie, że pozostawałam głucha na podobne ostrzeżenia. Tylko ja znałam całą prawdę, nasi wspólni znajomi spoglądali na mnie ze współczuciem. Biedaczka, myśleli pewnie, on ją zdradza na lewo i prawo, a przy niej odgrywa najczulszego małżonka. Było dokładnie odwrotnie. Edward odgrywał tę rolę dla nich, tak jak

ja odgrywałam swoją. Dwoje potworów... Być może, ale doskonale się bawiliśmy. To porozumienie się kończyło, gdy w grę wchodziła nasza sprawa. Czasami Edward stawał się brutalny. Wydawało mu się, że siłą przełamie mój opór. On mnie pożądał, sypiając z innymi kobietami, widział w nich mnie, tęsknił do mnie w obcych ramionach. Wiedziałam o tym i czułam się bezpieczna. Kiedy jego wzrok stawał się natarczywy, było niemal pewne, że przyjdzie do mojego pokoju. Zanim się położyłam, zamykałam się w łazience i stawałam przed lustrem, rozmyślnie gudzając się ze swoją wieczorną toaletą. W końcu jednak musiałam stamtąd wyjść. W tej konkretnej sytuacji Edward myślał tylko, jak mnie pokonać, upokorzyć, ubezwłasnowolnić. Widziałam jego nabrzmiałą, wręcz odrażającą twarz. „Zdejmij koszulę!” To było ponad moje siły, więc on mi tę koszulę sam zdejmował. Z boku musiało to przypominać walkę, i to była walka...

Szukając jakiegoś wyjścia, wpadł na pomysł, żeby udać się po poradę do seksuologa. Długo się opierałam, ale w końcu mnie zaciągnął. No i zaczęły się te wszystkie indagacje, najgłupsze z możliwych pytania. Czy stosowali państwo metodę kolankowo-łokciową? On sam zdał sobie w końcu sprawę, że to nie ma sensu. Ale podjął jeszcze jedną próbę. Zaprowadził mnie do, jego zdaniem, mądrej baby lekarza, która napisała książkę, coś w rodzaju poradnika seksualnego. To był swego czasu bestseller. Zachowywała się raczej frywolnie; mimo że nie była już osobą młodą, wyszła na moje spotkanie w skarpetkach do kostek i tenisówkach, zupełnie jak harcerka. Stwierdziła, że nie tylko ja mam takie kłopoty. Wszy-

scy w Polsce są seksualnie zacofani, spóźnieni w stosunku do Zachodu o jakieś stulecie.

- Jesteśmy w dziewiętnastym wieku - powiedziała - jeżeli chodzi o mentalność, a w sferze gier miłosnych to raczej epoka kamienia łupanego, łup, cup i po wszystkim. A miłość fizyczna to gra na najdelikatniejszych instrumentach.

Pomyślałam, że nareszcie jest ktoś, z kim będę się mogła porozumieć. Kazała mi opowiedzieć swoje życie ze szczegółami, a potem je podsumowała.

- Pani kłopoty wynikają stąd - orzekła - że pani ma przed oczyma wizerunek mężczyzny wykastrowanego. A mężczyzna wykastrowany nie ma wzdodu! Ci dwaj panowie w kalesonach, ojciec i dziadek! Zawsze się wynosi jakiś wzorzec mężczyzny z domu. To dlatego tak wielu chłopców wychowanych przez matki zostaje homoseksualistami, nie mają odpowiedniego wzorca!

- Nie, nie - odrzekłam. - Już prędej to, że mój dziadek był ubekiem, a ojciec akowcem... Po prostu nie wiem, kim jestem. Tyle światów, każdy inny, nie wiem, który jest mój.

- Myli się pani, tu chodzi o to, że mężczyzna, którego pani ceni i poważa, nosi spodnie. Jak je tylko zdejmuje, staje się śmieszny i groźny zarazem. Jak ci dwaj, których wyprowadzali w bieliźnie na śmierć. Ginęli w sposób nie licujący z powagą chwili. Kto nosił w pani dzieciństwie spodnie? Ten pani batiuszka. Babcia, młoda jeszcze kobieta, nie widziała go nigdy w kalesonach. I w pani się to zakodowało. Pani szuka wzorca miłości wzniosłej! Seks według pani jest brudny.

To była demagogia, to, co mówiła, ale chwilami

miała rację. Przecież babcia jak nastąpiła na plebani, miała trzydzieści lat. I mimo to od śmierci dziadka nie żyła już z żadnym mężczyzną. Ona żyła obok mężczyzny. I ja tak chciałam, chciałam żyć obok swojego męża; gdyby mi na to pozwolił, byłabym szczęśliwa.

Iza pokazała mi swój dziennik, w którym opisała nasze pierwsze spotkanie:

*Była to niewysoka pani, właśnie tak pomyślałam, że to niewysoka pani, a nie kobieta czy więźniarka. Miała puszyste płoworude włosy, pod którymi niemal ginęła jej twarz. Widziało się tylko jej duże, migotliwie zielone oczy.*

Pierwszą rzeczą, na którą zwróciłam uwagę, były oczy Izy, a ona teraz pisze, że w mojej twarzy widoczne były przede wszystkim oczy. To nie może być przypadek, za dużo tych przypadków. Myśmy się odnalazły...

Ciekawszy i dający więcej do myślenia jest drugi opis.

*Była w tym samym drelichowym ubraniu, tylko nie miała już tak rozwichrzonych włosów, ściągnęła je do tyłu i związała kawałkiem kolorowej włóczki. W tym uczesaniu wyłoniła się jej trójkątna twarz i lekko odstające uszy. Nie powinna tak się czesać, pomyślałam. Ale już po chwili przyszła mi inna myśl do głowy. Ludzie zwykle są nadzy, gdy odstaniają ciało, a ja oglądałam jej obnażoną twarz. Było w tym coś wstydliwego, bo to tak, jakbym ją podglądała. Taką kobiecą twarz ma prawo oglądać mężczyzna rankiem, po miłosnej nocy. Jej lekko opuchnięte od niewyspania i wysiłku powieki, jej utrudzone usta.*

*Usta z lekkim grymasem, wargi ułożone kącikami do dołu. Wyras zmęczenia...*

Cóż za paradoks, dla Izy moja twarz wygląda jak po nocy spędzonej na miłości z mężczyzną, a ja nigdy takiej nocy nie przeżyłam... ja przeżywałam tylko chwile, które były albo dobre, albo złe, wręcz koszmarnie... kiedy mój mężczyzna mnie dotykał wbrew mojej woli, kiedy niemal mnie gwałcił. „Niemał” — to słowo odgrywa istotne znaczenie. Bo nigdy nie było tak, żebym ja tego do końca nie chciała. Moja obrona wynikała z panicznego lęku, który kończył się w momencie naszego fizycznego zespolenia. Już wtedy było dobrze, już byliśmy mężem i żoną, kochającymi się ludźmi, jednością. Ale pokonanie tego momentu, jakby kładki pomiędzy uczuciem duchowym a fizycznym, stawało się coraz trudniejsze. Potem byłam zmęczona, jak chce Iza, ale też uspokojona, a nawet szczęśliwa, że mój związek z drugim człowiekiem znalazł potwierdzenie do końca. Szkoda tylko, że to było takie nietrwałe i zniknęło już w momencie kolejnej próby, kolejnego pragnienia. Tutaj niczego nie można było osiągnąć na zapas. Może dlatego zakochani do znudzenia wymieniają między sobą to słowo: „kocham”, słowo gwarant, które wymaga nieustannego potwierdzania.

Moje gwarancje były takie nikłe, jakby pisane ołówkiem. Odczuwałam niepokój, rozglądałam się, z której strony nadejdzie niebezpieczeństwo. Gdybym mogła przewidzieć, że noszę je w sobie, być może Edward by nie zginął. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Oskarżę cię”. Nie myślał, że dla niego coś się kończy. Myślał o mnie, że dla mnie coś się zaczyna.



- Moje pretensje do Edwarda brały się głównie stąd, że on mnie przestał cenić jako pisarkę. Oczywiście nigdy nie powiedział tego wprost, ale przestał oceniać krytycznie to, co piszę. A maszynopis powieści „o matce” roił się od jego poprawek i komentarzy na marginesach, w rodzaju: „Po co to?”, „To wywal, nie dociskaj pedału”. Sprzeczaaliśmy się. Gdy nie chciałam usunąć jednej ze scen, powiedział: „To nie ważne, czy coś takiego naprawdę się wydarzyło w życiu. To się musi naprawdę wydarzyć w literaturze!”

- Ale czy to było takie ważne, żeby on cię cenił?

- To było ważne, najważniejsze. Właściwie nie liczyły się dla mnie żadne inne głosy. Jego umiarkowana pochwała była ważniejsza niż nie wiem jakie peany innych.

- Między mężem i żoną liczy się co innego.

- Ale myśmy najpierw byli partnerami, a potem dopiero małżeństwem. A na dobrą sprawę małżeństwem w tym obiegowym sensie nie byliśmy nigdy... Edward mnie w jakiś sposób stworzył. Był jak ta dobra pani z Orzeszkowej, która najpierw adoptowała dziewczynkę, ubrała ją w sukienki z falbankami, a w końcu się nią znudziła i odstawiła do kąta jak lalkę. Z nami aż tak źle nie było, ale on mi odebrał coś bardzo istotnego. Swój podziw dla tego, co robię. Pamiętam, jak wziął z wieczora maszynopis książki „o matce”. Ja byłam wykończona, więc mieliśmy porozmawiać rano. Ale obudził mnie w środku nocy i powiedział: „Daria, napisałaś niezwykłą książkę, jesteś prawdziwą pisarką. Ja już tylko takie książki mogę czytać...” Potem już nigdy mnie nie obudził w

nocy, czytał moje maszynopisy, ale oddając je mówił: to jest dobre, to jest w porządku. Żadnych uwag.

- Bo może nie miał uwag.

- Właśnie o to chodziło, że nie miał.

- Ty chyba przesadzasz.

- No, na pewno przesadzam, skoro strzeliłam do swojego męża.

- Nie podnoś głosu!

- Chcesz, żebym była grzeczna? To raczej każ mnie odprowadzić do celi, bo sama nie mogę się bezkarnie poruszać po twoim królestwie. Po jego królestwie też się nie mogłam poruszać bezkarnie, najpierw mnie prowadził za rękę, a potem nagle zostawił, widziałam stale jego plecy. Więc w końcu do nich strzeliłam!

- Strzelałaś do niego z przodu.

- Co to za różnica, chciałam go zmusić, żeby mnie zaczął traktować poważnie, jak kiedyś...

Zbliża się Boże Narodzenie, powód do kolejnych rozterek, bo w prawosławiu święta wypadają mniej więcej dwa tygodnie później. To ma większe znaczenie dla ludzi wierzących, ale liczy się także tradycja. A ja jestem związana przez babcię z kościołem wschodnim. Pani Manko popełniła gruby nietakt i chyba sama to pojęła, niestety nie w porę.

- Pani to jeszcze młoda jest, pani Dario - rzekła.

- Potańczyłaby pani w karnawale, chyba żałoba się już pani skończyła?

Moja żałoba nie skończy się nigdy, jeśli już o to chodzi, nosiłam ją na długo przed tamtym dniem. Ale w świetle faktów nie mogę jej odmówić racji.

Do naszej celi została dokooptowana nowa. Jest młoda i wygląda na nieźle wystraszoną. Kochanka i

Maska, która wygrzebała się ze swojego zapalenia płuc, zagadują do niej, ale odpowiada monosylabami. Tak, nie. Przydzielili ją do pracy na terenie więzienia, tak jak mnie nie wolno jej wychodzić za bramę, a więc ma wyższy wyrok. Co najmniej kilka lat, ciekawe za co. Ma przyjemną powierzchowność, twarz ładna, ale banalna, mogłaby należeć do każdego. No, z pewnością nie jest pracownicą Instytutu Badań Literackich, to znaczy nie zalicza się do kadry naukowej, mogłaby być, czemu nie, jakąś sekretarką na przykład, z bierną znajomością języka obcego. Edward miał właśnie taką sekretarkę, która co chwila wchodziła mu do gabinetu z tekstem jego listu na brudno:

- Panie docencie, a co tu pisze: „brake” czy „breke”?

- Break, pani Aniu - odpowiadał zrazu spokojnie, ale kiedy wchodziła po raz dziesiąty, niemal wrzeszczał: - Break, do cholery!

Więc ona mogłaby być kimś takim, byle właśnie nie pracownikiem naukowym w IBL-u, co to, to nie. Twarze tych ludzi, nawet niezbyt zaawansowanych wiekiem, naznaczone były piętnem myślenia. Oni wszyscy siedzieli i zastanawiali się, co wieszcz taki to a taki miał na myśli pisząc takie to a takie słowa. Już dawno nikogo nie obchodził ani wieszcz, ani tym bardziej to, co powiedział, a oni nadal siedzieli i medytowali. Tak mniej więcej opisywał swoich kolegów Edward, chociaż było w tym trochę autoironii, on też był przecież takim badaczem poźółkłych pergaminów.

- Pokaż mi te współczesne arcydzieła - mawiał.  
- Zacznę się nimi zajmować. Jak dotąd dla mnie literatura polska skończyła się na Gombrowiczu.

- A ja? Przecież sam mnie przepytywałeś: czy pani wie, dlaczego pani opowiadanie jest takie interesujące?

- No i jeszcze ty, to fakt, ale ciebie mam na co dzień.

- Nie, nie, to Gombrowicza masz na co dzień.

- To IBL ma Gombrowicza na co dzień.

- Więc może się przeniesiecie do Argentyny - zaproponowałam. - Dla nas, wyrobników pióra, to będzie tak, jakby wywieziono tam gilotynę.

Ale takie rozmowy prowadziliśmy dawniej, kiedy jeszcze między nami nie było tak napiętych stosunków.

Iza powiedziała mi co nieco o naszej nowej współlokatorce w celi. Okazuje się, że jej nie doceniłam, to aferzystka i to na dużą skalę. Założyła fikcyjne biuro podróży i wyłudziła od naiwnych przeszło dwa miliardy złotych. Uciułała na to biuro na pomniejszych oszustwach, zbierała pieniądze na biedne dzieci, do własnej kieszeni oczywiście, brała zaliczki na wykonanie boazerii, obicia drzwi i inne usługi. W końcu wynajęła lokal, zakupiła fakсы, zatrudniła kilku pracowników i rozpoczęła działalność na szeroką skalę. Jakże musiała być sprytna, skoro jej personel nie orientował się do końca, iż pracuje w nie istniejącej instytucji i fakсы, które wysyła, trafiają w próżnię.

Nadałam jej przydomek Błagierka. Kiedy tylko oswoiła się z otoczeniem, przestała być małomówna, wręcz przeciwnie, jak tylko wchodzi do celi, zaczyna terkotać i staje się poważną konkurencją dla telewizora Maski, często nawet potrafi go przekrzyczeć.

Najgorsze, że uwzięła się na mnie i próbuje mi wmówić, iż istnieje coś takiego jak zjawisko reinkarnacji. Ona święcie w to wierzy. Jest bóstwo, taka boska energia, a *my* wszyscy stanowimy odpryski tej energii. Mamy w sobie boskość, tylko nie wiemy o tym.

- Jak pani taka wierząca - powiedziałam wreszcie - to co pani tutaj robi?

Blagierka wydeła dolną wargę.

- Ja żyję zgodnie z nakazem, nie krzywdzę słabszych...

- A ci wszyscy klienci pani biura?

- Jak ktoś ma na wycieczkę zagraniczną, to nie jest ani słaby, ani biedny - odrzekła. - Największy grzech to zabić drugiego człowieka, wtedy to się spada o kilkanaście wcieleń w dół, czasem nawet do poziomu rośliny...

Największy grzech *to* zabić drugiego człowieka... mogłabym powiedzieć, że strzeliłam do swojego męża, bo zabijał moją duszę... Albo że nie potrafił zachować umiaru w naszej wspólnej grze...

Tuż przed zgaszeniem światła do naszej *celi* zajrzała Iza. Leżałyśmy na swoich pryczach, kiedy drzwi się otworzyły i ona weszła. Żadna z nas nic nie mówiła, patrzyłyśmy tylko na nią.

Wydawała się lekko zmieszana. Stała rozglądając się na boki.

- Pani wychowawca na inspekcję? - zagadnęła wreszcie Maska.

- Przyszłam zobaczyć, jak wam się tutaj żyje - odrzekła.

Ale ja wiedziałam, że ona przyszła do mnie, chociaż nawet nie spojrzała w moją stronę.

Widziałam z góry czubek jej głowy, stała tuż pod

zarówką i na jej włosach załamywał się refleks światła.

Po jej wyjściu przez długą chwilę było cicho.

- Ale nas zaszczyt spotkał - odezwała się wreszcie któraś. - W kominie to zapisać. Iza się pofatygowwała do nas osobiście!

- Ideał sięgnął bruku - zaśmiała się inna.

- A ona to kto znowu! Wielkie rzeczy, wszystko ma takie same jak u każdej.

- Ty się z nią porównuj! Chyba wstydu nie masz!

- Albo ja się porównuję? Wiadomo, Iza to Iza.

- Kasia to Kasia - mówił ze śmiechem Edward, kiedy zwróciłam mu uwagę, że córka gospodarzy, u których spędzaliśmy od lat wakacje, wodzi za nim nieprzytomnym wzrokiem.

- Musisz być w porządku wobec tych ludzi - ostrzegłam go.

Najpierw to była chudziutka dziewczynka, która chodziła ze mną na grzyby, bo Edwarda trudno było wyciągnąć do lasu. Już pierwszego dnia po przyjeździe zasiadał w fotelu na werandzie obkładając się książkami, i tak właśnie wyglądały jego wakacje; okupował werandę bez względu na to, czy padał deszcz, czy świeciło słońce.

Lubiłam wędrowki z Kasią, była wrażliwym dzieckiem, obdarzonym wyobraźnią. Kiedy tak chodziłyśmy po lesie, kiedy widziałam jej wybuchy radości, gdy odkrywała schowanego pod mchem borowika, żalowałam, że nie jest moją córką, czy raczej naszą córką... oczywiście to już byłaby córka odchowana... Potem, jako licealistka, Kasia wolała towarzystwo Edwarda, zostawała z nim na tej werandzie, kiedy ja szłam do lasu. Po jego minie widziałam, że nie

jest z tego powodu uszczęśliwiony. Nawet narzekał. Ale nagle te narzekania ustały. Jakby nożem uciął. To mnie zastanowiło, zaczęłam się tym dwojgu przyglądać, tej ich komitywie. Zauważyła ją także matka dziewczyny.

- Pan docent to taki zaklinacz węży - powiedziała. - Naszą Kaśkę naprawdę zaczarował.

Minęło jeszcze kilka lat, straciliśmy Kasię leśniczanekę z oczu. Któregoś pięknego dnia zasiedliśmy przed telewizorem, aby obejrzeć *Trzy siostry* Czechowa, które były przedstawieniem dyplomowym studentów Wyższej Szkoły Teatralnej, na tyle udanym, iż zdecydowano się je zarejestrować. Najmłodszą siostrę grała... Kasia. I to jak grała! W pewnej chwili Edward powiedział:

- Nie uważasz, że sztuka powinna nosić tytuł *Najmłodsza siostra*? Ona kasuje wszystkich.

Patrzyłam na ekran jak oniemiała.

- Nie wiedziałam, że ona zdawała do szkoły teatralnej - powiedziałam wreszcie.

- Ja wiedziałem - odparł.

Spojrzałam mu w oczy.

- Mogłeś mnie o tym poinformować.

Edward zrobił nieokreślony ruch ręką.

- Nie przyszło mi to do głowy.

Na ekranie toczyły się Czechowowskie dialogi i musiałam przyznać, że mimo iż partnerki i partnerzy Kaśki byli bardzo dobrzy, nie potrafili jej dorównać. Jej postać przykuwała uwagę, sposób, w jaki wypowiadała swoje kwestie, mimika twarzy, gesty, wszystko to stwarzało jakąś harmonię, działało na wyobraźnię, było czymś jedynym i niepowtarzalnym. To była Irina, najwspanialsza, jaką można sobie wyobrazić.

- Popatrz tylko, jak ona gra! - zachwycił się Edward.

- Mam nadzieję, że to nie jest Najmłodsza Siostra z twojej sztuki!

- Z naszej — poprawił mnie.

Patrzył na mnie z lekką ironią.

- Ona nie, rozumiesz! - powiedziałam wolno. - Nie mogłabym spojrzeć w oczy jej rodzicom...

- Przecież już tam nie jeździmy - odrzekł z przekorą.

- Wszystko jedno!

Zaśmiał się, odchylając głowę do tyłu.

- Droga żono, naprawdę mnie przeceniasz, czy wyglądam na takiego, który dupczy wszystko, co się rusza?

- Ja cię tylko ostrzegam - stwierdziłam oschle. - Nigdy bym ci tego nie wybaczyła!

Twarz Edwarda stała się zamknięta, wręcz odpychająca.

- To nie ty masz wybaczać! - usłyszałam.

Czym jest dla mnie obecność Izy, przekonałam się, gdy nagle zniknęła z mojego pola widzenia. Wyjechała na święta, miała wrócić dopiero po sylwestrze. Cele opustoszeją w tym czasie, bo wiele więźniarek otrzyma przepustki. Z naszej celi tylko pani Manko, bowiem Maska i Kochanka postanowiły zostać na święta. Stwierdziły, iż będzie im tutaj mniej smutno niż za murem. Czas stanął w miejscu, nic mi się nie chciało robić, do obiadu leżałam na pryczy, a potem wlokłam się do biblioteki, bo był to mój obowiązek. Wracałam wieczorem i znowu włąziłam na górę, układając się twarzą do ściany. Na dole kotłowało się to trywialne więzienne życie, to życie kobiet słó-



czonych na paru metrach. Kibicował im mały ekran, czekał bez przerwy.

Kiedy zostaję sama, coraz częściej wracam do przeszłości, tak jakbym z powrotem chciała odzyskać swój życiorys albo chociaż jego fragmenty. Przyjechałam tu jako człowiek z wymazaną pamięcią. Istniał dla mnie tylko czas teraźniejszy. Nie robiłam żadnych planów na przyszłość, panicznie też bałam się odwrócić głowę do tyłu. Ale to było zrozumiałe, tuż za plecami miałam śmierć. A teraz coś we mnie powoli ożywa, niczym przebiśnieg wyłania się nadzieja. Być może za wcześnie. Właśnie została zmrożona wyjazdem Izy.

Na kilka dni przed Wigilią wróciła do naszej celi Agata, z przykrością stwierdziłam, że utyka. Do jej fizycznego szkaradzieństwa doszło jeszcze kalectwo. Jak to mówią, nie dość, że ślepa, to jeszcze garbata. Wyniknął problem, które ma zająć miejsce. Do tej pory na dolnej pryczy spała pani Manko, drugą okupowały razem Maska i Kochanka, a trzecia była wolna. Okazało się, że wcześniej zajmowała ją ukochana Agaty. Agata ją jej odstąpiła, bo dziewczyna cierpiała na lęk wysokości. A potem, po jej wyjściu, już się nie przeniosła na dół. Może nie chciała żyć wspomnieniami spędzonych tam wspólnie chwil. Pani Manko opowiadała, że jak te dwie parki zaczynały gruchać, to nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. „Chodź weź, człowieku, i wal głową w ścianę”. Nawet nie miała się przed kim wyżalić, bo mężowi na widzeniach wstydziła się opowiadać, co tu się po nocach wyprawia. Jak ja przyszłam, wstąpiła w nią nadzieja, we dwie zawsze różnie. Modliła się tylko

w duchu, abym nie była taka jak one. Już by wołała dzielić celę z najgorszą morderczynią, byle nie zbrozoną. „Ja tej nocy, co Agata do pani wlaźła, to wszystko słyszałam, ale nie odzywałam się, boby mnie jeszcze ten potwór zabił”. Stanowczo pani Manko nie była osobą taktowną.

Teraz tę trzecią dolną pryczę zajmowała Bлагierka. Nie było jednak mowy o tym, by Agata z kontuzjowaną nogą wdrapywała się na górę, jakiś wstrętny głos odezwał się we mnie, że już jestem bezpieczna i mimo jej obecności będę mogła spokojnie spać.

- Przenieście się, dziewczyny - zwróciła się Agata do moich sąsiadek z dołu.

- Co ty, my tu mamy swoje gniazdko - zaproponowała Maska.

- Jasne, że tak, my tu śpimy - zawtórowała jej Kochanka, która była zawsze jak echo tej pierwszej.

Wiedziały, że mogą się postawić, bo Agata miała dość niepewną minę. Stojąc pośrodku celi ze swoim tobołkiem w ręce, rozglądała się bezradnie, nie wypadało jej proponować przenosin na górę pani Manko, z uwagi na jej siwe włosy. Kobieta rzeczywiście była niemal siwa, chyba trochę za wcześnie. Siwizna zresztą bardzo ją postarzała, zdziwiłam się, kiedy mi powiedziała, ile ma naprawdę lat.

Na to weszła Bлагierka, która pomagała w kuchni i wracała najpóźniej. Miała w sobie tak samo dużo kobiecości jak Iza, ale stanowiła jej przeciwieństwo. Niczym w promieniach rentgena widziało się, co ma w środku. Zaakceptowała swoją nową sytuację bez szemrania, stała na okrągło przy zlewie i szorowała zasmolone rondle. Obawiała się tylko, że zniszczy sobie ręce, że jej się na trwałe skóra zmaceruje, i

jak sobie później poradzi, po wyjściu stąd. Gdyby jej przyszło do głowy założyć jakąś nową fikcyjną firmę, nie będzie przecież cały czas chodziła w rękawiczkach. A zniszczone dłonie od razu by ją zdradziły. Były więc przedmiotem jej szczególnej troski. Przez jakiegoś Wojtusia - który przejmował za granicą jej fikcyjne faksy; dzięki temu, że ich związek był w sensie prawnym nieformalny, nikt się nie mógł do niego przyczepić, a ona go w sądzie ochraniała - sprowadzała gumowe rękawiczki, uważając, że to jej się w przyszłości opłaci, wypielęgowane ręce to inwestycja! Kiedy dowiedziała się, w czym rzecz, rzekła:

- Co za sprawa, ja idę na górę - i podśpiewując zaczęła zwiijać swoją pościel.

Jakoś źle teraz śpię, po wielekroć budzę się w nocy. Może przyczyna leży w rozłące z Izą. Na Malczewskiego też tak leżałam z otwartymi oczami. Myślałam o Edwardzie i o niej. Jak to między nimi wygląda, co do siebie mówią, kiedy budzą się rano. Myśmy spotykali się przy śniadaniu, a oni sypiają w jednym łóżku. Jak Edward to znosi, on, który tak samo jak ja potrzebował izolacji. Kiedy pracował, nie znosił czyjejs obecności na terytorium, które uznawał za swoje. Nawet ja mu przeszkadzałam. Odpowiadał mi nie na temat, nerwowo przekładał papiery na biurku, czekając, kiedy sobie pójdę. A ta jego kobietka, jak sobie z tym radziła? Nie sądziłam, by umiała zajmować się sama sobą, z pewnością wymagała, aby on ją zabawiał. Co wtedy o niej myślał? Czy bywały takie chwile, kiedy miał jej serdecznie dosyć? Czy żałował swojej decyzji? Przecież z łóżka trzeba kiedyś wyjść... Jak wyglądało ich łóżko... co

było w nim tak szczególnego, że Edward poświęcił swoją niezależność. Przypominałam sobie sceny erotyczne z głośnych filmów, przypasowywałam twarze mojego męża i jego partnerki do tamtych ciał. Raz nawet wywlekłam z pamięci Polę Negri i Rudolfa Valentino... i mimo że wcale mi nie było wesoło, parsknęłam śmiechem. Usiłowałam też przywoływać nasze zbliżenia miłosne. Sam moment wtargnięcia. Co ja wtedy czułam i co on musiał czuć? Chciałam przede wszystkim odtworzyć jego reakcje. I nie potrafiłam... nie pamiętałam żadnego jego słowa ani gestu. Byłam, tylko ja, siebie pamiętałam bardzo dobrze, a najlepiej pamiętałam swój lęk... Więc może dlatego nie byłam zazdrosna o Edwarda, potrafiłam się pogodzić z jego drugim życiem erotycznym, bo nie gromadziłam w sobie żadnych szczegółów z naszego wspólnego życia. Pomijałam brutalność, egoizm, zaślepienie, wybierając dla siebie czułość, oddanie, duchowe porozumienie. Za nic nie chciałam, aby obdarzył tym inną kobietę. Tu sobie uzurpowałam wyłączność. Nie mogłam jednak powiedzieć tego dziewczynie, która pewnego dnia zjawiała się w naszym mieszkaniu. Odezwał się dzwonek, otworzyłam drzwi i zobaczyłam ją stojącą na wycieracze. Była zmoknięta, bo właśnie padało, miała na sobie prochowiec, z długich prostych włosów kapłała woda. Mokra była też jej twarz, w której punkt centralny stanowiły oczy, ogromne i jakby głodne. Krył się w nich głód miłości. Przychodziła tu zrozpaczona, po długiej wewnętrznej walce.

- Czy zastałam Edwarda? - spytała.
- Nie - odrzekłam. - Wyjechał.
- Wyjechał? A kiedy wróci?

- Za dwa miesiące. Jest w Ameryce.

Panika. To, co dostrzegłam w tych oczach, to była panika. Poczulałam się wobec niej jak winowajczyni. Wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że nasze gry małżeńskie przestają być tylko naszą sprawą i że to wszystko zmierza w złym kierunku.

- Może pani wejdzie? - zaproponowałam.

Weszła, zdjęła przemoczony płaszcz. Dałam jej herbaty. Rozglądała się po naszym ciasnym mieszkanku w taki sposób, jakby było świątynią, w której spodziewała się zastać swojego bożka. Tymczasem nie było go, wyjechał do Ameryki.

- Pani jest siostrą Edwarda?

Zdumiało mnie to pytanie, a więc tak mnie jej przedstawił. Powiedział, że mieszka z siostrą.

- W pewnym sensie - odrzekłam, kojarząc już bohaterkę tego romansu.

Była nauczycielką muzyki w małym miasteczku, przyszła na jego odczyt. Zawstydzona, ledwo udało mu się wydobyć z niej, jak ma na imię. Ale przyjęła zaproszenie na kolację, a potem poszła z nim do hotelu.

- To bardzo podniecające - powiedział potem - kiedy kobieta wstydzi się swojego ciała, które jest piękne... Dziewczęce piersi, płaski brzuch, smukłe nogi...

- Pani jest siostrą? - upewniła się, widocznie moja poprzednia odpowiedź jej nie usatysfakcjonowała.

Maska otrzymała paczkę z domu. Tak ją ten fakt zbulwersował, że nie była w stanie sama do niej zajrzeć. Poprosiła swoją przyjaciółkę. Kochanka, wyjmując po kolei wiktuały starannie pozawijane w płócienne ścierki, relacjonowała:

- Kiełbasa suszona. Grzybki marynowane. Miód. Makowiec...

- A jest może jakiś list? - spytała Maska niepewnie.

- Nie ma - odrzekła krótko Kochanka.

- Może chociaż parę słów?

Kochanka pokręciła w milczeniu głową.

Wczoraj obudziłam się nad ranem; w ciszy słychać było tylko ciężkie oddechy i pochrapywania moich współtowarzyszek. Niestety, nie mogę się od nich uwolnić, one są jak moja gwardia przyboczna.

Wypowiedź Edwarda w telewizji była jak hasło do ataku na mnie, tylko moje nazwisko zauważono, bo inni się nie liczyli, nikt ich nie czytał, nikt ich więc teraz nie wydawał. Edward bagatelizował te napaści. Może chciał mnie jakoś uodpornić, zmusić do dystansu wobec tego, co o mnie piszą. A może nie w pełni do niego docierało, w jakim znajduję się stanie. On był przyzwyczajony do takich napaści, stale go ktoś atakował, wyciągano mu komunistyczną przeszłość. Za komuny też miał złą prasę, gryzło niektórych w oczy jego burżujskie pochodzenie, ojciec Edwarda był przed wojną właścicielem fabryki. Wtedy może trochę się tym przejmował, bo taki jeden i drugi głos mógł zaważyć na jego losie, mogli mu odebrać ukochane dziecko: jego miesięcznik. Teraz były to jedynie środowiskowe porachunki, które miał sobie za nic. Kiedyś ze śmiechem przeczytał mi fragment tekstu kolegi z IBL-u. Napisał o Edwardzie, że jego znajomość literatury amerykańskiej kończy się na odczytywaniu napisów z barów McDonalda. A było powszechnie wiadomo, że Edward jest jednym

z wybitniejszych specjalistów w tej materii. Ludzi, którzy mu chcieli dopiec, nie cenił, zazwyczaj nimi pogardzał. Uważał, że nie są Europejczykami. A ktoś, kto nie był Europejczykiem, automatycznie spadał w jego tabeli ocen do poziomu czworonoga. Więc może on po prostu nie podejrzewał, do jakiego stopnia czuję się zraniona. Był mężczyzną, a mężczyzna czasami potrafi być bardzo tępy. Ale czy do tego potrzeba wiele wyobraźni, żeby wczuć się w sytuację kogoś takiego jak ja. Mąż mieszka z młodszą, a opuszczoną żoną zewsząd atakują. A może ja po prostu nie umiałam się przystosować do nowego życia. To tak, jakby zająca bielaka wypuścić nagle z klatki w naturalne warunki, zostałyby natychmiast zagryziony. Edward trzymał mnie w takiej klatce, a potem ją nagle otworzył i powiedział: radź sobie sama. Niemal natychmiast zetknęłam się z chamstwem, brutalnością, małością ludzką. Nie wiedziałam, jak się przed tym bronić. Jako dziecko żyłam w świecie ludzi prostych, którzy byli dla mnie czytelni jak otwarta książka. Byli to ludzie dobrzy. Widywałam wokół siebie życzliwe, uśmiechające się do mnie twarze. „Niech cię Bóg błogosławi, Daria” - słyszałam często. Na Wielkanoc każdy przechodzący brał się od razu do całowania: „Christos woskriesie!” Edward nie mógł pojąć tych zwyczajów.

- Dlaczego obcy ludzie całują mnie prosto w usta? - pytał, nie kryjąc obrzydzenia.

- Bo Chrystus woskriesie - odpowiadałam ze śmiechem.

Potem było moje życie z Edwardem. Otoczył mnie jakby murem, odizolował od reszty ludzi, był na co dzień jedynym człowiekiem, z którym się widywa-

łam. Więc przywykłam do tego, że obok mnie jest ktoś o dużej kulturze osobistej, a także dużej kulturze słowa. I nagle opadła mnie zgraja pismaków.

Wigilia. Myślę, że gdyby pan Jezus w tym dniu zstąpił na ziemię i zastanawiał się, dokąd się udać, kogo ze strapionych pocieszyć, jak to miał w zwyczaju, powinien skierować swoje kroki do kobiecego więzienia. Miałby sporo roboty, bo zastałby tu same Marie Magdaleny. Nadźwigałby się tych kobiecych ciał padających Mu do nóg i obmywających Mu stopy łzami. Nawet w naszej celi panowała cisza, telewizor stał beczynnym. Maski i Kochanka siedziały na swojej pryczy przytulone do siebie głowami. Agata leżała nieruchomo, odwrócona twarzą do ściany, a Błagierki nie było. Ona jedna nie miała wolnego, musiała pomagać w kuchni. Zjawiała się dopiero na kolację, czy też raczej wieczerzę. Przyniosła opłatek, poczęłyśmy się nim łamać. Wszystkie miały łzy w oczach oprócz mnie, nie byłam podatna na takiego rodzaju wzruszenia. Myślałam, z kim się przelamuje opłatkiem Iza. Ciągłe tak mało o niej wiedziałam, chociaż była dla mnie tak ważna. Już wszystkie ze wszystkimi się wycalowały, złożyły sobie życzenia, pozostałyśmy tylko my dwie. Ja i Agata. Czułam, że ona boi się do mnie podejść, że nie jest pewna, jak na to zareaguję. Więc ruszyłam w jej stronę z opłatkiem. Przyjęła go skwapliwie. Osoby wtajemniczone, to znaczy wszystkie z wyjątkiem Błagierki, obserwowały tę scenę w milczeniu. To była przecież scena pojednania. Obie miałyśmy sobie co wybaczać. Potem, w czasie wieczerzy, Agata powiedziała:

- W szpitalu przeczytałam tą książkę o matce...  
Podobała mi się...



Powiedziała to bezosobowo, nie wiedząc, jak się do mnie zwracać. Pani czy ty. Zaproponowałam, abyśmy mówiły sobie wszystkie po imieniu. W końcu jedziemy na tym samym wozie.

- A szkapa kulawa - roześmiała się Maska.

Blagierka wlepiła we mnie swoje niewinne oczy dziecka i powiedziała w najwyższym zdumieniu:

- To ty jesteś ta Daria Kalicka, ta pisarka! Ja znam twoje wszystkie książki! Ja je kocham!

Więc nie jest tak źle, pomyślałam, czytają mnie także aferzystki. To już o oczko wyżej.

Nie poszłam z nimi na więzienną pasterkę, zostałam sama w celi.

Myślałam o swojej pierwszej Wigilii, jaką spędzałam bez Edwarda, tylko ze stryjem. Pojechaliśmy do jednego z kościołów, aby tam pomodlić się za duszę mojego ojca. Stryj był szalenie religijny. A potem siedzieliśmy samotnie przy stole. Czy Edward też czuł się samotny wśród licznej nowej rodziny. Nienawidził takich spędów i miał szczęście, że trafił na mnie. Kiedy babcia mieszkała jeszcze w Borysówce, jeździliśmy tam na święta, więc omijała nas ta cała przedświąteczna krzątanina. Teraz mniej mu się poszczęściło, jego Ładniutkie Cielątko miało całe tabuny ciotek i wujków i wszyscy się dopytywali, kiedy się z ich siostrzenicą ożeni. I koniecznie ślub kościelny. Nie mieli zielonego pojęcia, że Edward przeszedł na prawosławie. Oboje nie byliśmy specjalnie religijni, ale ślub wzięliśmy ze względu na moją babcię. On się zresztą długo opierał, zgodził się dopiero pójść ze mną do cerkwi, gdy mu zagroziłam rozstaniem... Ciekawe, jak się zwracał do swojej przyjaciółki, czy zdrabniał jej imię? Czy nazywał ją Alą? Bo chyba

przecież nie Alicją, to brzmiałoby zbyt pompatycznie. Do mnie mówił o niej: „moja pani” i był przy tym lekko zażenowany. A ona o nim? Chyba nie: „mój mąż”...

Raz tylko byłam mimowolnym świadkiem ich rozmowy przez telefon, Edward wpadł na Malczewskiego w przerwie między zajęciami na uniwersytecie, spytał, czy może zatelefonować i przechodząc do gabinetu, zamknął za sobą drzwi, ale one same się otworzyły. Pomyślałam nawet z lekką autoironią, że otworzyła je moja ciekawość.

- To ja - powiedział do słuchawki. - Wrócę po szóstej, co kupić?

Ona coś mu tam perorowała.

- Nie, nie mogłem teraz wpaść, miałem za mało czasu... Nie jestem głodny, właśnie wypilem kawę...

Zaparzył sobie tę kawę przed chwilą u mnie, ale tego jej oczywiście nie powiedział. Słuchał jakiejś nadzwyczaj długiej przemowy, której kawałek i ja podsłuchałam. Po prostu podniosłam słuchawkę w kuchni, licząc na to, że on tego nie zauważy.

- ... a oni sobie wyobrażają, że będę tłumaczyła te bzdety za półdarmo... jakby mi dali Szekspira, to bym się specjalnie nie wyklócała, ale za marny kryminalik niech bułą!

- To bardzo inteligentne, co mówisz - usłyszałam jego głos.

Co w tym takiego inteligentnego, pomyślałam z powątpiewaniem.

Nie mogłam w to początkowo uwierzyć. Napisałam na kartce: „Pani de Tourvel?”, ale byłam pewna, że otrzymam odpowiedź: „Skądże”. Tak jak kiedyś, kiedy padło podejrzenie, że przyjaciółka Edwarda

spodziewa się z nim dziecka. W mieście, w którym mieszkała, Edward prowadził repetytorium dla nauczycieli języka polskiego. Była jego słuchaczką, bardzo nim zresztą zafascynowana. Długo się zastanawiał, czy rozpocząć ten romans; według jego oceny ona to był typ Anny Kareniny i mógł mieć z nią potem kłopoty. Jego obawy, jak się okazało, były uzasadnione. Polonistka napisała dramatyczny list, pełen wymówek, i na końcu czerwonym ołówkiem, którym pewnie poprawiała uczniom klasówki, podkreśliła zdanie: „Spóźnia mi się okres”. Edward pokazał mi ten list, zastanawialiśmy się, co ma zrobić, w końcu stanęło na tym, że tam pojedzie. Trzeba było wyjaśnić, co z tym okresem polonistki. Pojechał, a ja nie mogłam sobie znaleźć miejsca, w końcu wysłałam mu do hotelu telegram treści następującej: „Madame Butterfly?”, po kilku godzinach nadeszła odpowiedź: „Skądże”.

A teraz mnie zaskoczył. Początkowo nie zdawałam sobie sprawy, na ile poważnie brzmi to „tak”. Postanowiłam jednak tego nie lekceważyć i po powrocie z wakacji wprowadzić się z powrotem do naszego mieszkania. Kiedy zbliżaliśmy się do Warszawy, on mnie ostrożnie spytał, gdzie ma najpierw jechać, na Malczewskiego czy do domu.

- Do domu - odrzekłam.
- Chcesz wziąć jakieś potrzebne ci rzeczy?
- Ja tam mieszkam!

Ale niestety już tam nie mieszkałam, tylko nie wiedziałam o tym. Edward wniósł na górę nasze walizki, po czym powiedział, że musi wyjść na chwilę i nie pojawił się do rana. Zadzwoił do mnie z redakcji.

- Daria... między nami nic się nigdy nie zmieni...  
ale... jest w moim życiu ktoś jeszcze...

- Kto?

Odchrząknął.

- Inna kobieta.

- Czy ja ją znam?

- Tak.

- Kto to jest?

- Alicja.

- Chyba nie ta z Krainy Czarów?

- Uczyła mnie angielskiego...

- Więc jednak pani de Tourvel - powiedziałam z  
przekąsem.

- Daj spokój - odrzekł niecierpliwie.

- Już się ze mną nie bawisz?

- To ty się mną bawiłaś.

- Ale niewierny byłeś ty!

- Z twoim błogosławieństwem.

- Więc je cofam - powiedziałam szybko, czując  
jednocześnie, że właśnie tego nie powinnam mówić,  
że brzmi to w obecnej sytuacji żałośnie.

W słuchawce zapadła cisza; nie mogąc jej znieść,  
rozłączyłam się. Telefon już nie zadzwonił, a ja uję-  
łam nie rozpakowaną jeszcze walizkę i pojechałam  
na Malczewskiego. Otworzył mi stryj, wyświeżony, w  
bonzurce. Widząc tę moją walizkę, pokiwał tylko głó-  
wą. Poprzedniego wieczora oznajmiłam mu, że zo-  
staję z Edwardem.

- Na jak długo? - spytał.

- To mój mąż - odrzekłam.

Tuż po świętach przeżyłam koszmarny dzień. Roz-  
bolał mnie ząb, więc zgłosiłam się do izby chorych,  
ale okazało się, że gabinet dentystyczny jest nie-

czynny. Stara bormaszyna rozleciała się, a nie ma pieniędzy na nową. Kryzys dotarł także tutaj. Więźniów wozi się teraz do miasteczka do normalnej przychodni i to tylko w nagłych przypadkach. Strażniczka uparła się jednak, żeby mnie i tej drugiej z bólem zęba założyć kajdanki, że inaczej nie przyjmie za nas odpowiedzialności. A więc ponownie miałam doświadczyć tego podłego uczucia. Człowiek skuty kajdankami jest bezradny, to coś takiego, jakby padając na twarz, nie mógł jej osłonić.

Siedziałam w karetkie więziennej obok tej drugiej, tak samo skutej jak ja. Przypominała mi kobietę ze skopkiem mleka ze słynnego obrazu Vermeera, którego reprodukcję na płótnie powiesiłam w swojej sypialni.

Miałam wieczór autorski w Amsterdamie, wyszła bowiem w Holandii moja książka. Pojechaliśmy razem z Edwardem, pierwszy raz wyjeżdżaliśmy za granicę z mojego powodu i żyliśmy tam za moje honorarium, a nie z jego iblowskich diet. Czułam się dumna. On chyba też był ze mnie dumny, tyle gorących słów usłyszeliśmy o mojej książce. Ważna, niezwykła, fascynująca.

Dziwny był ten wyjazd, traktowano nas jak małżeństwo, rezerwując nam w hotelu jeden pokój, a przecież on już od ponad dwóch lat mieszkał z tamtą. Bałam się nawet, że mi odmówi, że ze mną nie pojedzie. Długo nie wiedziałam, jak mu o tym powiedzieć. Zwlekałam, aż zrobiło się późno i nie mogłam już dłużej tego odkładać. Kiedy Edward zjawił się na Malczewskiego, zaczęłam niepewnie:

- Zapraszają mnie do Holandii na spotkanie autorskie...

- No! - ucieszył się, robiąc sobie w kuchni kawę.  
- Mam nadzieję, że pojedziesz.

- Nigdy nie byłam sama za granicą. Trochę się boję.

- Naprawdę nie ma czego.

- A ty... ty byś ze mną nie pojechał?

Spojrzał na mnie, jakby sprawdzając, czy jest to propozycja serio.

- Mógłbym pojechać - odrzekł wolno. - Jeżeli to tylko kilka dni.

- Dwa!

Nie wiedziałam, co jej powiedział, sądzę, że ukrył fakt, iż jedzie ze mną. Ona była już wtedy chora, o czym też nie miałam pojęcia. A mimo to ją zostawił, a może właśnie dlatego. Potrzebował wytchnienia, odpoczynku od dramatu...

Oboje chcieliśmy pójść do Rijksmuseum. Kiedy się tam znaleźliśmy, prysnęliśmy w dwie różne strony, Edward poszedł podziwiać płótna Rembrandta, a ja udałam się na spotkanie z Vermeerem. Znałam jego malarstwo z albumów i przeczuwałam, jakie jest. Ale kiedy stanęłam oko w oko z jego obrazami, doznałam czegoś w rodzaju olśnienia. Mimo że w oryginale były dużo mniejsze, niż sobie wyobrażałam, światło tych płócien wydało mi się genialne. Sterczałam tak, gapiąc się na tę wieczną strużkę mleka nie wiem jak długo... Przedtem nie rozumiałam, po co są w muzeach ławeczki, przecież nie po to się tam przychodzi, żeby podziwiać godzinami jeden obraz. A coś takiego mi się właśnie przytrafiło. Okazało się, że przyszłam tutaj dla wiejskiej kobiety, którą malarz uwiecznił na płótnie.

A teraz miałam tuż obok sobowtóra holenderskiej wieśniaczki. Tak samo sklepiona twarz, to wypukłe

czoło, nawet wykrój oczu. Identyczny zarys ramion i dość wydatnych piersi. Żeby było śmieszniej, rękawy jej więziennej kurtki, które podwinęła do łokci, tak samo się załamywały jak u tamtej. Wiek chyba też się zgadzał. Pomyślałam, że gdyby ją zawieźć do Amsterdamu i posadzić pod obrazem, wzbudziłaby niezłą sensację.

Ona odwróciła głowę w moją stronę i uśmiechnęła się, a ja pomyślałam, że już teraz wiem, jakby wyglądał obraz, gdyby modelka malarza nalewała mleko z uśmiechem.

- Pani jest ta pisarka - odezwała się. - O pani to krążą ploty po całym więzniu...

- Mam na imię Daria - powiedziałam, dając jej do zrozumienia, że jestem taka sama jak ona. Po dość długim czasie świadomej izolacji zaczynałam szukać kontaktu ze światem, w którym się znalazłam, zaczynałam się z nim identyfikować. No, może przesadziłam z tą identyfikacją, ale była w tym zgoda na obecne życie. Prawie na pewno odegrała tu rolę obecność Izy, to był w jakimś sensie jej świat. Takiej więzi z innymi ludźmi nie odczuwałam nigdy, nawet na wolności. Ja raczej od ludzi stroniłam, unikałam ich. Nudzili mnie, irytowali.

Jedynym człowiekiem, którego akceptowałam jako partnera intelektualnego, był Edward. Choć wiele rzeczy nie mogłam mu wybaczyć, a przede wszystkim jego publicznych wypowiedzi, całkowicie niezgodnych z tym, co myślał naprawdę. Kiedyś w złości powiedziałam, że należałoby go wsadzić do formaliny i zachować dla przyszłych badaczy podwójnej socjalistycznej moralności. Jak złowrogo brzmiały teraz te słowa...

Ale to była prawda, nigdy się przy nim nie nudziłam, byłam ciekawa jego sądów, prawdziwych!, i liczyłam się z nimi. On chyba przeczytał wszystko, co było do przeczytania, a w dodatku miał fantastyczną pamięć, więc czasami po jakiejś jego wypowiedzi ciarki mi przechodziły po plecach. Czy to możliwe, aby jeden człowiek miał taką wiedzę? Był na pewno bardzo utalentowany, z upadającego miesięcznika, takiego przeglądu wydarzeń literackich na świecie, którego prawie nikt nie brał do ręki, stworzył pismo na wysokim poziomie, umiał zdobyć czytelników. Pamiętam te nerwy, kiedy chciano zdjąć z numeru opowiadanie Bułhakowa; Edward poszedł wtedy na kompromis i napisał złą recenzję z Grassa. *Błaszany bębenek* - wstrzymany przez cenzurę za sprawą wszy, która ośmieliła się wędrować po kołnierzu radzieckiego żołnierza - wydrukowało właśnie jedno z wydawnictw podziemnych. To był ten paradoks, oficjalny dziennik opublikował recenzję z książki, która oficjalnie nie zaistniała na rynku. Ale coś za coś. Recenzja została wydrukowana w wysokonakładowej gazecie, a w elitarnym miesięczniku poszedł Bułhakow. Dobre imię Edwarda ucierpiało, pismo zyskało na tym. Komuniści nie w pełni go akceptowali, mimo że on ciągle im składał wiernopoddańcze deklaracje, patrzyli mu na ręce, na te ręce jak powiązane w supełki. Trzymali go na dystans. On do nich nie pasował ze swoją kulturą, obyciem, w czasie libacji zamiast zwalić się pod stół, wypiłby góra pół kieliszka. Ktoś taki nie mógł być prawdziwym komunistą. Prawdziwy komunistą patrzył każdemu prosto w oczy, a on nigdy nie patrzył w oczy. Zupełnie jakby coś miał na sumieniu. On nawet mnie nie patrzył



w oczy, ale nie miało to nic wspólnego z wyrzutami sumienia. Był stale zamyślony, zaaferowany, ciągle gdzieś spóźniony. Redakcja, IBL, nagranie w telewizji, wywiad w radiu. Takie życie w biegu, recenzował jakieś książki, potem wyrzucał te recenzje, pisał inne. Ale on tym żył. Kiedy zmienił się ustrój i przestano go zapraszać do telewizji i do radia, bardzo to przeżywał. To była taka jego słabostka. Lubił, jak pani w sklepie stwierdzała z zachwytem: „A ja pana wczoraj widziałam w okienku!” Nieważne, że z tego, co mówił, nie zrozumiała ani słowa. Jego próżność została zaspokojona. On, prawdę mówiąc, pogardzał ludźmi, nie tylko tymi maluczkimi, trudno byłoby znaleźć autorytet, z którym by się naprawdę liczył. No, może któryś z noblistów... Ale miał wielu ulubionych pisarzy i naprawdę ich rozumiał. Mój niemiecki wydawca powiedział mi, że jest u nich taki krytyk, który potrafi lansować i niszczyć pisarskie kariery. Program, który prowadził w telewizji, cieszył się powodzeniem, bo i jego osobowość była niezwykła. O czymś pisarskim losie decydował często jeden jego kaprys; był człowiekiem nieprzekupnym i kierującym się wyłącznie własnymi gustami. Gdyby Edward mógł się zdobyć na myślową niezależność, z pewnością stałby się kimś w tym rodzaju, taką literacką wyrocznią, rzadko kiedy mylił się w ocenie pisarza. Oczywiście prywatnie, bo oficjalnie wystawiał laurki tym dobrze widzianym przez komunistów.

Moja towarzyszka z twardej ławki znowu się do mnie uśmiecha:

- Skuły nas, tak się nas boją - mówi. - Bo ja też z wyrokiem. Zadźgałam swojego kuchennym nożem.

Siedem razy pod żebra. Nawet mi ręka nie drgnęła... Za to znęcanie się nade mną i dzieciakami... Swoje odsiedzę, ale żadnej skruchy nie mam, jakby tak wstał z grobu, jeszcze raz bym to zrobiła, okiem bym nie mrygła...

Boże, przebiegło mi przez głowę, co ja tu robię...

- Taki był złośliwy, że jak mu nie chciałam dać, to jak nie widziałam, wziął i się spuścił mi na chleb. Rzygałam później do wieczora, nic mi przez gardło nie chciało przejść... Jak takiemu darować? Tylko się pytałam milicjantów, czy na pewno jest zabity na śmierć. Dopiero by mnie robił na złość...

Drugi wariant wojny seksualnej, pomyślałam ponuro. Pomyślałam też: jak ja bym się zachowała, gdyby można było wszystko cofnąć. Gdyby to był tylko dalszy ciąg gry, którą prowadziliśmy od lat. Co bym powiedziała Edwardowi? Powiedziałabym: przepraszam...

Naszego wejścia do przychodni ze skutymi rękami, w asyście uzbrojonej strażniczki nie da się opisać. Mijałyśmy siedzących pod ścianami pacjentów, którzy w milczeniu odprowadzali nas wzrokiem. Wreszcie był ten gabinet. Miano nas przyjąć bez kolejki. Ja zgłosiłam się pierwsza. Strażniczka rozkuła mnie i zajęła przed drzwiami pozycję wyczekującą. Dentystka okazała się miłą starszą panią; mimo że wiedziała, skąd zostałam przywieziona, traktowała mnie jak zwyczajną pacjentkę. Stwierdziła, że zęb kwalifikuje się do leczenia kanałowego.

- Proszę go usunąć, pani doktor - powiedziałam.

- Co też pani opowiada - obruszyła się. - Jeszcze może pani sporo lat posłużyć.

- Proszę go usunąć.

Lekarka, myśląc, że obawiam się bólu, uspokajająco rzekła:

- Zatruję go pani, nic pani nie będzie czuła.

- A jednak obstaję przy swoim.

Pochyliła się nade mną, zaglądając mi w oczy.

- O co chodzi? - spytała. - Ząb jest w takim miejscu, że będzie pani odczuwać jego ubytek.

Zawahałam się, ale postanowiłam powiedzieć prawdę.

- Przywożą mnie tutaj w kajdankach.

Pokiwała ze zrozumieniem głową, a potem ujęła kleszcze.

Iza wróciła i więzienna rzeczywistość, która bez niej była czymś obcym, oddalonym, nabrała realności, z powrotem stała się moim światem. Tak jakbym porzucając rolę komentatora zdarzeń, poczyniała sama brać w nich udział. To znaczy niezupełnie, bo ja wchodziłam w ten świat, jednocześnie pozostając gdzieś na zewnątrz. Tak jak poradziła mi Iza, stworzyłam wokół siebie przestrzeń ochronną, utrzymywałam swoje współtowarzyszki na dystans, niby trzymałyśmy sztamę, mówiłyśmy sobie po imieniu, ale one nigdy nie uznały mnie za swoją. Zauważyłam, że ilekroć się pojawiałam, nawet w ich wzajemne stosunki wkradał się element gry, zupełnie jakby chciały lepiej wypaść w moich oczach, a także w swoich własnych. Zaczęłam pełnić rolę takiego lustra przy drodze... Każda z nich po kolei opowiadała mi swoją historię. W cztery oczy. Najpierw pani Manko, potem Maska, wreszcie Kochanka. Przyszła do biblioteki razem z innymi niby to wypożyczyć książkę, ale czekała na moment, kiedy będzie mogła porozmawiać ze mną na osobności. Podeszła do pulpitu.

- Wybrałaś coś? - spytałam, bo przedtem przegłądała fiszki.

Nie odpowiedziała na moje pytanie; uśmiechnęła się tylko zażenowana:

- Moja mama to mnie bardzo kochała... ale ojciec był taki dziwny...

opowiada Kochanka

- Dziwny był - powtarza.

- Pewnie trunkowy...

Potrząsnęła głową.

- Nie pił ani kieliszka, nie lubił wódki, tylko ciągle myślał. Gdzie nie usiadł, to patrzył w podłogę i myślał.

Pokiwałam głową na znak, że potrafię to sobie wyobrazić.

- My z siostrą to bardzo się bałyśmy, jak on tak siedział. Ona, moja siostra, to kaleka, ma jedną krótszą nogę. On jej strasznie nie lubił za to, mówił, że ona udaje, kuleje, żeby mu zrobić na złość. To i on jej chciał zrobić na złość, zabrał ją do obory i na jej oczach wyruchał naszą krowę. Stanął na stołeczek, taki do dojenia, spuścił spodnie, podniósł krowie ogon... Nusia strasznie płakała, jak to robił, nie mogła uciec, bo on zamknął na zasuwę drzwi, a ona była za mała, żeby dosięgnąć zamka, to tylko wbiła się w kąt i zasłoniła oczy. To on się wściekł, uderzył ją i powiedział, że jak nie będzie patrzeć, to ją zabije. Więc patrzyła. Od tego czasu zaczęła się jąkać, to ojciec jeszcze bardziej jej nie lubił... i na złość...  
- urwała, nie wiedząc, jak mi to powiedzieć.

Postanowiłam jej pomóc.

- I na złość twojej siostrze na jej oczach zgwałcił ciebie?

Po twarzy Kochanki przebiegł cień.

- Ulka ci wypaplała? - rzekła, mając na myśli Maszę.

- Domyśliłam się.

- Nie, ona pewnie rozgaduje! A tak się przysięgała!

- Ty sama mi to powiedziałaś przed chwilą.

- Ja? - w jej oczach odmalowało się zdumienie.

- Powiedziałaś mi to bez słów. Ile miałaś wtedy lat?

- Czternaście - rzekła cicho - a Nusia pięć...

- I ojciec często tak jej robił na złość?

Spuściła głowę, a ja modliłam się w duchu, żeby nikt do mnie teraz nie podszedł, nie przerwał tej spowiedzi. Bo to była przecież spowiedź, nie ja jednak byłam głównym adresatem, ja pełniłam tylko rolę konfesjonału.

- Często - powiedziałam, gdy ona nadal milczała.

- Wiem, że często...

- Aż raz coś mi takiego zrobił, że krew buchnęła.

Byłam w szpitalu i wszystko mi tam wycięli. Ten doktor, co mi to wycinał, powiedział, że jestem w czepku urodzona, bo mogło być po mnie - widząc moje spojrzenie i źle je odczytując, uderzyła się w piersi. - Jak słowo honoru, że tak powiedział.

- Wierzę ci.

- Ojca zamknęli, ale siedział tylko dwa miesiące, bo na sprawie mama powiedziała, że to nie on. Że ja się puszczałam z kim popadnie. I mnie tak kazała mówić.

- I mówiłaś?

Przytaknęła głową.

- Mama powiedziała, że dzieci można mieć dużo, a męża ma się jednego. Taki doktor od czubków coś gadał, że ojciec musi być w szpitalu. Że u niego nie-

dobrze z głową. Ale mama powiedziała, że nas odda do domu dziecka i będzie z nim. Że on nic nikomu złego nie robi. Mama nas co niedziela odwiedzała, przywoziła nam ciasto. Sama dla nas piekła.

- Ale tutaj ciebie nie odwiedza.

- Nawet nie wie, gdzie ja jestem. Ja ciągle uciekałam, ale zawsze mnie łapali. Bo nocowałam po dworcach, po klatkach. Aż raz mnie Ulka wzięła do swojego domu. I zostałam z nią. Najpierw to się musiałam ukrywać, a teraz co mi zrobią? Mam już swoje lata.

- A co z twoją siostrą się dzieje?

- Ona została tam, chciała, żebym ją zabierała z sobą, nawet płakała, ale gdzie ona by na tej swojej nożynie uszła, zaraz by nas złapali.

Zapadło milczenie.

- Uważasz, że dobrze żyjesz? - spytałam.

- Nie - odrzekła. - Inni dobrze żyją, ja nie.

- Jacy inni?

Nie odpowiedziała na moje pytanie.

Twarz Izy zbrązowiła na słońcu, a jej świetliste oczy nabrały jeszcze blasku. Przy tej opaleniznie nawet mundur stawał się twarzowy. Włosy miała upięte w koczek i była piękna. Skąd ona tutaj, na miłość boską? - myślałam. Skąd wzięła się w tym dziwnym miejscu ta zachwycająca istota, ta kobieta zagadka, kobieta tajemnica. Przecież ona była jak więzienne nieporozumienie... Wydawała się tak samo ucieszona z mojego widoku.

- Wyjeżdżałaś się na nartach? - spytałam.

- Jak cholera. Raz na tyłku do połowy Kasprowego. Trzech facetów mnie łapało, w końcu oni też zjeżdżali na siedzeniach, bo zrobił się karambol.

Nie dziwię się im, pomyślałam.

- A wieczorami dansingowe szaleństwa?

- Wieczorami czytałam *Niebezpieczne związki* - odpowiedziała.

- I skończyłaś? - pytam.

- Skończyłam.

- Jakie wnioski?

Iza zapala papierosa, po swojemu marszcząc nos, potem bawi się chwilę zapalniczką.

- A takie, że wprowadziłaś mnie w błąd, powiedziałaś, że markiza i ten Valmont to para byłych kochanków i ona swoimi intrygami doprowadza do śmierci pani de Tourvel, którą on kocha. Tak powiedziałaś?

- Nie wypieram się.

- A to guzik prawda - Iza wypuszcza w powietrze kłęb dymu, wokół jej głowy tworzy się błękitna aureola. - Valmont nie kocha tej de Tourvel, tylko markizę!

- Kiedyś kochał.

- Cały czas ją kocha, rozumiesz. Ten Laclos zamieszał wam wszystkim w głowach, prawda jest jak na dłoni. Markiza i Valmont to para!

Iza ma taką minę, że muszę się roześmiać.

- Iza! To arcydzieło literatury światowej opisane przez setki krytyków, niektórych bardzo wybitnych, i wszyscy zgodnie twierdzą, że wicehrabia de Valmont kochał panią de Tourvel, a markiza de Merteuil oboje doprowadziła do zguby.

- To nie ona! - niemal wrzeszczy Iza. - To on! Gdyby ten idiota zrozumiał, kogo kocha, nie byłoby tej całej tragedii i takiej wspaniałej kobiety jak markiza nie obrzucaliby błotem.

- Markiza to potwór i ma, na co zasłużyła.
- Markiza to uroda, inteligencja, spryt i polot - mówi ona - a ta de Tourvel to nuda, nuda i jeszcze raz nuda..

Po mojej ostatniej wyprowadzce do stryja Edward nie odzywał się przez dwa tygodnie. Domyślałam się, że wiją sobie z Alicją gniazdko. Starłam się odtworzyć w myślach jej wygląd; kiedy się spotykałyśmy, nie przyglądałam jej się uważnie, nie była wtedy żadnym zagrożeniem. Pretensjonalna, wręcz irytująca. Opowiadając coś, krygowała się, spieszcząc wyrazy jak mała dziewczynka. Była nie do przyjęcia. I Edward, który miał tyle kobiet, porzuca mnie dla niej. To chyba było najtrudniejsze do zniesienia, bo ważne jest także, z jakim przeciwnikiem się przegrywa. Ale telefon w końcu zadzwonił.

- Daria - usłyszałam jego głos i to był głos człowieka zrozpaczonego. - Daria, nie umiem sobie poradzić...

- A czego chcesz ode mnie?
- Chcę cię zobaczyć.
- Po co?
- Bo nie umiem sobie poradzić.
- To już mówiłeś.
- Nie umiem sobie poradzić - powtórzył po raz trzeci, jakby nie docierało do niego to, co ja mówię.
- Ona jest z tobą?
- Nie. Nie widziałem jej od dwóch tygodni...
- A gdzie teraz jesteś?
- W łazience - i nagle usłyszałam szloch, a potem połączenie się przerwało.

Wyobraziłam sobie, że on jest w łazience, bo chce



popęłnić samobójstwo. Już widziałam, jak napszcza wody do wanny, aby wejść do niej i podciąć sobie żyły. Złapałam taksówkę i po dwa stopnie wbiegłam na piętro. Otworzyłam drzwi własnym kluczem. Edward siedział na krawędzi wanny i czyścił buty. Wyjął je wszystkie z szafy i ustawiwszy w rzędzie, czyścił po kolei.

Patrzyłam na to jak oniemiała.

- Co ty robisz? - spytałam.

- Ona się tu jutro sprowadza - powiedział.

Do mojego pulpitu podeszła Kochanka. Spytałam ją, czy chce wypożyczyć jakąś książkę. Odparła, że książek nie lubi czytać, ale moją książkę by przeczytała.

- Są tutaj tylko moje opowiadania.

- To niech będą - odrzekła. - Ale nic nie mów Ulce, bo ona jest o ciebie zazdrosna.

Kiedy wyszła razem z innymi, myślałam o tym, co mi powiedziała Iza. Po wysłuchaniu zwierzeń Kochanki spytałam Izę, czy to prawdopodobne, żeby żona, zorientowawszy się, iż mąż zgwałcił ich własną córkę, kryła go w sądzie.

Iza roześmiała się głośno.

- To normalka, nie dość, że będzie go kryła, to jeszcze sama mu przyprowadzi córeczkę do łóżka, byle tylko nie oglądał się za innymi babami.

- Żartujesz!

- Pracowałam w Izbie Małego Dziecka, napatrzyłam się na ofiary gwałtów własnych tatusiów. Najmłodsza zgwałcona miała dwa lata. Statystyki krzyczą! Nawet nie wiesz, ile dzieci w Polsce z lękiem oczekuje zakończenia programu w telewizji. Naciśnięcie wyłącznika oznacza dla nich koszmar, jeżeli

tatuś nie miał na ten wieczór dość rozrywek. Dziewczynki wstydzą się rano iść do szkoły, bo czasami nie daje im się ukryć śladów „pocałunków”.

- Co na to prawo?

- Jest bezsilne, dopóki taki bydlak nie zostanie oficjalnie oskarżony. A kto ma to zrobić, skoro kryje go nie tylko matka - stręczycielka, ale i córka - ofiara.

- Iza, żyjemy wśród kanibali!

Po tej rozmowie nie mogłam spać. Nie pierwszy raz mi się to zdarzało, ale po raz pierwszy nie z powodów osobistych. Moja własna wina i kara wydała się nagle czymś mało znaczącym. Dwoje dorosłych ludzi prowadziło niebezpieczną grę. Zabrakło im charakteru, aby rozegrać swoją grę czysto do końca, więc prowadzili ją dalej. Jedno z graczy już się wycofało, drugie szamotało się żałościwie, nie wiedząc, jakie ma być to zakończenie. Bo przecież gra trwała nadal, a pistolet mógł jeszcze raz wystrzelić, tak samo celnie. I co z tego. Mało ważne sprawy miewają mało ważne zakończenia. Ale kiedy tatuś za zgodą mamusi gwałci ich własną córkę, nie można tego w żaden sposób zaklasyfikować, umieścić w skali ludzkich ocen. Bo co mówi matka? Co ona mówi córce, prowadząc ją do łóżka jej własnego ojca?

Agata i Błagierka coraz częściej przebywają razem w czasie wolnym, siedzą na pryczy Agaty, głowa przy głowie, i konferują.

- Spiknęły się już, cholery - szepnęła mi pani Manko. - Będziemy miały nowy koncert, jak tamte przestaną, to te zaczną.

Było to o tyle prawdopodobne, że Bлагierce nie udało się widzenie z konkubinem, tym słynnym Wojtusiem, o które walczyła jak lwica. Robiono jej trudności, przebywała tu dość krótko, a poza tym to nie był nawet mąż. Adwokat przekonał w końcu kogo trzeba, że konkubinaty jest u nas uznawany. Więc czekała ją owo mokre widzenie w pokoiku z kanapą, o którym na początku wspominała Iza. Od rana Bлагierka się szykowała, umyła głowę, nakręciła włosy. Zrobiła sobie makijaż. Nawet ten więzienny drelich jakoś na niej wyglądał. Podciągnęła fantazyjnie rękawy, rozpięła guzik przy szyi. W sobotę po południu dosłownie wyfrunęła z naszej celi, miała się zjawić dopiero nazajutrz rano. Nikt tego nie komentował, być może z powodów czysto szowinistycznych nie znoszono tu mężczyzn. Jedyńką, która mogłaby zabrać głos w ich obronie, była pani Manko, ale ona rzadko włączała się do rozmowy. Więc nie padło żadne słowo na temat tej dość nietypowej randki Bлагierki. Wróciła jednak wściekła, nawet nie powiedziała dzień dobry, tylko weszła na swoją prycę i odwróciła się twarzą do ściany. Teraz to jej plecy oglądałam. Maska i Kochanka wymieniły ze sobą porozumiewawcze spojrzenia, jedna drugą szturchnęła łokciem.

- Walentyna, ten twój tak ci dogodził, że nie masz siły na nogach ustać? — spytała wreszcie Maska.

Nie było na to żadnego odzewu z góry, ale i tak wiedziałam, że Bлагierka wszystko opowie. Ona jedna nie potrzebowała mnie jako konfesjonału, spowiadała się głośno wobec wszystkich. Każdy szczegół jej życia, sama często nie wiedziałam, prawdziwego czy zmyślnego, był nam znany, niemal od urodze-

nia do chwili obecnej. Tylko o Agacie nie wiedziałam niczego ponad to, co mi opowiadały o niej Iza i pani Manko. Może dlatego, że była najbardziej skryta, a może nasze wzajemne relacje różniły się nieco od tych z pozostałymi kobietami. Mimo tego pojednania w Wigilię i przełamania się opłatkiem obchodziłyśmy siebie trochę bokiem. Była nawet taka sytuacja, kiedy ja myłam się w misce rozebrana do pasa, a ona nagle weszła do celi. Odruchowo zasłoniłam piersi, jak wtedy w łaźni, a ona się wycofała. Bez słowa.

- No, Walentyna, powiedz, jak się spisał ten twój samiec? - dalej prowokowała ją Maska.

Blagierka usiadła na pryczy i spuściwszy nogi, nerwowo poruszała nimi w powietrzu.

- No, jak Boga kocham - powiedziała ostrym, nieprzyjemnym głosem - co ja mam ze sobą zrobić? Przecież jestem młoda... i potrzebuję chłopa...

- Na facetach świat się nie kończy - pisnęła Kochanka.

- E tam, wy tam macie te swoje sposoby, ja w tym nie gustuję, ja to muszę mieć chłopa. A ten mój tak się wystraszył więzienia, że o niczym innym nie mógł myśleć...

To było jakiś tydzień temu, a teraz nagle taka komitywa z Agatą, więc może pani Manko miała rację. Zaczęłam się przysłuchiwać tym naradom. Okazało się, że to nie chodziło o seks, tylko o interesy. Zastanawiały się, na czym by można teraz tutaj zarobić. Agata stwierdziła, że za Jaruzelskiego, jak tu przyszła po raz pierwszy, to było eldorado. W więziennym sklepiku można było dostać tylko kaszanekę, kawę zbożową Inkę i najtańsze papierosy. Nawiazała kontakty z kim trzeba i interes szedł jak

złoto. Wszystko się błyskawicznie sprzedawało i to po bardzo wygórowanych cenach, zarabiali handlarze, pośrednicy i ona nie mogła narzekać. Więc może stąd ten sentyment do generała, pomyślałam.

- Teraz, jak ktoś ma forszę, to może kupić co chce... - ciągnęła Agata.

- Jasne - podchwyciła Maska. - Za komuny to chociaż była równość w więzieniu, bogaty czy biedny musiał w zgrzebnym siedzieć. A teraz bogacz tutaj w atłasach, a biedak dalej swoją biedę klepie.

- Sama masz telewizor, to co marudzisz - odburknęła Agata niezadowolona, że się ktoś wtrąca do rozmowy.

- Ale jaki! Te obok to mają kolorowego grundiga dwadzieścia pięć cali i wideo, klawisze tylko kasety donoszą...

- To się tam przenieś i nam dupy nie zawracaj - podniosła głos Agata.

Maska wzruszyła ramionami.

- Co się tak stawiasz, kulawy pies wsadza ogon pod siebie!

Agata wstała i utykając, zauważyłam, że jak jest czymś przejęta, to silniej utyka, podeszła do Maski. Złapała ją za klapy kurtki i niemal uniosła w powietrze.

- Może i jestem kulawa - powiedziała groźnie - ale ciągle mam długie ręce, nie zapominaj o tym.

Popchnęła Maskę z powrotem na pryczę z takim impetem, że ta uderzyła głową o żelazną krawędź, aż ściany jęknęły.

A jednak wpadły z Błagierką na jakiś pomysł, bo zaczęły obliczać, ile Agata ma dziennie dostarczać towaru, w grę wchodziły tylko dni powszednie, kiedy

pracowała poza terenem więzienia. Rozmawiały, ku mojemu zdumieniu, o szczeniakach. Agata oświadczyła, że może swobodnie przeschmuglować dwa, a Błagierka nastawała na trzy. Ponieważ był to jej pierwszy pobyt w więzieniu, nie bardzo się w różnych sprawach orientowała, nie wiedziała, co to znaczy szmugiel na kangura. Ja już wiedziałam. Dzięki Izie.

- Widziałaś *Przesłuchanie* z Jandą? - wtrąciła się znowu Maska. - Co ubeki pierwsze zrobili, jak ją przywieźli do więzienia? Gumowe rękawice, babę na stół i zaczęli sprawdzać, czy czego nie schowała za najnikiem.

- Aga, a jak ciebie sprawdzą? - zaniepokoiła się nasza biznesmenka.

Agata machnęła ręką.

- Teraz to tutaj taki sam burdel jak za murem - powiedziała. - Jeszcze jak robią komu rewizję, to tym z przepustek. Ale mówię ci, że dwa szczeniaczki to góra. Nie można być za chytrym. Jak coś zauważą, będziemy spalone...

Nie mogłam pojąć, po co komu w więzieniu szczenięta i jakim cudem Agata je przemyci w pochwie. Rozumiem jeszcze karton papierosów, kawę. Ale żywe stworzenia! I to w dodatku dwa, a tamta jeszcze chciałyby trzy!

Sprawa wyjaśniła się niebawem. Szczeniak to była innymi słowy ćwiartka, a więc wiadomym sposobem Agata przenosiła codziennie pół litra czystego spirytusu. Rozrabiały go potem wodą i puszczały w obieg. Kasę trzymała Błagierka. Ten, kto się zgłaszał do „sklepiku”, musiał przynieść swój kubek. Interes kwitł, ku mojej rozpaczy, bo drzwi naszej celi się te-

raz nie zamykały. Trochę oddechu było, kiedy wreszcie ogłaszano ciszę nocną. Agata chyba orientowała się w moich nastrojach, bo co jakiś czas przyłapywałam jej uważne spojrzenie. Nie, nie bała się, że ją sypnę, to było coś innego. Ona sprawdzała, na ile ta nowa sytuacja jest dla mnie uciążliwa. Mimo pozorów prostactwa, wręcz tępoty, nie była wcale taka głupia, miała swoje poczucie humoru, odznaczała się nawet pewną wrażliwością. Stąd się chyba brała jej wiedza o moich nastrojach. Staralam się więc drogą telepatii przesyłać jej sygnały swojej dezaprobaty; przywykłam już, z trudem co prawda, do zmiany trybu życia, do dzielenia celi z innymi osobami, ale to, co się działo teraz, przypominało życie na dworcu, gdzie przeróżni ludzie kręcą się w tę i z powrotem, niemal zawadzając o mnie i poszturchując.

Któregoś dnia usłyszałam, jak Agata mówi:

- Walentyna, trzeba wyznaczyć godziny na handel. Przyłóż, kiedy chcą, nie ma spokoju.

Blagierka spojrzała na nią zaskoczona.

- Możemy stracić klientów.

- Nie mamy konkurencji - odpowiedziała Agata.

- Puść w obieg, że sprzedaż jest od szóstej do kolacji, sobota i niedziela nieczynne.

Wspólniczka Agaty nie była tym pomysłem zachwycona.

- Bizneswoman to ty nigdy nie będziesz. Poza tym przynajmniej coś się dzieje w tym zatęchłym barjorze.

- Trzymaj kasę i dziób na kłódkę - odpowiedziała szmuglerka ostro. - I nie bądź za chytra, bo ci jeszcze dołożą drugą piątkę. Jak tak się tu będą szwendać w tą i z powrotem, w końcu dojdzie do naczel-

nika. A on czasami lubi zrobić nalot... Dlatego dwa, a nie trzy szczeniaki, i nie magazynować towaru, wszystko musi iść w obrót.

- A prawie zamykasz interes.

- Nie zamykam, tylko reguluję, durna pało! - Agata była już wściekła i Bлагierka skapitulowała, nie chcąc zostać znokautowana jak Maska.

Zrobiło się spokojniej; początkowo, jak tylko zaczynał się czas wolny, od razu pojawiali się pierwsi klienci, czy raczej klientki, ale klawiszki też tu zaglądały. Niby to sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale nie oponowały, kiedy Agata albo Bлагierka wsuwały im butelkę do kieszeni. Te nie musiały płacić, to był haracz, który szmuglerki płaciły, i to bez szemrania. Ale z czasem do wszystkich dotarło, że poza wyznaczonymi godzinami nic nie wskórają i przestały przyłazić.

Gdyby mi ktoś wcześniej powiedział, że będę się starała upomnieć o prawa legalnej żony, nie uwierzyłabym. Do tej pory kobiety, które za wszelką cenę chciały ratować swoje małżeństwa, nieważne z jakich powodów, dla dzieci czy ze strachu przed samotnością, budziły moją pogardę. To niegodzenie się na rozwód było dla mnie małym szantażem. Jeżeli ktoś chce odejść, należy mu na to pozwolić - twierdziłam. Ale kiedy sama znalazłam się w takiej sytuacji, nie byłam już taka wspaniałomyślna. Któregoś dnia, pełna obrzydzenia do siebie, stanęłam pod drzwiami naszego mieszkania. Zadzwoiłam do drzwi, na klatkę schodową dostałam się używając własnego klucza. Długo nikt nie otwierał, a potem usłyszałam jej głos:

- Chwileczkę.



Stanęłyśmy oko w oko, ona dość skąpo ubrana; miała odsłonięte wysoko nogi i nie mogłam nie zauważyć, że są piękne, jak wyrzeźbione. Była wyraźnie przestraszona moim widokiem.

- Mogę wejść? - spytałam.

Cofnęła się bez słowa w głąb przedpokoju. Usiadłam w płaszczu przy biurku Edwarda. Rozejrzałam się, nic się tutaj nie zmieniło, bałagan pozostał ten sam, natomiast przez uchylone drzwi do mojego pokoju zauważyłam, że większość moich mebli zniknęła, było to teraz zupełnie inne wnętrze. Jakaś obca szafa, kolorowe narzuty, futrzak na podłodze, dużo kwiatów. Bluszcz pokrywał niemal całą ścianę.

Ona pozostała w przedpokoju, trzymając kurczowo przy szyi kolorowy szlafroczek, którym nie udało się jej zasłonić przede mną atutów, jakimi zostałam pokonana.

- Jak się tu pani mieszka? - spytałam, siląc się na uprzejmy ton, chociaż przyszłam w zgoła innych zamiarach, chciałam ją po prostu stąd wyrzucić.

- D... dobrze...

- Pani, zdaje się, lubi słońce, a mój pokój jest słoneczny. Opala się pani na balkonie?

- Jak jest słońce, to się opalam - odrzekła patrząc na mnie swoimi krowimi oczami, pewnie zastanawiała się, do czego zmierzam.

Teraz sama już tego nie wiedziałam. Kiedy się tutaj znalazłam, kiedy na własne oczy zobaczyłam to ich życie, jakie wiedli na gruzach mojego życia, uszło ze mnie powietrze, poczułam się jak przekłuty balon.

Mimo potwornego bałaganu na biurku dostrzegłam obok maszyny do pisania jej fotografię w ramce. Mojej fotografii Edward sobie nie stawiał. A mo-

że to ona ją tutaj postawiła, aby nie zapomniał, kto w tym domu rządzi. Może wygrała właśnie przez swoje zdecydowanie. Nasz dom z Edwardem wyglądał trochę na bezpieczny.

Kiedy już wstawałam z fotela, zauważyłam niewielką planszę przypiętą pinezką do ściany nad biurkiem. Było tam starannie wykalgigrafowane:

*You are young! You are strong! You are beautiful!*

A więc to miał Edward zadane na życie z nią: być młodym, silnym i pięknym!

Nie mogę narzekać na brak niespodzianek. Wyszłam do dyżurki po klucze od biblioteki i zastałam tam klawisza, od którego w dodatku nieźle jechało wódką. Wiedziałam, że mężczyźni chronią więzienie na zewnątrz i że mają przy sobie broń, tutaj, wewnątrz, nie wolno jej było nosić. Strażniczki i tak miały swoje sposoby na utrzymanie rygoru wśród więźniarek. Kiedyś Myszwata, otwierając monstrualnym kluczem kratę między oddziałami, wyjaśniła mi, że jest on pomyślany jako narzędzie obrony.

- W razie czego wali się nim zbuntowaną więźniarkę w łeb! - powiedziałam ze śmiechem.

A ona przytaknęła głową.

Ale skąd ten facet tutaj? Może potrzebne było nagłe zastępstwo? Nie drażąc tego dłużej, czym prędzej się wyniosłam. On nastawił na cały regulator radio; kocia muzyka, jak nazywam rocka, drażniła mi uszy. Z ulgą przyjąłam wolniejszą piosenkę.

- Przytul mnie - śpiewał zmysłowym głosem nieznany mi wokalista.

Swego czasu to był głośny przebój, a i teraz dawał się słuchać. Musiał jakoś podziałać na stróża porząd-

ku, bo nieoczekiwanie wylazł z dyżurki i ustawił się przy moim pulpicie.

- Przeczytałaś te wszystkie książki? - spytał uśmiechając się krzywo. - A może opowiesz mi z jedną, na ucho?

Miał opuchniętą twarz i silnie zaczerwienione spojówki. Widać było z daleka, że nie wylewał za kołnierz. A teraz z nudów zaczął mnie zaczepiać.

- Książki są po to, żeby je samemu czytać - odparłam sucho i weszłam pomiędzy regały, co było pomysłem najgorszym z możliwych.

Powinłam była o tym wiedzieć po doświadczeniach z Aśką. Przyłazł tam za mną. Odwróciłam się do niego plecami i to był kolejny błąd, objął mnie bowiem od tyłu, zręcznie wsuwając rękę pod drelichową kurtkę. Boleśnie miętosił mi pierś, na szyi czułam jego gorący oddech. Próbowałam się uwolnić, ale bez powodzenia. Przyciskał mnie coraz mocniej. Udało mi się jednak w końcu wyrwać. Staliśmy teraz naprzeciw siebie, poprawiałam ubranie, w każdej chwili gotowa do ucieczki.

- Coś taka płochliwa, dziewczica jesteś czy jak? - spytał. - Mam takiego chuja, co każdej dogodzi. Chyba że gustujesz w babskiej cipie, to od razu powiedz.

Wycofałam się bez słowa i obchodząc regał wróciłam za pulpit. Po chwili i on się pojawił, ale nie spoglądając na mnie, ruszył do dyżurki.

Pewnej soboty zdarzyło się, że zostałyśmy z Agatą same w celi. Bлагierka dostała to swoje mokre wידzenie, Maska i Kochanka poszły na przepustkę, a pani Manko leżała w szpitaliku, bo miała atak wreczka żółciowego. Chyba nawet zabiorą ją na operację. Siedząc w bibliotece, z niepokojem myślałam

o zbliżającym się sam na sam z Agatą. Nie z powodu tamtego, to już się nie mogło powtórzyć. Chociażby dlatego, że wiedziała już, kim jestem. Kiedy się zjawiłam w więzieniu, doszło do niej, że zabiłam swojego męża, ale morderstwo to był tutaj chleb powszedni, wrażenie wywarł raczej na niej mój zawód.

Takie samotne dzielenie celi mogło się okazać krępujące dla nas obu. Wróciłam z biblioteki i od razu wdrapałam się na swoją pryczę, tam wsadziłam nos w książkę. Potem przyszła ona i wyciągnęła jakiś zeszyt, zaczęła sprawdzać kolumny cyfr, żmudnie je podliczając. Widocznie kontrolowała rachunki, które prowadziła jej współpracowniczka. Kolację jadłyśmy w milczeniu. W pewnej chwili sięgnęła do szuflady swojej szafki i wyciągnęła w moją stronę jakieś zdjęcie. Przedstawiało kilkuletniego chłopca w granatowym ubranku; z napięciem wpatrywał się w obiektyw aparatu fotograficznego, który go z tą pełną przejęciem miną uwiecznił.

- Ładny chłopczyk - powiedziałam.

- Syn - odrzekła krótko, żując chleb cienko posmarowany pasztetową. Ona nic sobie za te zarobione na lewo pieniądze nie kupowała. Maska jej nawet kiedyś przygadała, że chyba trzyma tę forszę w pończosze, bo je tylko kazonne i nikogo nigdy niczym nie częstuje. Agata odburknęła, że to na czarną godzinę. Pomyślałam, że jak się odkłada na czarną godzinę, to znaczy, że już jest czarna godzina.

Musiałam mieć głupią minę, bo ona uśmiechnęła się smutno.

- Ktoś taki jak ja też może mieć dziecko. Kiedyś tak nie wyglądałam, ważyłam o sześćdziesiąt kilo mniej...

opowiada Agata

była najnormalniejszą pod słońcem dziewczyną, która wyszła za mąż za kolejarza. Mieszkali w kolejowych blokach zaraz obok stacji, w znacznym oddaleniu od miasta. Nudziło jej się, więc kiedy synek podrósł, postanowiła pójść do pracy. Mąż jej załatwił posadę dróżniczki. Ale to siedzenie na odludziu w małej budce okazało się jeszcze nudniejsze, zaczęła więc zabierać ze sobą książki. Najpierw czytała same kryminały, ale szybko miała dość tych morderstw i ciemnych typów. Pani z biblioteki w Domu Kultury poleciła jej więc książkę amerykańskiej autorki. Ta Scarlett, piękna, mężczyźni ją kochali... Gdyby ona sama nie była taka gruba, może i ona znalazłaby swojego Retta... Nie opuściła szlabanu, doszło do poważnej katastrofy. Wtedy po raz pierwszy znalazła się w więzieniu. A więzienie to był jeszcze inny świat niż ten z amerykańskiego romansu. Ona już była taka gruba, to tak poszło po urodzeniu dziecka, to samo jej matka. Mąż nic na to nie mówił, ale ludzie przygadywali. A tutaj się zaczął magiel. Ze swoją tuszą i powolnością uznana została za frajerkę, za typowego muła. Spotykały ją różne upokorzenia, kazano jej poza kolejnością pełnić dyżury, szorować kibel, nie wolno jej było jeść z innymi przy stole, tylko trzymać miskę na kolanach, na swojej pryczy. Zabrano jej łyżkę i zmuszono do tego, aby jadła jak zwierzę. Trafiała do celi, gdzie siedziały same recydywistki, więc wyżywały się na niej. W dosłownym sensie — musiała zaspokajać ich wszystkie erotyczne zachcianki. Lżyły ją przy tym, naśmiewały się z jej wyglądu. Aż za którymś razem postawiła się. Chciały jej zrobić w nocy kocowę, ale była na to

przygotowana, nie dała się zaskoczyć. W jakimś napadzie szału wstąpiła w nią nadludzka siła, pokiereszowała mordy im wszystkim, mimo że to były silne baby. Strażniczki usłyszały hałas, wpadły do celi, nie mogły jednak dać sobie z nią rady. Dopiero zimna woda z węża, którą na nią puścili, otrzeźwiła ją. Przeniesiono ją do karceru, siedziała tam o chlebie i wodzie. I tam sobie przysięgła, że albo zajdzie wysoko w tych więziennych układach, albo się rozstanie z życiem. Powoli, z rozmysłem realizowała swój plan. Któregoś dnia udało jej się przemycić na teren więzienia dobre papierosy i prawdziwą kawę. I od razu skoczyła o parę szczebli w górę. Dalej poszło już samo. A teraz... teraz to jest jej świat. Tu się czuje najlepiej, wolność wcale jej nie cieszy. Nawet jak wyjdzie, to wie, że tu wróci.

- Nie chciałybyś być ze swoim synkiem, patrzeć, jak rośnie, jak się rozwija?

Zamilkła, zaskoczona moim pytaniem. A potem zaproponowała:

- Mam tu wolnego szczeniaka, może byś się chciała ze mną napić?

- Napiję się z tobą - odrzekłam.

Fachowo rozlała spirytus do blaszanych kubków, uspokajając mnie, że jest rozcieńczony i już się „przegryzł” z wodą. Czyli szczeniak oswojony, pomyślałam. A mimo to poczułam ogień w przelyku i przez chwilę łąpałam ustami powietrze. Agata podała mi skórkę od chleba:

- Powąchaj - rzekła nakazuj ąco.

I, o dziwo, pomogło, drugi łyk poszedł mi lepiej. Po całym cieple rozlało się przyjemne ciepło.

- Ja bym ze swoim synem chciała być - powie-

działa Agata wolno — ale po co miałby się wstydzić matki... A ty masz dzieci?

- Nie.

- Nie chciałaś mieć?

- Raczej się bałam odpowiedzialności, mój mąż powiedział, że psychicznie nie dorosłam do tego, żeby mieć dziecko.

- To ten, co ty go... - urwała, nie wiedząc, jak mnie spytać o Edwarda, nie chciała mnie urazić. Już dawno zauważyłam, że pod tym względem odznacza się delikatnością, nie tak jak pani Manko.

- Ten.

Bałam się, że zacznie mnie dalej wypytywać, więc sama zadałam jej pytanie, dlaczego powiesiła sobie zdjęcie Jaruzelskiego, a nie na przykład Michaela Jacksona.

- Tej efemerydy! To ani chłop, ani baba, jeszcze gorszy koszmar niż ja - odpowiedziała. - Powiesiłam Jaruzelskiego, bo to jedyny sprawiedliwy Polak w tym gównie. Nikogo się nie bał, robił, co uważa za dobre dla Polski. Ruskich tu nie wpuścił, a tym gówniarzom dał nauczki. Jak pierwszy raz siedziałam, to były w celi dwie solidarnościowy. Jezu, chroń mnie od takiej dekadencji...

Tym razem nie udało mi się odgadnąć, o co jej chodzi, co rozumiała pod słowem „dekadencja”.

- Mówiły coś, co ci się nie podobało?

- To były takie suki, jedna to się odgrażała, że jak Solidarność zwycięży, to będzie wieszać komunistów na latarniach za jaja.

- Może ona nie lubiła mężczyzn?

- Nie, to nie żadna lelija, te to były w ogóle bezpłatowe, tylko takie zajadłe, a ja podobnych osób nie lubię. Jak ktoś trochę inny, to go od razu łup?

Pociągnęłam łyk z blaszanego kubka. Paliły mnie policzki, ale to było przyjemne uczucie, przedtem bardzo rzadko piłam, bo Edward irytował się, widząc mnie na rauszu.

- Ale Solidarność nikogo nie wieszala za te jaja — powiedziałam. - Dogadali się jedni z drugimi przy okrągłym stole. Wałęsie też chodziło o Polskę.

- Jemu! - wykrzywiła się pogardliwie. - On dla mnie to taka sama efemeryda jak ten Jackson. Nie wiadomo, co to jest, chodzi z tą Matką Boską w klapie, chyba się z nas śmieją za granicą...

- Dlaczego tu trafiłaś po raz drugi? - spytałam.

- Dlatego, że tu trafiłam po raz pierwszy - odpowiedziała. - Jak wtedy po tej odsiadce za szlaban wyszłam za bramę, nie wiedziałam, co z sobą zrobić. Moja psiapsiółka jeszcze siedziała, ale dała mi jeden adres. No to poszłam, a tam pędzili bimber. Zaczęłam nim handlować. Zwinęli nas wszystkich... I tak już od tej pory jestem raz tu, raz tam. Ale mówiłam ci, że wolę tu...

Kiedy już leżałam na swojej pryczy, przyszło mi do głowy, że znalazłam dla niej ksywę, przedtem nie odpowiedniego nie mogłam wymyślić. Maszkaron ja-koś mi się nie spodobał. Inne też nie. A teraz nazywałam ją po prostu Matką. Może dlatego, że po raz pierwszy macierzyństwo wydało mi się czymś zrozumiałym; dla Agaty najwyższą formą miłości macierzyńskiej było wyrzeczenie się jej. Należało to uszanować. Gdyby była „podobna do ludzi”, walczyłaby o powrót do normalnego życia i o prawo bycia matką, ale tak to nie miała po co. Zanim trafiła do więzienia, ta otyłość nie była taka odstręczająca, grubych kobiet jest dużo, ale tutaj jej ciało tak się jakoś roz-



pulchniło, jakby ktoś dosypał do niego drożdży, porobiły się jej na skórze rozstępy, popękały żyłki. Wie, jak wygląda. Zmieniła się też na twarzy, ani mąż, ani tym bardziej syn by jej pewnie nie poznali.

- Jakbyś zobaczyła moje zdjęcie, jak byłam panienką, tobyś nie uwierzyła, że można się tak zmienić.

- A twój mąż nie próbował nawiązać z tobą kontaktu? Przecież trafiłaś tu z losowego wypadku, jak nasza zbankrutowana księgowa.

- Próbował - odrzekła po chwili - ale ja zawsze coś czułam do kobiet... Jak któraś mi się spodobała, to od razu mi się robiły miękkie kolana, jeszcze wtedy, jak sama byłam ładna... A jak on dostał wreszcie widzenie, to ja już miałam tą psiapsiołę...

Nie, nie Matka, to stanowczo nie oddaje jej osobowości; Maska, Kochanka te nazwania od razu coś mówią, chyba trafnie charakteryzują je obie. Więc może Matka Agata... Tak, wspaniale, świetnie. To nic, że ta ksywa zmienia sens poprzedniej, widocznie to życie, które wybrało Agatę, bo przecież nie ona sama, było jej przeznaczone. Zakon zamiast macierzyństwa. Obie trafiłyśmy do tego zakonu. Ona jest matką przełożoną, Matka Agata od sióstr więziennych, a ja jestem siostrzyczką Darią...

- Powiedz mi, dlaczego wtedy to zrobiłaś? - zadałam jej pytanie, którego nigdy bym nie zadała, gdybym była całkiem trzeźwa. — Czy to twoja stała metoda?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Jak ciebie zobaczyłam w tej łaźni... wydało mi się, że masz najpiękniejsze piersi na świecie... chyba dlatego, że nie rodziłaś... Chciałam to odgonić i poszłam do takich ćpunek. Dały mi... I potem mi się urwał film...

- Ale ty nie jesteś ćpunką?
- Nie, skąd, czasem próbowałam, dla draki, ale żeby mnie tak siekło, to nigdy...

Ujęłam metalowy kubek i wypilem resztkę wódki.

- Masz do mnie żal, że cię zepchnęłam?

Ona znowu zaprzeczyła ruchem głowy.

- Byłaś w prawie - powiedziała, a potem uśmiechnęła się z przekorą. - Może i dobrze, bo mi ten obłąd przeszedł. A na urodzie i tak mi nie zaszkodziło, bo nie było na czym. Ja nie mogłam nic robić, ciągle miałam ciebie przed oczami, tamtą z łaźni... Jak zleciałam na pysk, to mi się w głowie poukładało, co mi zamieszałaś...

Kiedy wróciłam z biblioteki, w celi nie zastałam nikogo, pewnie wszystkie moje koleżanki były za ścianą, gdzie oglądały w kolorze sagę rodu Carringtonów. Błagierka przylatywała z kuchni, chociaż powinna w tym czasie pomagać przy porcjowaniu kolacji. Kucharki też zresztą siedziały w świetlicy z nosami w telewizorze; w te dni, kiedy nadawano kolejny odcinek przygód teksaskiego milionera i jego rozlicznych żon, kolacja podawana była później. Więzienny regulamin na tym cierpiał, ale to była siła wyższa. To tak, jakby w Anglii, transmitując ważny mecz futbolowy, nie pozwolono kibicom go oglądać. Roznieśliby wszystko w drobny mak. Tutaj mogłoby być podobnie. W eter poszłaby wiadomość: „W więzieniu kobiecym w K. doszło do buntu. Więźniarkom nie pozwolono dokończyć oglądania *Dynastii*...”

Byłam chyba jedyną osobą tutaj, której nie pasjonowały koleje losu ludzi z amerykańskich wyższych sfer. Dobrych parę lat temu w czasie emisji brazy-

lijskiej *Niewolnicy Isaury* na ulicach były pustki, serial ten oglądała niemal cała Polska. Nie mogłam tego pojąć, prymitywna fabuła, w dziwny sposób zmontowana, po dwa razy pokazywano jedną scenę, tyle że za drugim razem w zwolnionym tempie.

- W Brazylii osiemdziesiąt procent ludności to analfabeci, dlatego powtarza im się sceny, aby wszystko zrozumieli - wytłumaczył mi Edward.

- Ale tutaj jest środek Europy!

- I w tym środku Europy osiemdziesiąt procent to wtórni analfabeci.

- Nie przesadzaj.

- Ani trochę, moja pani magister polonistyki.

Pokłóciliśmy się. Edward stwierdził, że do nauki i kultury światowej prawdziwe wartości wniosły tylko trzy narody: niemiecki, rosyjski i żydowski. Wydały one wielkich naukowców, muzyków i pisarzy.

- Może byś nie zapominał o takim Michale Aniele albo Dantem.

- Pewnie byli żydowskiego pochodzenia - odparł ze śmiechem.

- A nasz Kopernik?

- To Niemiec.

- Uważał się za Polaka - odrzekłam lodowato.

- Ba! - Edward wyduł wargi. - Ja na przykład nie uważam się za Polaka, co wcale nie oznacza, że nim nie jestem.

Wdrapywałam się właśnie na górę, kiedy do celi wpadła Błagierka. Była biała na twarzy, jakby zanurzyła ją w worku z mąką.

- Co to, Carrington się znowu rozwodzi czy na kolację będą placki? - zażartowałam.

Ale ona spojrzała na mnie współzrozumnie.

- Pani Ela nie żyje - powiedziała.

Pani Ela, czyli pani Manko.

- Jak to? - spytałam. - Przecież jutro mieli ją zawieźć na operację.

- No mieli, ale nie zawiozą - odrzekła. - Bardzo cierpiała, to dali jej kolejny zastrzyk przeciwbólowy. Serce nie wytrzymało.

Była zadowolona, że idzie na tę operację, dawno już powinna była iść, ale zwolnili ją z pracy, ubezpieczenie się skończyło. Ten atak przyszedł w samą porę.

- Przynajmniej czas prędzej zleci. I mniej szkoda, że nie jestem w domu. Do szpitala bym też z domu szła... - mówiła mi nie dalej jak wczoraj, gdy ją odwiedziłam w szpitaliku.

Powiedziała też coś takiego, co mnie wzburzyło, nawet byłam zła na siebie, że do niej poszłam. Wyznała, że codziennie się za mnie modli. Bo ja mam przecież na sumieniu grzech śmiertelny. Ale Pan Jezus mi wybaczy, jak okażę skruchę. Teraz mogła Go już sama spytać, czy zechce mi wybaczyć... A czy ona Mu wybaczy, że ją zabrał rodzinie w tak trudnym dla niej okresie. Niezaradny ojciec, małe jeszcze dzieci. Dobrze, że chociaż ta czternastoletnia córka ma trochę oleju w 'Iowie, może nie poczują się tak strasznie osieroceni. Spojrzałam na dwa obrazki: Matki Boskiej i Jana Pawła II przypięte nad jej pryczą, które też osierociła.

Papież nawet się nie domyśla, że stracił właśnie jedną z wierniejszych owieczek. Żyła tak, jak on by sobie życzył. Według nakazów boskich, ale wcale jej to nie pomogło. Śpiewała w kościele wraz z innymi wiernymi: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie”. A ta wolna ojczyzna odebrała jej wolność i w konse-

kwencji życie. A jak się ma abstrakcyjne pojęcie wolności do jednego namacalnego ludzkiego losu?

Na jednej z bibliotecznych półek odkryłam nie zewidencjonowaną książkę Jana Józefa Szczepańskiego *Przed nieznanym trybunałem*. Trudno powiedzieć, skąd się tutaj wzięła, schowana pomiędzy opasłymi tomiskami dzieł Lenina, których w stanie wojennym oczywiście nie wycofano, ale po upadku komuny też nie. Być może nikt nie miał do tego głowy. Muszę spytać, co z nimi zrobić, obrastają kurzem i zajmują miejsce. W tej niewielkiej książeczce autor zastanawia się, czym jest odwaga. Poświęcenie. Zbrodnia. Pisze o Conradzie, ojcu Kolbem i Mansonie... Czymże więc jest odwaga... Ciągle zarzucałam Edwardowi tchórzostwo, ale on tchórzem nie był. Kierował się swoimi własnymi kryteriami, ustalał własną hierarchię ważności spraw. W tym świecie ważniejsze dla niego było wydrukowanie w swoim piśmie opowiadania zakazanego pisarza niż ochrona swojego dobrego imienia. Nie zależało mu na tym, było mu obojętne, co o nim piszą, a tym bardziej mówią. Kiedy robiłam mu wymówki, że wstydzę się być jego żoną, odpowiadał, iż mogę chodzić drugą stroną ulicy. W jakiejś kłótni stwierdził, że tutaj indywidualistów zawsze traktowano źle.

- Weź takiego Brzozowskiego! Co zrobili z tym jednym ze świetniejszych umysłów? Zgnoili go za to tylko, że odważył się być sobą.

- Sądzone, że jest agentem ochrony.

Edward popukał się w czoło.

- Ja też jestem agentem ochrony i nikomu nic do tego! Dopóki mi się nie udowodni, że działałam na szkodę innego człowieka, wara ode mnie. A jemu też

tego nie udowodniono. Jego winą było to, że nie przyłączył się do żadnej koterii. A tutaj tylko koterie się liczą. Jak w każdym głupim narodzie, samodzielne myślenie jest przestępstwem.

Edward uważał, że ma przede wszystkim obowiązki wobec samego siebie, musi się wewnątrznie doskonalić. Może stąd się brały nasze nieporozumienia. Ja uważałam bowiem, że lekceważy moje problemy. A on po prostu ze swojej perspektywy ich nie dostrzegał. Że jakiś krytyk coś o mnie powiedział, że inny krytyk próbował dać mi prztyczka w nos... „Ważne jest to, co myślisz sama o sobie” - mówił. Ale ja właśnie myślałam o sobie nie najlepiej. Więc może to ja sama siebie krzywdziłam i Edward próbował mi to uświadomić...

Wiosna, jak wszystko zresztą w mojej więziennej egzystencji, zaczęła się od Izy. Weszłam do jej pokoju w bloku administracyjnym, zastając ją w białej, rozchylonej pod szyją bluzce. Zauważyłam, że nosi na niej cienki srebrny łańcuszek, nie wiem dlaczego na ten widok ogarnęło mnie wzruszenie. Okno za jej plecami było otwarte i poczułam na twarzy ciepły, wiosenny powiew wiatru.

- Najpierw usiądź - powiedziała - a potem dowiesz się, co mam dla ciebie.

Usiadłam na krześle, trochę zaniepokojona tym wstępem, a ona z uśmiechem oświadczyła mi, że dostanę przepustkę, i to od razu trzydniową, są także duże szanse na moje przedterminowe zwolnienie, kto wie, czy już nie następnej wiosny.

- Cieszysz się? - spytała.

Milczałam.

- To są chyba dla ciebie dobre wiadomości - w jej głosie zadźwięczała nuta rozczarowania.

- Dobrze - odrzekłam jak grzeczna uczennica, ale wcale nie byłam taka tego pewna.

Bo nagle uświadomiłam sobie, że zupełnie jak Agata nie mam dokąd pójść, a nawet nie wiem, co począć z tymi trzema dniami przepustki. Mogłabym oczywiście pojechać do stryja do Warszawy, ale już samo wejście do tamtego mieszkania... Ja jeszcze nie czułam się na siłach, aby tam wejść... Moja sprawa z Edwardem nie została jeszcze zamknięta, mimo że ogłoszono wyrok, który właśnie odsiadywałam. Koniec tego wyroku nie oznaczał dla mnie wcale wolności, bo ja sama jeszcze siebie nie osądziłam, jeszcze nie wiedziałam, co mam o sobie myśleć. Matka Edwarda przyszła do sądu w ciężkiej żałobie, przy składaniu zeznań głos tak jej drżał, że niektóre słowa stawały się niezrozumiałe. Zupełnie jakby to wszystko miało miejsce poprzedniego dnia, a nie dwa lata wcześniej.

- To bardzo dziwna osoba - mówiła o mnie - bardzo dziwna osoba, proszę wysokiego sądu. Ona zniszczyła mojemu synowi karierę, a potem... potem...

Tego zupełnie nie rozumiałam, jaką karierę miała na myśli. Chyba zagraniczną, bo Edward tuż po wprowadzeniu stanu wojennego chciał stąd wyjeżdżać, ale ja się uparłam. Mimo że nie miał nic wspólnego z nurtem solidarnościowym, wręcz przeciwnie, zaproponowano mu bardzo dobre warunki na Sorbonie, mieszkanie.

- Tutaj zawsze była głucha prowincja - starał się mnie przekonać - a teraz cofniemy się w średniowiecze. Ta resztką intelektualistów, jaka nam pozostała, długo się nie podniesie po nokaucie zadany

przez Jaruzelskiego, przecież Polska Akademia Nauk składa się w połowie z koncesjonowanych opozycjonistów, a w połowie z kapusiów. Jedni i drudzy będą leczyli teraz latami moralnego kaca. W życiu naukowym i kulturalnym nastąpi regres. Ale dobrze im tak, po co wsadzali palce między drzwi? Proszę cię, Dario, wyjedź ze mną.

W milczeniu kręciłam przecząco głową.

- Jak chcesz, to jedź sam, nasze małżeństwo i tak dogorywa.

A on brał moją twarz w swoje ręce i patrząc mi w oczy, odpowiadał:

- Bez ciebie się nigdzie nie ruszę.

Byłam mu potrzebna, tak jak on był potrzebny mnie, mimo że nie potrafiliśmy żyć razem. Ale miałam nadzieję, że potrafimy się razem zestarzeć. Miałam ją nawet wtedy, gdy on już mieszkał z tą drugą. Sądziłam, że na starość wybierze mnie. I być może tak by się właśnie stało, ona była od niego dużo młodsza... Jak by wyglądało moje życie, gdyby Edward wtedy wyjechał do Francji. Czy pojechałabym za nim, czy starałabym się żyć na własny rachunek? Po tych trzech latach, odkąd go nie ma i już wiem, że nie będzie nigdy, też jeszcze tego nie potrafię. Ciągle jestem od niego zależna, myślę w taki sposób, w jaki on by chciał, żebym myślała. To fizyczne odzieszenie niewiele dało.

Tamto pierwsze na próbę, jakim było jego zamieszkanie z inną kobietą, i to ostateczne, jego śmierć...

Nasz Amsterdam... Siedzieliśmy obok siebie w samolocie, Edward czytał „Timesa” w języku, który znienawidziłam. Zabrał mi przecież męża. Więc on czytał, a ja siedziałam obok, czując przez ubranie



dotyk jego ramienia. Czy było to przypadkowe, czy... Chcąc sprawdzić, odsunęłam się leciutko, po chwili znowu jego ramię mnie dotykało. Było w tym coś elektryzującego. Ukradkiem na niego spojrzałam. Wydawał się zaczytany, miał obojętną minę, ale nie dzieliliśmy przecież ze sobą łóżka, tylko fotele lotnicze.

Na miejscu czekała nas niespodzianka, wysłałam do organizatorów faks, że przyjadę z mężem i prosiłam o zarezerwowanie dwóch pokoi, jednakże faks przyszedł za późno i nie było już nic wolnego. Pan, który spotkał nas na lotnisku, bardzo się z tego powodu tłumaczył.

- Ach, to żaden problem - odrzekł lekko Edward.  
- Mogę dzielić pokój z żoną.

Poczułam się jakoś dziwnie. Może to los wszystko tak zorganizował, pomyślałam, może wrócimy stąd razem... Edward zatelefonuje do niej i powie:

- Wybacz, moja droga, ale postanowiłem wrócić do żony...

Przez ten cały czas żyłam jak w transie. Pierwszego wieczoru zjedliśmy w hotelowej restauracji kolację, a potem windą pojechaliśmy na górę. W windzie nasze oczy się spotkały, Edward uśmiechnął się do mnie, tak ciepło. Jak zwykle pierwszy poszedł się myć. Pojawił się z powrotem w piżamie i nie wyglądał na skrupowanego, spytał mnie, które wolę łóżko, a kiedy odpowiedziałam, że wszystko mi jedno, zajął to pod oknem. Teraz ja weszłam do łazienki. Odnaczała się elegancją, hotel był wysokiej klasy, nigdy przedtem w takim nie mieszkaliśmy za granicą. Patrzyłam na siebie w lustrze, jakby oszacowując swoją wartość jako kobiety. Czy mogę się jeszcze podo-

bać, wzbudzać pożądanie. Zsunęłam koszulę i przyglądałam się swoim piersiom. Były chyba w porządku, bez żadnych oznak starości. Kiedy wróciłam do pokoju, Edward spał. W tamtym naszym życiu przyjąłabym to z ulgą, teraz byłam rozczarowana, a nawet więcej, poczułam się upokorzona, dotknięta. Położyłam się do łóżka, ale nie zmrużyłam oka do rana. Czekał mnie trudny dzień, mimo to nie potrafiłam myśleć o niczym innym, tylko o jego bliskiej obecności.

Moje spotkanie z czytelnikami okazało się sukcesem, potem był bankiet. Do hotelu wróciliśmy po północy. To była nasza ostatnia tu noc i moja ostatnia szansa. Tym razem ja pierwsza poszłam do łazienki. Kładłam się do łóżka, czując walenie własnego serca, które bezładnie objęło się o żebra, szumiało mi w uszach.

Edward zgasił światło i wszedł pod kołdrę.

- Dobranoc - powiedział.

- ... branoc - bąknęłam.

Leżał na boku, tyłem do mnie. Gorączkowo myślałam, jak go zagadać, bałam się, że zaraz zaśnie.

- To był piękny wieczór... - zaczęłam niepewnie.

- Może się wreszcie pozbędziesz kompleksów prowincjonalnej pisarki.

- Przecież to ty mnie uważasz za prowincjonalną pisarkę!

- No jasne, znowu ja jestem winien.

- Nie, to ja byłam winna, zawsze ja! Czarna owca w małżeństwie!

- Daria, mąż owcy to baran!

Parsknęliśmy śmiechem. Edward zapalił nocną lampkę.

- Może jest coś w barku, pić mi się chce - powiedział.

- Przecież mamy tego szampana! — niemal wykrzyknęłam.

Kiedy po raz pierwszy tu weszliśmy, zastaliśmy na stole kosz kwiatów i butelkę szampana w kubelku z lodem, a obok bilecik z pozdrowieniami od organizatorów mojego spotkania. Spieszyliśmy się, więc Edward schował butelkę do lodówki, potem zapomnieliśmy o niej.

Piliśmy teraz szampana, siedząc w nocnej bieliźnie na dywanie. Szampan, pomyślałam, jak na początku naszej gry... Może już czas na normalne życie...

Szumiało mi w głowie. Widziałam twarz Edwarda jak za mgłą i chciałam zetrzeć mu ją z twarzy, chciałam dobrze widzieć tę twarz, należała do mężczyzny mojego życia.

Wyciągnęłam rękę w jego stronę, a on ją pocałował.

- Wróć do mnie - zaszeptałam gorąco. - Zaczniemy wszystko od początku.

On pokręcił głową.

- Daria, tak już jest w przyrodzie, że istnieje tylko jeden początek i koniec.

- Ale w miłości mogą być dwa i trzy... i pięć, jeżeli dwoje ludzi się kocha. Nigdy nie przestałam cię kochać.

- Ja też.

- Więc weź mnie!

- Nie mogę - odrzekł jakoś tak żałośnie.

Ale mnie było tego mało, kiedy położyliśmy się z powrotem i Edward zgasił światło, przeszłam do jego łóżka. Przywarliśmy do siebie na krótką chwilę,

poczułam ciepło jego ciała. Zaraz mnie jednak puścił.

- Daria! To nie ma sensu!
- Powiedziałaś, że mnie kochasz!
- Kocham cię, ale nie mogę... nie możemy...
- Ten jeden raz, tak bardzo cię pragnę!
- Nie! Będziesz potem nieszczęśliwa...

Zerwałam się i wróciłam na swoje łóżko.

- Przepraszam - usłyszałam w ciemności.
- Mogłabym cię teraz zabić - odrzekłam, dławiliły mnie łzy.

Iza zapaliła kolejnego papierosa.

- Mam dla ciebie jeszcze jedną informację. Dojdą dwie nowe więźniarki. Wszystkie prycze będą teraz zajęte, więc się zrobi tłoczno. Może chcesz, żebym ci załatwiła przeniesienie, gdzieś gdzie jest luźniej. Mamy taką celę, czteroosobową.

- Nie, tutaj się przyzwyczaiłam, jestem jak kot, który przywiązuje się do miejsca. A poza tym już się jakoś zżyłam z tymi kobietami z celi, nie jest tak źle, jak to sobie na początku wyobrażałam.

- Jasne - uśmiechnęła się Iza. - Jak sobie poradziłaś z tym lesbijskim potworem, to już poradzisz sobie ze wszystkim.

- To bardzo nieszczęśliwa kobieta.
- No, jeszcze użalaj się nad nią - fuknęła.
- A kim są te dwie nowe?
- Jedna to moskwiczanka, jak ją zobaczysz, to ci oko zbieleje.
- Jak to moskwiczanka? - nie zrozumiałam.
- No, Ruska, z Moskwy do nas zjechała. Doktor praw, a mimo to u nas drugi wyrok, pierwszy z zawieszeniem.

- Pewnie za nielegalny handel - domyśliłam się; któregoś dnia, wysiadając na Dworcu Centralnym natrafiłam na dziwną parę. On w rozpiętym kożusku i futrzanej czapie na głowie, ona w płaszczyku w kratkę. Widać było, że jest w zaawansowanej ciąży. Przed nimi stała otwarta walizka, a tam jakieś drobiazgi, grzałki do wody, żelazko, porcelanowe bibeloty, męskie skarpetki. Mieli inteligentne twarze, postanowiłam więc coś od nich kupić. Zdecydowałam się na skarpetki, chociaż były w złym gatunku, z ordynarnym wzorem.

Młoda kobieta wcisnęła mi jeszcze porcelanowego niedźwiadka Misze, wspomnienie igrzysk olimpijskich w Moskwie. Dni sławy przeminęły bezpowrotnie... Od słowa do słowa zgadaliśmy się, że pochodzą z Sankt Petersburga. On, profesor literatur słowiańskich, bohemista, zwolniony z uniwersytetu w ramach redukcji etatów, ona docent. Pozostali bez środków do życia, a dziecko w drodze. Co było robić, wybrali się na handel. Chciałam im dać jakieś pieniądze, ale pomyślałam, że mogliby się poczuć urażeni, kupiłam więc jeszcze od nich żelazko, dwie paczki żarówek sześćdziesiątek i prostokątną grzałkę, której kształt mnie zdziwił, ale wytłumaczyli mi, że się nie przepali jak nasza i będę jej używała przez lata. Przytaczałam to wszystko do domu, bo jakoś niezręcznie mi było pozbywać się po drodze. Wydawało mi się, że oni mogliby zobaczyć.

- Handel żywym towarem — wyjaśniła Iza. - Żeby jeszcze sprzedawała siebie, ale brała forszę za stręczycielstwo. Pewnie guzik byśmy jej zrobili, teraz takie agencje w modzie, ale zatrudniała nieletnie i to czasami porywane z domu. Powiązania z

mafią. I tak dalej. Nigdy byś nie zgadła, czym się naprawdę trudni. To na pierwszy rzut oka dama.

- A ta druga?

- Taka pani Manko - Iza wiedziała, jak przezwalam swoje współtowarzyszki - tylko młodsza.

Już tego samego wieczora w naszej celi doszło do ostrego spięcia, bo zjawily się te dwie nowe i miały do wyboru pryczę dolną i górną. Błagierka, tak jak ja, przyzwyczaila się do swojego miejsca na górze, a może bała się zajmować to, które należało wcześniej do zmarłej.

Rosjanka pojawila się pierwsza. Była rzeczywiście bardzo efektowna, nawet więzienny drelich nie przyćmił jej urody. Nie tak jednak wyobrażałam sobie damę, to był wamp w wydaniu radzieckim. Sądziłam, że ktoś taki rzuci Agatę na kolana, a stało się odwrotnie. Kiedy nowo przybyła położyła swoją plastikową torbę na dolnej pryczy, Agata podeszła i zrzuciła ją jednym ruchem na podłogę.

- Co ty, koleżanko - powiedziała Rosjanka po polsku. - Tutaj przecież wolne.

- Wolne, ale nie dla każdego - wycodziła Agata. — Nie dla takiego ruskiego ścierwa jak ty. Ty na górę! Tutaj będzie spała polska dziewczyna.

Rosjanka z lekko obrażoną miną przełożyła siatkę na górną pryczę, a sama zajęła miejsce przy stole. Położyła ręce na blacie, dłonie miała nieładne, pulchne, o krótkich palcach. Widoczne były ślady po pierścionkach, które z pewnością powędrowały do depozytu. Nikt się do niej nie odzywał, o nic nie pytał. Postanowiłam wykazać się gościnnością, odłożyłam książkę i zesłam na dół. Usiadłam obok niej. Spojrzała na mnie z wdzięcznością.

- Jestem Daria - przedstawiłam się.  
- A ja Lena - odrzekła skwapliwie.  
- Dobralyście się - usłyszałam niezadowolony głos Agaty, mimo to dalej prowadziłam rozmowę. Przedstawiłam jej pozostałe osoby w celi, czyli Kochankę i Maskę, chociaż z ich strony nie padło słowo zachęty. Błagierki jeszcze nie było, nie wróciła z kuchni.

- Ja tu długo nie będę - powiedziała nowa. - To nieporozumienie, mój adwokat już się odwołuje. Ja prowadziłam agencję modelek...

- Aha - wtrąciła się Agata - doradzałaś im, jak najlepiej modelować chuja!

Skąd ona to wszystko wie, pomyślałam, o mnie też sporo wiedziała, kiedy się tylko pojawiłam. Jaki wyrok i za co. Po tej odzywce Lena poczerwieniała na twarzy, a potem odwróciła głowę i słodkim głosem spytała:

- A ty za co się tu dostałaś, koleżanko? Sprzedawałaś własne sadło na targu?

Agata bez słowa podeszła i chciała swoim zwyczajem znokautować Rosjankę, ale ta uchyliła się i cios poszedł w powietrze. Twarz Agaty pokryła się ceglastymi wypiekami, schyliła głowę i jak rozjuszone zwierzę ruszyła do ataku. Starły się ze sobą. Lena nie miała szans, po chwili Agata siedziała na niej okrakiem, waląc jej głową o podłogę. Pomyślałam, że zaraz wytryśnie mózg. Czułam się winna, że sprowokowałam tę scenę. Co mnie podkusiło, żeby się wtrącać. Modliłam się, żeby te odgłosy zwabiły strażniczkę, bo gdybym ją wezwała, źle by się to dla mnie skończyło. Nie wolno mi było nadużywać dobrych stosunków z Agatą, ona była przecież nieobliczalna. To był doktor Jekyll i mister Hyde w jed-

nej osobie. Dramaty Scarlett, matczyne serce, ale też i niebywała brutalność. Próbowałam rozdzielić walczące kobiety, Agata jednak oganiała się ode mnie jak od natrętnego komara. Wreszcie zaprzestała na chwilę pastwienia się nad Leną i ze złością warknęła:

- Odejdź, Daria, bo i tobie przyłożę!
- Zabijesz ją!
- Nie zabiję - uspokoiła mnie. - Ruski łeb jest twardy!

Wreszcie uznała, że tamta ma dość i puściła ją.

Rosjanka próbowała wstać, przytrzymując się przy-  
czy. Ukłękła na podłodze i usiłowała doprowadzić się do porządku. Jakimś takim bezradnym gestem przy-  
glądzała rozczochrane włosy. Na ten widok uczułam skurecz w gardle. Zauważyłam też, że jedno oko puchnie jej w zastraszającym tempie, po chwili nie mogła już unieść powieki.

Namoczyłam chustkę w zimnej wodzie i podałam jej, aby sobie zrobiła okład. Agata zaś przystąpiła do uświadamiania nowo przybyłej.

- My tutaj jesteśmy solidarne, każda miała sprawiedliwie dyżury, ale teraz jak się pojawiło wśród nas ścierwo, to ono będzie wynosiło za nas gówna.

Lena siedziała przy stole w milczeniu, z okładem na oku.

- Czy ścierwo słyszało?

Rosjanka nadal milczała, zaczęłam się bać, że to ponownie wyprowadzi Agatę z równowagi.

- Agata - powiedziałam. - To jest drugi człowiek.
- Ścierwo, nie człowiek - powtórzyła.
- To samo mogłabym pomyśleć o tobie! - Było mi już wszystko jedno.

Między brwiami pojawiła jej się czerwona plama,



mięśnie policzków zadrgały. Nie odważyła się jednak mnie uderzyć.

- Wiesz co, Daria - powiedziała tylko. - Żal mi ciebie.

Wlazała na swoją pryczę i odwróciła się twarzą do ściany, tę jej pozycję określałam w myślach: wieloryb na piasku. Wszystko się we mnie jeszcze trzęsło, nie miałabym chyba siły wdrapać się teraz na górę, czułam słabość w nogach. Nie chciałam jednak przysiadąć się do Leny, i tak już dostatecznie dużo narobiłam bigosu. Więc wyszłam z celi, błogosławiąc nowe przepisy, które pozwalały więźniom przemieszczać się swobodnie aż do apelu.

Kiedy wróciłam, była już ta druga. Niewysoka, drobna kobieta, na oko około trzydziestoletnia. Stała pośrodku celi i pokazując blizny na rękach, opowiadała o pożarze kurzej fermy, który wybuchł niespodziewanie w nocy i zrujnował ją i jej męża. W dodatku po wnikliwym śledztwie sąd doszedł do wniosku, że to oni sami podpalili budynki, aby oszukać bank kredytowy, a za pieniądze z ubezpieczenia postawić nowy kurnik. Niosek wtedy tam nie było, jak orzekli biegli, tylko same pióra, dla zmylenia śledztwa. Kury odnalazły się potem w innej fermie, gdzie je niby mieli oddać na przechowanie. Ktoś na nich napisał donos. Przyjechali z prokuratury i policzyli, ile jest tych kur u sąsiada, wyszło im, że o połowę więcej niż trzeba. Tacy ci ludzie, w oczy ich kłuło, że jeżdżą mercedesem, że do czegoś doszli. Ale ciężką pracą. Wyrzeczeniami. I cały ten sąd jak za komuny, niesprawiedliwy. To, co im zarzucono, to oczywista bzdura, bo co? Na niby by sobie parzyła rękę do łokci?

A więc to wcale nie była taka świętej pamięci pani Manko, ale raczej Bлагierka II.

rozmowa z Izą

- Przebaczyłaś mu?

- To nie na tym polegało, czy ja mu przebaczyłam czy nie, po prostu myśmy mu były obie potrzebne, zaczęła się tworzyć nowa konstrukcja naszego życia, w której pojawił się dodatkowy element. Chciałam sprawdzić, na ile jest trwały. Z jakąś zwierzęcą żądłością usiłowałam przeciągnąć Edwarda na swoją stronę, oderwać od tamtej. To było jak obsesja, zwać go na Malczewskiego i przetrzymywać jak długo się da, bo wtedy nie będzie z nią...

- Przecież wiedziałaś, że i tak do niej wróci.

- Dla mnie liczyło się wtedy każde pięć minut...

- A nie próbowałaś związać się z kimś innym?

- Nie, nigdy o tym nie myślałam. Jeżeli ktoś mi się podobał, to nie brałam go pod uwagę jako ewentualnego partnera. Moim partnerem był i do końca pozostał Edward. Z nim tylko mogłam się dzielić swoim życiem, z nikim innym.

- Szkoda, że jednak nie spróbowałaś. Mnie się coś wydaje, że on ciebie po prostu nie pociągał fizycznie. W seksie dużą rolę odgrywa podziw...

- Podziwiałam mojego męża, jego umysł, jego intelekt.

- Ale do łóżka nie chodziłaś z jego intelektem, a sama przyznałaś, że jako mężczyzna on był dla ciebie szmatą...

- Nigdy tego nie mówiłam.

- Jak to? Słyszałam na własne uszy!

- Jako człowiek, nie jako mężczyzna. Nie odpo-

wiała mi jego postawa życiowa, na tym tle ciągle dochodziło między nami do awantur. Ale jako mężczyzna Edward był bez zarzutu. Oczywiście nie miał urody Paula Newmana, ale kto wie, czy nie dorównywał mu wdziękiem. Stąd zresztą to wzięcie u kobiet.

- Za tobą, Daria, nikt nie trafi!

Nasz związek załamał się nie dlatego, że mój mąż mieszkał z inną kobietą, powodem była raczej jego nagle obojętność wobec mojego życia, moich problemów. Do tej pory zawsze w trudnych dla siebie sytuacjach byliśmy razem. On się radził mnie, nie jej. Była na to za głupia. Ale, prawdę mówiąc, nigdy nie korzystał z moich rad. I odwrotnie. Pamiętam, że odradzał mi pisanie felietonów w jednym z warszawskich dzienników. Masz cięty język, mówił, poobrażasz ludzi. Po co ci to? Siedź i pisz swoje książki. Ale mimo to pisałam felietony, jeden z nich zwłaszcza przysporzył mi licznych wrogów. Nawiązując do rocznicy śmierci księdza Popiełuszki, przypominałam, jak zachowywali się ludzie z mojego środowiska w czasie jego pogrzebu. Opisałam swoich kolegów, którzy wpychali się przed kamery zagranicznych fotoreporterów, aby się tylko pokazać, a może nawet powiedzieć kilka słów do mikrofonu, jacy to są wstrząśnięci tym, co się stało. Obok tłumu kłębiącego się wokół telewizyjnych kamer, gdzieś na boku stali rodzice zamordowanego przez ubecję księdza. Dwoje prostych ludzi, dwoje staruszków przestraszonych tym całym zamieszaniem, bo oni przyjechali przecież na pogrzeb syna...

Mój tekst to był kij w mrowisko. Wszyscy się po-

czuli dotknięci, wszyscy, którzy tam byli i podejrzewali, że to ich właśnie mam na myśli. „Do kogo ta pani pije?” - zapytywał jeden z oburzonych. Brano nawet pod uwagę możliwość usunięcia mnie ze stowarzyszenia pisarzy. Oczekiwałam od Edwarda jakiegoś gestu solidarności.

- Dobrze ci tak - stwierdził. - Ostrzegałem cię. Znasz to żydowskie powiedzonko: Kann man trinken, kann man tanzen aber niemals mit zassancen?

Nigdy nie podał mi ręki w chwilach moich zapaści, oczekując tego jednak ode mnie, gdy sam miał problemy. Tylko tamto drugie życie chronił przede mną od początku. O chorobie jego pani dowiedziałam się, kiedy było z nią już bardzo źle. Nie odzywał się dosyć długo, więc zadzwoniłam do redakcji.

- Pana redaktora nie ma — odpowiedziała jego sekretarka.

- A kiedy będzie?

- Już go nie będzie, jest w szpitalu.

Przeraziłam się, że to coś z nim, ale to ona miała operację. Odjęto jej pierś. Rak. Jak się okazało, odkryty za późno. Sekretarka mi tego wszystkiego nie powiedziała, trudno, żeby wyjaśniała żonie, że jej mąż siedzi w szpitalu przy łóżku kochanki. Na moje pytanie, co się stało, odrzekła:

- Pan redaktor sam pani powie.

I powiedział mi, złamany, z twarzą zapuchniętą od płaczu. Kiedyś tak szlochał, gdy bolał mnie ząb. Nie umiał znieść bólu kochanych przez siebie osób. Płaczesz, bo ci się psuje zabawka, pomyślałam z jakimś zapięklonym żalem. Było to jak zadośćuczynienie za te wszystkie świństwa, jakie robił w czasie, gdy umierała babcia. On sobie nie radził z chorobami i śmiercią, nie umiał się w tym znaleźć, być może

stad się brało jego okrucieństwo. A teraz ta śmierć, czy raczej powolne zbliżanie się do niej, rozgrywało się tuż obok, w tym samym łóżku. Jej choroba to było zresztą perfidne zagranie losu, który nie dał im się długo cieszyć życiem we dwoje, bez kłamstw, ukrywania się. Nie wiem, kiedy zaczął się ten romans, ale podejrzewam, że na długo przedtem, zanim ona się wprowadziła do naszego mieszkania. Zdążyłam już zapomnieć, że ktoś taki przychodził do naszego domu. Zwykle zamykałam wtedy drzwi do swojego pokoju, ale dobiegały mnie ich głosy. Urywki angielskich zdań, jego śmiech, jej śmiech. Jego stwierdzenia w rodzaju:

- Tak jest, pani profesor!

I jej odpowiedź:

- Tylko magister, panie docencie!

To były wtrącenia po polsku, dlatego je zapamiętałam.

Moje odczucia z pierwszych chwil, kiedy dowiedziałam się o jej chorobie zmieniały się. Wolno, bocznymi drzwiami nadchodziło współczucie. Jej choroba przerażała mnie prawie w tym samym stopniu, co Edwarda. Zawładnęła moją wyobraźnią, niemal nie potrafiłam myśleć o niczym innym. Słowo szpital nabrało szczególnie złowrogiego znaczenia, zawsze się go bałam, ale teraz na myśl o krwi, operacji i opatrunkach wpadałam w panikę. Kiedy skaleczyłam sobie rękę i stryj mi ją zabandażował, nie mogłam tego nagle znieść. Z furią zdzierałam opatrunek. Staruszek pewnie myślał, że oszalałam, patrzył na mnie z lękiem. Jego spojrzenie przywołało mnie do porządku.

- To nie jest duża rana — powiedziałam. - Zagoi się bez bandaża...,

rozmowa z Izą

- Nikt od ciebie nie wymagał współczucia dla tamtej kobiety, ona się nad tobą nie litowała, kiedy wprowadzała się do twojego domu i zabierała ci męża.

- Toteż nie współczułam jej z obowiązku.

Moje koleżanki, z wyjątkiem Błagierki I, którą bolała głowa, poszły oglądać kolorową telewizję za ścianą, w jakiejś chwili usłyszałam zbiorowy wybuch entuzjazmu, a potem do celi wpadła Maska, była rozpromieniona:

- Ty Daria, ale numer! W Ameryce jedna urzędną kutasa swojemu mężowi!

- Przestań, bo się wyrzygam! - odezwała się zboliałym głosem leżąc twarzą do ściany Błagierka I.

- Co chcesz, zmyślna kobiecinka!

Miałam bardzo złą noc. Przewracałam się z boku na bok, było mi jakoś niewygodnie. Za ciasno w tej celi, nie do wytrzymania. Wszystko się we mnie buntowało. Wyjść stąd! Wyjść! Za wszelką cenę! Nie widzieć więcej tych bab, nie oglądać tego ich rozmawiania, a co ważniejsze, ich nie słyszeć! Te wszystkie dobiegające mnie głosy... „Przepraszam, pardon, piardło mi się”. I śmiech. Wstrętny, najgorszy ze wszystkiego. Rechot zadowolonych z siebie samic.

W końcu udało mi się przysnąć, chyba... A może śniłam na jawie... Takie to było realne... Krytyk recenzował teraz moją książkę...

*Bardzo długo nie wiemy, za co Daria zabiła męża, ale wiemy, że to się jakoś podoba niektórym jej współtowarzyszkom, że to akceptują. Ona go zabiła, „żeby zniknęła przyczyna jej męki”... Potem, kiedy na*

*końcu przychodzi scena wyjaśniająca powody, nie jest nam lżej. Tak samo jak nie możemy zaakceptować tej pani, która w stanie „chwilowej niepoczytalności” urznęła mężowi penisa. Ale to znaczy, że złapała Kalicka swoją książką jakiś trend, jakieś mordercze ośmielenie i rozzuchwalenie się kobiet, że pokazała zjawisko, które się kluje, będzie narastać i... za które kobiety zapłacą. Tak jak Daria płaci za tę bezrozumną grę, którą zaproponowała mężowi - będziesz się rozładowywał z innymi kobietami, które ja ci wskażę, nasza miłość pozostanie nieskalana - a on zapłacił za to, że tę grę przyjął...*

Co to jest? - myślałam w tym śnie-nie śnie. - Skąd się wziął tutaj ten człowiek? I co znaczą jego słowa?

*Niebezpieczne związki są tutaj dobrym tropem, ale nie wyjaśniają wszystkiego. Tu dochodzi do głosu polifonizm Kalickiej... Wychowawczyni Iza inaczej to sobie interpretuje, porównując Darię do pani de Merteuil... Ale Daria jest za mało cyniczna, za mało wyrachowana, za bardzo chrześcijańska. Ona jest tylko niepewna, prowokuje męża, żeby się dowiedzieć, czy go ma - mógł jej udzielić odpowiedzi o wiele bardziej jednoznacznej niż ta, jaką były jego powroty do niej od kolejnych kochanek. Mógł do kochanek w ogóle nie chadzać.*

*Związek Darii z Edwardem jest chory, nie dlatego, że ona jest popaprana, że ją student nauczył innej miłości, a brak mężczyzn w dzieciństwie nazначzył pogardą dla kalesonów — ale dlatego, że Edward jest mały kutas, ideologiczny krętacz, kurwiarz, tchórz i cynik, postkomunistyczny inteligent, który rozdzielił inteligencję wyższą od życiowej i dlatego za nic ma-*

*jąc swoją kulturową wiedzę o de Laclosie, idzie głową do przodu w biedę, o której byle kmiot wie, że musi źle się skończyć. Można kobietę zdradzać, ale na litość boską po cichu, a już na pewno nie wtedy, kiedy ona nas do tego popycha. Ale inteligenci pokroju Edwarda za dużo poświęcili czasu na poznanie diamentu, za dużo tracili na gry - napiszę źle o Grasse, żeby wydrukować Bułhakowa - za dużą przyjemność czerpali z odrzucenia tradycyjnej mieszczańskiej moralności, by narzucać sobie jakiegokolwiek ograniczenia... Daria-Edward - ta wizja związku dwu osób wyzwolonych, inteligentnych, czytanych, bywałych, zadreęczających się nawzajem, wyniszczających... Oni się zachowują poniżej swojego poziomu, swojej wiedzy o życiu, o mechanizmach psychologicznych... Powiem rzecz, którą wyczytałem „polifonicznie” w prozie Kalickiej: Daria przecenia Edwarda, on nigdy jej nie kochał, on przed nią udaje. Ten płacz nad jej bólem zęba to komedianctwo. Edward to łajdak! Gdyby Daria zajrzała do jego duszy, przeraziłaby się...*

- Dosyć! Nie chcę - mówię wrogo, ale on nie zwraca na to uwagi.

*No więc jest to powieść niejednoznaczna. To bardzo dobrze. Irytująca - sposób, w jaki żyjemy, też jest irytujący. Sporo w niej rodzajowości, tej najnowszej i poprzedniej, komunistycznej. Nawet babski wir zwierzeń, jaki powstaje wokół Darii - bibliotekarki w więzieniu, też jest swoistą rodzajowością. Tak ludzie reagują na pracowników pióra, aktywizują się wobec nich i chyba aktywizują swoje szare komórki, sumienie? Chcą się rozliczyć, wypowiedzieć, dobrze wypaść, wejść do literatury i... pomóc literaturze. Bo*



*ich życie jest gorzką księgą, oni to już wiedzą i z tego, co wiedzą - dotychczas nie napisaną. Więc, lu - do pisarza.*

*W całości to nie jest donos na Polskę, tylko donos na człowieka, na świat. W tej książce jest babska emocjonalność w ogóle - no, powiedzmy, Europy Środkowej, może Ameryki Południowej, no i Wschodu - a niejednej bidnej Polki z białoruskim rodowodem. Jest to powieść o karze za złe, niemądre życie, powieść o odkupieniu przez dobro...*

- Panie Maćku! - wołam, bo wreszcie przypomniałam sobie, jak recenzent ma na imię. - Ja nie napisałam tej książki!

On podnosi głowę i uśmiecha się.

- Ale pani ją napisze, pani Dario!

Z Agatą jesteśmy na noże. Poszło o tę Rosjankę, Lenę. Próbowwała z niej zrobić posługaczkę, upokarzając ją przy tym na różne sposoby. Przez trzy dni z rzędu Lena sprzątała celę, wynosiła nieczystości, ale gdy nadszedł mój dyżur, ja się wzięłam za to. Agata zastąpiła mi drogę.

- Zostaw, ona wyniesie — powiedziała groźnie.

- Ja wyniosę, bo dzisiaj jest mój dyżur - odrzekłam patrząc jej prosto w oczy.

- Ale my tu mamy taki zwyczaj. Jak w celi jest frajerka, to ona wszystko robi.

- Nie wiem, jaki ty masz zwyczaj, Agata, ale ja mam taki, że nie pozwolę, aby ktoś robił cokolwiek za mnie.

Stałyśmy przy wejściu, Agata zatarasowała je swoim cielskiem.

- Jak ty masz inny zwyczaj niż ja - powiedziała z ironią - to najpierw musisz go wywalczyć.

- Czyli co? Dać ci w pysk?
- Spróbuj.
- I co nam obu z tego przyjdzie?
- Wygra ten, kto silniejszy.

Postawiłam wiadro na podłodze, ona stanęła w rozkroku, myśląc, że ja naprawdę będę z nią walczyć.

- Nikogo nigdy nie biłam. I nie będę biła - powiedziałam, przygotowując się do dłuższej przemowy.

- Ty tylko zabijasz!

Otworzyłam nagle oczy i zobaczyłam przed sobą białą ścianę. Byłam zupełnie sama. W separacie. Ale gdzie? W szpitaliku? Nie, tam chyba nie ma takiego pomieszczenia. Więc to szpital w Słubicach? A może w Warszawie? Bolała mnie głowa, czułam się bardzo słaba, miałam trudności z uniesieniem ręki na kołdrze. Okazało się, iż podłączono mi kroplówkę. Co się stało? Dlaczego tu jestem?

Przed chwilą miałam dziwny sen, śniło mi się, że stoję przy łóżku mojej rywalki. Nigdy nie byłam w tym szpitalu, gdzie umierała. To on tam przy niej warował, a potem przychodził na Malczewskiego, zaszywał się w kącie i milczał. Milczeliśmy oboje. Któregoś dnia zastałam go siedzącego na schodach przed mieszkaniem stryja.

- Przecież masz klucze - powiedziałam, a on podniósł głowę i spojrzał na mnie. Przeraziłam się, bo miał pustą twarz.

- Ona umarła dziś rano - powiedział.

Stanęła mi przed oczyma scena, kiedy widziałam ją po raz ostatni. Zupełnie przypadkowo weszłam do sklepu spożywczego i zobaczyłam ich oboje. Rozpoznałam ją tylko dlatego, że była w towarzystwie Ed-

warda, tak bardzo się zmieniła. Z jej bujnej sylwetki prawie nic nie pozostało, wydawała się teraz koścista, zaczesane w kok włosy odsłaniały chudą szyję. Stojąc przy ladzie, wybierała serki topione, w pewnej chwili odwróciła głowę w stronę Edwarda, wtedy zobaczyłam jej twarz. Miała niezdrową żółtą cerę i cienie pod oczyma, pomyślałam, że to wiosenne zmęczenie. Nie wiedziałam, że jest chora.

Ukryta na końcu długiej kolejki obserwowałam ich, jak odchodzą od lady i kierują się w stronę wyjścia. Edward niósł siatkę z zakupami, podążając o krok za nią. W jego postawie było coś służalczego, niemal deptał jej po piętach, wychylony do przodu. Przypomniało mi się zdjęcie, które zamieścił kiedyś angielski magazyn ilustrowany, przedstawiające matkę ostatniego cara Rosji, sędziwą już Marię Fiodorownę, w towarzystwie jej wiernego lejb-Kozaka. On też tak szedł o krok za byłą cesarzową, gotów na każde jej wezwanie. Przedefilowali przede mną tak bardzo zaaferowani sobą, że żadne z nich mnie nie spostrzegło.

Żałosne widowisko, pomyślałam, gdybym zdawała sobie sprawę z jej stanu, być może nie byłabym tak surowa.

Wchodzi jakiś mężczyzna w białym fartuchu, staje w nogach łóżka, chwilę studiuje moją kartę, a potem patrzy na mnie z uśmiechem:

- Obudziła się śpiąca królowna?
- Gdzie ja jestem? - pytam, dziwiąc się, że mam taki słaby głos.
- W szpitalu.
- W Słubicach?
- Zgadza się.

- To dobrze.

- Ja też tak myślę - odpowiada, nie przestając się uśmiechać. Źle mnie zresztą zrozumiał, wyrażałam zadowolenie, że nie przewieziono mnie do Warszawy. -Jak daleko byłoby stamtąd do Izy... Ciągle nie było dla mnie jasne, z jakiego powodu się tutaj znalazłam.

- Na co jestem chora?

- Wszystko będzie dobrze, pani Dario - odpowiedział wymijająco. - Jeszcze pani napisze wiele pięknych książek. Ale teraz musi tu pani poleżeć parę dni.

Kiedy wreszcie poszedł, z mozolem odtwarzałam w pamięci zapomniane szczegóły. Cela. Idę z wiadrzem, Agata zagradza mi drogę. Mówi: „Jak ty masz inny zwyczaj niż ja, to najpierw musisz go wywalczyć”. I tutaj cięcie. Film się urywa. Może ona mnie pobiła? Byłyśmy mocno skonfliktowane. Jeżeli waliła moją głowę o podłogę, jak w przypadku tej Rosjanki, to nic dziwnego, że ze mną tak źle. Dotknęłam czoła, potem włosów, nie było żadnych bandaży. Ale głowa bolała mnie potwornie. Przeraziłam się, że jestem sparaliżowana, jednakże swobodnie mogłam poruszać palcami u nóg i rąk. Głową chyba też, tyle że potęgowało to ból. Chciałam o czymś jeszcze pomyśleć, ale ogarniało mnie coraz większe znużenie, powieki zaczęły mi opadać, robiły się coraz cięższe. Zapadałam w duszny, niemal narkotyczny sen. Bałam się, że powróci tamto szpitalne łóżko, które musiało gdzieś tkwić cały czas w mojej podświadomości.

Może to zabrzmiało paradoksalnie, ale Edwardowi było łatwiej znieść jej chorobę niż mnie. Był blisko niej, widział te wszystkie zmiany, z czasem przesta-

wało to być takie raniące, bo do wszystkiego można się przyzwyczaić, nawet do umierania najbliższej osoby. To trwało przecież prawie dwa lata. Woził ją na naświetlania, a potem coraz częściej do szpitala. Czas jej pobytów w szpitalu wydłużał się. A doszedł jeszcze do tego idiotyczny wypadek, przewróciła się na schodach i złamała rękę. Edward musiał z nią pojechać na prześwietlenie, unieruchomiono jej ramię. To było już dla niego za dużo. Relacjonował mi całą sprawę z rozdrażnieniem:

- Mówiłem, żeby siedziała w domu, ale wyszła, przewróciła się. Rąbnęła łbem o balustradę...

Rąbnęła łbem, pomyślałam. Jak to jest, kiedy tak się mówi o drugiej osobie. Brałam też pod uwagę, do kogo to mówi. Może to było tylko na mój użytek, może myślał inaczej, ale przede mną tak to rozgrywał. W końcu sytuacja była dość niezręczna. Wiedziałam, że ją kocha. Inaczej niż mnie. Ją kochał namiętą miłością. Co było zrozumiałe, bo jak długo można wytrwać w związku bez seksu.

Zdumiewające, do jakiego stopnia związek fizyczny może przykuć do siebie dwoje ludzi. Przecież oni wyglądali razem wręcz humorystycznie, intelektualista i kompletny głuptas. Ja czułam się często przy nim głupia, więc co dopiero mówić o niej. Byłam ciekawa, w jaki sposób prowadzą rozmowy. I o czym. A kiedy ona zachorowała, stało się to niemal moją obsesją. Dowiedzieć się, co oni do siebie mówią... Pomógł mi przypadek. Stałam właśnie przy skrzynce, bo Edward przebywający za granicą (ona po raz kolejny leżała w szpitalu) prosił mnie, abym odbierała jego korespondencję i dosyłała mu pod wskazany adres. Więc stałam przy skrzynce, kiedy pojawiła się

listonoszka. Powiedziała, że jest zwrot listu z Rzymu. Edward wyjechał stamtąd, zanim list do niego dotarł. Chciałam pozostawić go w skrzynce, ale przedtem zerknęłam na nadawcę. Chwilę biłam się z myślami, ciekawość jednak zwyciężyła. Rozrywając kopertę, czułam się naprawdę podle.

*Kotu, kotu* - przeczytałam ze zdumieniem - *to ja, twój Misiaczek, twoje futerko nastroszone, bo nikt go nie głaska...*

Głoszcze, odruchowo poprawiłam w myślach. Byłam zdezorientowana, nie wiedziałam, czy czytać dalej te bzdury. Ale to nie były wcale bzdury, to był jakiś specjalny miłosny język. Futerko, którego nikt nie głaska, i Misiaczek miały swój głęboki sens. Edward nosił tutaj miano „Kota”, a jego pani ukrywała się pod owym „Misiaczkiem”. I te dwa stworzonka żyły ze sobą w nierozzerwalnej symbiozie. Nawet zbliżająca się śmierć nie potrafiła nią zachwiać. Przecież gdybym to ja była na miejscu Misiaczka, do Rzymu poszedłby list pełen gorzkich wymówek, że sobie pojechał, że mnie zostawił samą w ciężkiej chorobie. Zamiast „Kota” pojawiłby się epitet: „egoista!” Zrobiło mi się nagle wstyd, bo to tak, jakbym zajrzała przez dziurkę od klucza do cudzego domu. Mimo że to był właściwie mój dom i mój mąż, bo ciągle oficjalnie byliśmy małżeństwem... Ona potrafiła uszczęśliwić człowieka, którego kochałam. Ona, nie ja. Ja pojawiałam się jako intruz. I nagle nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. Dokąd pójść. Teraz, gdy tamta sprawa właściwie się sama rozwiązywała, bo dni Misiaczka były policzone, gdy mogłam mieć nadzieję, że Edward do mnie wróci, traciłam go naprawdę.

Kiedy się obudziłam, ktoś siedział przy moim łóżku.

- Iza - powiedziałam z nagłym wzruszeniem.

I nie byłam już w stanie wydusić z siebie słowa.

- Jest dobrze - rzekła uspokajająco. - Miałaś mały wylew. Jesteś w czepku urodzona...

Kto to mówił, że jest w czepku urodzony, przebiegło mi przez rozgorączkowaną głowę. Kochanka...

- Długo byłam nieprzytomna?

- Jakieś piętnaście minut, góra. Już w karetce rozmawiałaś ze mną.

- Nic nie pamiętam.

Iza dotknęła mojej ręki, od tego dotyku rozeszło się po moim ciele dziwne ciepło, dotarło aż do serca. Pod powiekami zapiekły łzy.

- Iza, czy mnie tu ktoś pilnuje?

- Strażnik siedzi pod drzwiami - odrzekła z ociąganiem. - Wiesz, przepisy.

Przymknęłam oczy na znak, że rozumiem.

- Odwiozą cię do naszej izby chorych, tam też jeszcze poleżysz, nie myśl sobie!

- Będę wracała w kajdankach?

- Daj spokój! — zachnęła się Iza. - Wtedy to był taki numer mojej milutkiej koleżanki. Tutaj też są stosuneczki! Ja wyjechałam, to się dobrała do ciebie.

- Kosztowało mnie to ząb!

- Ale ja się jej też odwdzięczyłam, nic się nie bój, taką jej wysmażyłam opinię, że jeszcze poczeka na podwyżkę.

Przetransportowano mnie na noszach. Nie wolno mi było się podnosić z łóżka. Pierwszy raz postawiłam stopę na ziemi po dwóch miesiącach od wylewu. Chodziłam niepewnie, pociągając nogami. Iza odwiedzała mnie codziennie, dopóki nie wróciłam do celi. Odwiedzały mnie też Maska, i Kochanka. Agata nie

pojawiła się ani razu. Nie pytałam o nią, a one nic na jej temat nie mówiły. Doniosły mi tylko, że Rosjankę przeniesiono gdzie indziej. Nasza cela, jak wiadomo, jest sześciuosobowa, ale ponieważ Maska i Kochanka zajmują jedną pryczę, od czasu do czasu dokwaterowują nam jakąś więźniarkę, dopóki coś się dla niej nie zwolni. Uświadomiły mi też, że Blagierka II jest w ciąży. Strasznie rozpacza, że o tym nie wiedziała, kiedy wybuchł pożar. Teraz dziecko może się urodzić ze skazą na twarzy.

Wpadła do mnie Blagierka I i przyniosła mi książkę napisaną przez aktorkę Shirley Mac Laine, były to jej przemyślenia na temat reinkarnacji. Odniosłam się do nich niechętnie, ale tok narracji, tak bardzo bezpośredni, wciągnął mnie. Nie jest to osoba ani głupia, ani afektowana. Jej przeżycia w Andach należałoby wziąć pod uwagę. Ci tubylcy, dla których latające talerze są czymś na porządku dziennym... Shirley pisze o swoim niezbyt udanym romansie z angielskim politykiem i o pewnych znakach wskazujących na to, że oboje znali się w poprzednim wcieleniu i byli nawet blisko, ale coś im nie wychodziło, więc musieli spotkać się także teraz. Jeżeli to miałyby być prawdą, to my z Agatą też się musiałyśmy już spotkać. Coś nas ze sobą łączy, coś, co nas jednocześnie przyciąga i odpycha. Może któraś w poprzednim wcieleniu była mężczyzną; jeżeli już, to ona. Po raz pierwszy wcieliła się teraz w kobietę i nie potrafi sobie z tym poradzić. To by się nawet zgadzało.

Moje wspólne życie z Edwardem czasami bywało całkiem znośne i miało swój niezaprzeczalny urok.



Na przykład w naszej ciasnej kuchence na jednej z szafek Edward wypisał flamastrem: „Akademia Parzenia Herbaty”. Ja byłam w niej tylko niezdolna, studentką. Ale nikt chyba nie potrafiłby przejąć od mojego męża tego daru, bo to był niewątpliwie dar. Mimo że znałam na pamięć wszystkie jego czynności wykonywane w niezwykłym skupieniu, niezmiennie mnie zachwycaly. Najpierw nad parą ogrzewał czajniczek zrobiony z jakiejś specjalnej glinki, przywiózł go z podróży i strzegł jak oka w głowie, potem trzy razy płukał wrzątkiem, dopiero wtedy wsypywał herbaciane listki i zalewał odrobiną gotującej się wody, aby się rozwinęły. Potrzebowały na to pół minuty. Po upływie tego czasu Edward napełniał czajniczek wrzątkiem mniej więcej do połowy i stawiał na dużym czajniku, który miał zdjętą pokrywkę. Pod dużym czajnikiem pełgał płomyczek, tak aby para ogrzewała mniejszy. Po czterech i pół minutach od tej operacji, ani sekundy później, rytuał był zakończony. Edward rozlewał herbatę do filiżanek. Musiały być obowiązkowo z cienkiej porcelany. Zapach tej herbaty był tak aromatyczny, że kręciło się od tego w głowie. Jej kolor był po prostu herbaciany, tak samo jak jej smak, to znaczy nie do opisanie i nie do powtórzenia w żadnej innej Akademii Parzenia Herbaty, gdyby takowa istniała...

Cały ranek w Izbie Chorych odbywało się sprzątanie, mycie okien, szorowanie sprzętów i linoleum; ostry zapach pasty wiercił w nosie. Do mojej izolatki wszedł młody mężczyzna w kraciastej koszuli i zniszczonych dżinsach. Miał ze sobą szczotkę na kiju i wiadro. Oświadczył, iż ma tu posprzątać, i zabrał się do roboty. Zauważyłam, że jest boso i zostawia na

wilgotnej wykładzinie podłogowej ślady stóp. Takie pieczątki: pięć palców i pięta. Odczułam nagle wzruszenie. To było COŚ dawno zapomnianego, coś z tamtego życia za murem, które wyblakło jak stara amatorska fotografia.

Przyglądałam się chłopakowi ukradkiem. Mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia parę lat, był dobrze zbudowany; szeroki w barach, wąski w biodrach, długonogi. Twarz pociągła, głęboko osadzone oczy pod szerokimi brwiami. Kim był? Pracownikiem więzienia? Więźniem? Czy kimś z zewnątrz? Miałam wielką ochotę go o to spytać. W pewnej chwili nasze spojrzenia się skrzyżowały, uśmiechnęliśmy się do siebie.

- Gorąc na dworze - powiedział.
- Tutaj tego się nie czuje - odrzekłam.
- Tutaj to nawet nie widać, że jest lato, szyby takie brudne, ale będą czyste.
- Dzięki panu.
- Będzie pani przyjemniej leżeć.
- Na pewno.

W pewnej chwili zdjął koszulę i na tle otwartego okna widziałam teraz jego opalone, umięśnione ciało. Ciało młodego mężczyzny... miałam ochotę dotknąć tej brązowej, lśniącej od potu skóry. To pragnienie było niemal bolesne... jakbym pojęła nagle, czym może być tęsknota za mężczyzną. Za jego bliskością. Za jego zapachem. Odwróciłam głowę, bo przeraziłam się, że ten chłopiec może wyczytać ją z mojego wzroku...

W nocy powtórzył mi się sen - recenzja z mojej nie napisanej książki. Jej słowa wwiercały mi się w mózg:

*Akcja dzieje się w więzieniu kobiecym i wspomnienia nachodzące skazaną za zabicie męża bohaterkę nawijają się na kanwę więziennej, babskiej codzienności: fascynacja oficer wychowawcą, odkrywanie współwięźniarek, odkrywanie wspólnoty krzywd, wspólnej niechęci do chłopów, gdzieś tam wspólnej niechęci do świata urządnego przez chłopów i... stworzonego przez superchłopa - Boga...*

*Autorka posługuje się Kalicką, daje część biografii Kalickiej swojej bohaterce i część jej literackich dokonań, ale Kalicka to nie jest ta Daria z powieści. To ciekawe, chociaż nie od pierwszej chwili oczywiście...*

Natrętny głos wreszcie zamilkł, bo udało mi się wyrwać z tego sennego koszmaru. Słuchanie recenzji z nie napisanej przez siebie książki jest koszmarem... W dodatku trudno było wywnioskować, czy jest to ocena zła czy dobra, głos relacjonował jedynie treść powieści-widma w sposób co najmniej dziwny. Ten język brzmiał dziwnie... był raczej potoczny niż naukowy i zapadał w pamięć... może to moja podświadomość podsuwała mi w ten sposób „temat”...

Nie spałam już do rana. W pewnej chwili wstałam z łóżka i podeszłam do okna. W pierwszych promieniach słońca zobaczyłam fragment więziennego podwórza, mur, a za murem koronę starej wierzby. Była zielona, gęsto pokryta listkami. Podobna wierzba rosła nad brzegiem Wisły w okolicach Kazimierza. Kazimierz... to dalszy ciąg wątku Czechowowskiego, ale nie chciałam teraz o tym myśleć...

Mój powrót do celi wypadł wczesną jesienią, obiecaną przepustkę diabli wzięli. Ale tak bardzo mi znowu na niej nie zależało. Teraz pewnie trochę po-

czekam, bo jeden z więźniów wykorzystał swoją, by zadźgać dwie kolejne osoby. Więc władze zrobiły się ostrożniejsze z tym wypuszczaniem ludzi mnie podobnych na okresową wolność. Ja, co prawda, nie jestem żadnym bandziorem, ale paragraf, z którego mnie i jego sądzono, jest ten sam:

*Kto zabija człowieka, podlega karze więzienia nie mniejszej od lat ośmiu do kary śmierci włącznie.*

Wróciłam rano, kiedy one wszystkie były poza terenem więzienia, w zakładach krawieckich.

Zajęłam pryczę na dole, którą dla mnie zawczasu przygotowano. Znowu nastąpiło przetasowanie. Teraz na dole śpimy: ja, Agata i Błagierka II, bo jest w ciąży. Maski i Kochanka chcąc nie chcąc poszły na górę, na moje miejsce. Bardzo mi z tego powodu smutno, to był taki mój azyl, namiastka izolacji. Teraz toczące się tu życie będę miała jak na dłoni, a wcale mi na tym nie zależy, wręcz przeciwnie. Spotkanie z Agatą wypadło zwyczajnie, to znaczy udawałyśmy, że się nie widzimy, aż Maski nie wytrzymała i powiedziała z góry:

- Zauważyłaś, Aga, że Daria jest z nami?
- Nie jestem ślepa - padła zwięzła odpowiedź.

W kilka dni później zjawiała się w bibliotece. Przyszła koza do konfesjonału, pomyślałam. Podobnie jak Kochanka gmerała w kartach książek, czekając, aż będzie mogła porozmawiać ze mną bez świadków. Wtedy dopiero podeszła.

- Wybrałaś coś? - spytałam sucho.
- Nic nie wybierałam - odrzekła szczerze. - Chcę z tobą pogadać.
- Nie ma o czym. Sama mi kiedyś powiedziałaś,

że jak ja będę ludzka, to i wy będziecie ludzkie dla mnie. A czy ty byłaś ludzka dla Leny?

- Jak można być ludzkim dla gnidy? Tutaj są ludzie i gnidy. Ty byłaś od razu człowiekiem.

Poprawiłam włosy ruchem podpatrzonym u Izy.

- Nie interesuje mnie, kto tutaj kim jest - powiedziałam ostro. - Dla mnie wszyscy są ludźmi. Dla mnie nawet zwierzęta, te czworonożne, są ludźmi, jeżeli już o tym mówimy. I traktuję je po ludzku.

- Zwierzęta mogą być ludźmi - zgodziła się. - Ja miałam nawet kota czy raczej kotkę. Ale tutaj są ludzie i gnidy, a za murem ludzie i Żydy.

Staralam się uspokoić, obawiając się nowego Wy-lewu.

Moje życie zaczęło się toczyć normalnym więziennym trybem, to znaczy chodziłam do biblioteki, spałam, myłam się, spożywałam, mówiąc górnolotnie, czarny więzienny chleb, przeglądałam jakieś książki. Tak to niestety trzeba nazwać, nie dość, że moje pisanie oddaliło się ode mnie o całe lata, to jeszcze straciłam smak do czytania. Czyjeś myśli ułożone czasami w piękne nawet zdania. Co to mnie obchodzi, myślałam. To prawda, księgozbiór tutejszej biblioteki był mocno przetrzebiony i z braku pieniędzy nie uzupełniany żadnymi nowymi pozycjami, ale mogłam przecież poprosić stryja, aby mi przysyłał książki. Staruszek, mimo moich protestów i tłumaczeń w listach, że wszystko mogę sobie kupić w sklepie, wysyłał mi paczki żywnościowe, między innymi cebulę, żebym nie dostała skorbutu. Moje więzienie pomyliło rnu. się z więzieniem okupacyjnym, wtedy cebula pomagała przetrwać. Ale cóż się dziwić, to był już coraz bardziej sędziwy pan. Jak jego

generał, który dobiegał setki. Dziwne te polskie losy, legendarny przywódca wojsk polskich na Zachodzie po wojnie pracował u swojego byłego żołnierza jako kelner. Na wyspie. Oni tak między sobą nazywali Anglię, nie Wielka Brytania, tylko wyspa. Ale nie nadziei. Tb była ich Wyspa Św. Heleny...

klucz do Agaty

zastanawiałam się, w jaki sposób go znaleźć. Klucz, do Agaty, to byłby dobry tytuł na powieść sensacyjną; na, ktoś nawet na to już wpadł. Obił mi się o uszy podobny tytuł, tyle że imię było inne. Chyba *Klucz do Rebeki*, ale głowy bym za to nie dała. Agata... to już całe zjawisko, którego nie mogę pominąć. Nie wolno mi. Zostałam postawiona w sytuacji chirurga, który wie, że istnieje szansa na udaną operację. Nie mogłam pozwolić, aby zniknęły w niej resztki człowieczeństwa. Widywałam tutaj kobiety, które zostały go pozbawione do końca, więzienie je wymózdzyło, uczyniło z nich ludzkie automaty, reagujące jedynie na odpowiedni sygnał. Paradoksalnie, to one zaliczały się do wyższej hierarchii więziennej i bezwzględnie egzekwowały od tych z niższych szczebli należne im posługi. Biły, zabierały pieniądze, kazały się wyręczać we wszystkim, a także wykorzystywały te słabsze seksualnie. W oczach Izy Agata była kimś takim, dlatego mnie przed nią przestrzegała. Ale Iza nie do końca miała rację, Agata jeszcze potrafiła odczuwać i moim obowiązkiem było to w niej uratować. Przecież ja też tylko dzięki temu, że zaraz na początku spotkałam Izę, potrafiłam się ochronić przed więzienną paranoją, która obezwładnia, niszczy wolę działania. Kto wie, czy gdyby nie Iza, nie stoczyła-

bym się na samo dno tej społeczności. Byłabym teraz taką frajerką czy gnidą, obie nazwy określały tę samą pozycję, czy raczej brak jakiegokolwiek pozycji. Gdybym ze strachu wpuściła Agatę po raz drugi na swoją pryczę, być może teraz wynosiłabym za nią gówna i jadała gdzieś w kącie jak zwierzę. To było prawdopodobne, bo stan psychiczny, w jakim się wtedy znajdowałam, predysponował mnie do czegoś takiego. Dwa lata izolacji w areszcie śledczym rozhartowały mnie wewnątrz, odczyły samodzielne myślenia. Decydowano o wszystkim, co mi było wolno, a czego nie. I ja się na to godziłam coraz chętniej, klucz obracający się w zamku mojej celi stał się gwarantem bezpieczeństwa. Nikt tutaj nie mógł wejść, nikt nie mógł ode mnie niczego wymagać i niczego ode mnie nie oczekiwał. I nagle przeniesiona zostałam w świat, w którym ode mnie właśnie wiele zależało, znacznie więcej nawet niż na wolności. Przetrwanie w tym świecie wymagało niezwykłego hartu, przebiegłości i siły fizycznej. A ja żadnej z tych cech nie miałam. Byłam stuprocentową frajerką. A jednak Agata oceniła mnie od razu jako człowieka. Bo ja do celi weszłam z tarczą ochronną. Tą tarczą była Iza. Już moje pierwsze spojrzenie w jej niezwykle świetliste oczy coś we mnie poruszyło. Ona tak nie pasowała do tej rzeczywistości, że chociażby z zawodowego nawyku powinno mnie to zainteresować. Było też w tym coś więcej, Iza należała do tych prawdziwych kobiet, które zawsze były dla mnie zagadką i wobec których odczuwałam pewien rodzaj niższości. Wprawdzie Edward twierdził, że ja mam coś więcej niż one. Naturalność. To prawda, do tego stopnia miałam naturalną twarz, że nie można jej

było niczym poprawić, nie pasowały do niej ani tusz, ani szminka. Dlatego nigdy się nie malowałam. Iza napisała w swoim dzienniku, że mam twarz obnażoną. Ale z tego opisu wynikało także, że brzydką. Te obrznięte powieki, grymas wokół warg... Kiedyś Edward powiedział żartem:

- Wyobraź sobie taką zrobioną piękność, wszystko na swoim miejscu, makijaż, fryzura. Ona jest zachwycająca, myślisz sobie, a tu nagle powiał wiatr i naszej damie potargał włosy. Z misternie upiętego koka pozostał smętnie zwisający ogon. I już nie jest piękna, jest śmieszna. A tobie to nigdy nie grozi.

Iza też nie wyglądałaby śmiesznie, gdyby wiatr rozwał jej włosy (jak bardzo chciałabym to zobaczyć!), bo Iza była obdarzona przez naturę ponad miarę. Nie musiała wydobywać pastelami i tuszem głębi oczu. Już miały swoją głębię. Ja bym jej zresztą nie nazwała piękną, w tym obiegowym sensie, nie miała regularnych rysów i być może na którymś z rozlicznych konkursów piękności jej uroda nie znalazłaby uznania. Iza była jednak intrygująca, a takich kobiet spotyka się niewiele. Była dla mnie „materiałem”, bez względu na to, czy napiszę jeszcze jakąkolwiek książkę. To było ode mnie niezależne. To przybliżanie się do Izy stanowiło zresztą bardziej wyzwanie życiowe niż literackie. Tylko dlatego, że w krytycznej chwili, o, jakże zaiste krytycznej, na mojej drodze pojawił się drugi człowiek, ja sama nie przestałam być człowiekiem. Zaciągnęłam więc dług, który teraz powinnam spłacić, ratując Agatę. To się stało moją idee fixe, przekonać ją, że wszyscy są dla siebie braćmi, bez względu na pochodzenie i sytuację życiową. Ba! Ale sobie postawiłam zadanie. To się



przecież nie udało paru takim tytanom przede mną, Chrystusowi choćby. Więc czy to nie przesądu, że chcę wchodzić w kompetencje Boga?

Trochę pomieszało mi szyki pojawienie się w naszej celi młodej Cyganki, co prawda „na okres przejściowy”, bo zjawiała się tutaj jako siódma. Gdybym nie wiedziała, że niedziela była dniem odpoczynku Stwórcy, mogłabym podejrzewać, że stworzył ją właśnie w niedzielę. Była niczym figurka z porcelany i naprawdę śliczna, miała długie wijące się, koloru suszonych śliwek włosy i olbrzymie, niemal granatowe oczy w bardzo jasnej twarzy. Mimo że pierwszy raz trafiła w podobne miejsce, wyczuwała intuicyjnie, jak ma się zachowywać, aby na przywitaniu nie zostać tak potraktowana jak Lena. Jej metodą obronną była przymilność, zawsze skora do usług wiedziała, gdzie jej miejsce. Nie siadała z nami przy stole, jadła na swojej pryczy wsunięta w ką, zazwyczaj stawiając miskę na podciągniętych niemal pod brodę kolanach. Agata spoglądała na nią przychylnym okiem. Ze zdumieniem zauważyłam, że między tymi dwiema zaczyna się toczyć rodzaj erotycznej gry. Cyganieczka wysyłała w stronę Agaty wyraźne sygnały. Przechodziła obok w taki sposób, aby dotknąć jej ramieniem, niby niechcący otrzeć się o nią swoim sterczącym biustem. Rzucała też w jej stronę powłóczyście spojrzenia. Wyglądało to trochę tak, jakby koliber kokietował hipopotama. Czekałam tylko, kiedy ten hipopotam otworzy paszczę i połknie ptaszka. Ale Agata nie była skora do podjęcia wyzwania. Może powstrzymywały ją resztki przyzwoitości. Cyganka była już co prawda pełnoletnia,

ale jej umysł zatrzymał się na etapie pięcioletniego dziecka. Względy, jakie okazywała Agacie, brały się chyba stąd, że w mig się zorientowała, „kto jest kim” i kto naprawdę tu rządzi. Wszystkim nam wróżyła z ręki. Mnie powiedziała coś dziwnego, że „wkrótce obejmę świat, ramionami”. Może to oznaczało wyjście na wolność?

Którejś nocy, przy akompaniamencie pochrapywań i głębokich oddechów śpiących kobiet, Cyganka wśliznęła się na pryczę Agaty. Rozchyliła jej koszulę i doszukawszy się wreszcie brodawki na jednej z potężnych piersi, poczęła ją ssać. Agata chwilę leżała w bezruchu, a potem zagarnęła dziewczynę na siebie, rozebrała do naga i pieściła dłońmi z dużą zręcznością, mała poddawała się temu. Więzienny maszkaron posadził ją sobie na twarzy i podtrzymując za pośladki, penetrował językiem okolice pomiędzy udami dziewczyny. Cyganka, odchylając głowę do tyłu, pojękiwała z rozkoszy. Zmieniły po chwili pozycję, dziewczyna przesunęła się w stronę ud Agaty, niemal znikając między nimi i tylko po ich rytmicznych drganiach można się było zorientować w intensywności pieścizot. Głowa Agaty przetaczała się na poduszce to w jedną, to w drugą stronę. Nie było żadnej brutalności w tej scenie. Może kolos rzeczywiście obawiał się, iż niechcący zadusi kolibra, i prawdziwe namiętności trzymał na wodzy. Jeszcze raz posadził małą na sobie i unosząc głowę, ssał po kolei brodawki jej drobnych dziewczęcych piersi, a potem uznając widocznie, że nadchodzi kres pieścizot wstępnych, wychrypiał gdzieś z głębi gardła:

- Zakończ!

Nie wiem, czy one to jakoś ustaliły, czy małą pro-

wadziła intuicja, dość, że zaczęła ją teraz pieścić ręką, ta ręka, wykonując rytmiczne ruchy, zanurzała się coraz głębiej, głębiej, niemal do łokcia. Tak doszło do kulminacji, Agata wyprężyła się, zatykając sobie usta poduszką, pewnie po to, by stłumić przeciągły jęk.

Powtarzało się to teraz co noc i obu kochankom wyraźnie służyło. Cyganka krzątała się po celi podśpiewując, a Agata stała się bardziej przystępna. Z pewnością nie był to dogodny moment do jej nawracania, ale i tak nie wynalazłam jeszcze na nią żadnej metody.

Dziś przed południem, kiedy byłam sama w bibliotece, przypomniała mi się scena z dawnego życia. Wróciłam pierwsza do domu - wtedy jeszcze nie byliśmy małżeństwem - i położyłam się z książką na kanapie. Zaraz, jaka to była książka... Chyba coś Kundery... Nie wiadomo kiedy przysnęłam. Obudziło mnie trzaśnięcie drzwi wejściowych, ale leżałam dalej z zamkniętymi oczami. Kroki, Edward przykrył mnie kocem, a potem usiadł naprzeciw w fotelu i patrzył na mnie. Obserwowałam go spod uchylonych powiek. Ten mężczyzna mnie kocha, myślałam, i ja go Kocham. Więc dlaczego nie umiem być z nim szczęśliwa... Bo nie chcę, aby podchodził za blisko, umiem go kochać tylko na wyciągnięcie ręki...

Wraz z przewodniczką małej złodziejki - złodziejką to ona była nawet dużą, bo należała do bandy okradającej kościoły z dzieł sztuki wielkiej wartości: wota, obrazy, ale tak ją ochrzciłam z racji jej drobnej budowy - romans z Agatą się urwał. Agata chodziła

ponura, z oczami wbitymi w ziemię. Nie można się było do niej odezwać.

Któregoś dnia przyszła wraz z grupą do świetlicy, usiadła przy stoliku nad szklanką kawy i gapiała się w telewizor. Po jakimś czasie podeszła do mojego pulpitu.

- Coś bym wzięła do czytania - powiedziała. - Coś o miłości.

I wtedy wpadła mi do głowy pewna myśl. Zdjęłam z półki kieszonkowy wybór opowiadań Bunina *Nathalie* i podałam go jej.

Agata niezbyt przychylnie przyglądała się okładce.

- Iwan... - przeczytała. - To jakiś Ruski, wolę coś naszego, może być Fleszarowa...

- Ale to właśnie opowiadanie o miłości.

- Co tam taki Iwan może wymyślić - odrzekła pogardliwie.

- On dostał Nobla! Najważniejszą na świecie nagrodę literacką - dodałam.

Ta informacja nie zrobiła na niej wrażenia.

- A może masz coś Chmielewskiej?

- Wszystko wypożyczone. Przeczytaj to opowiadanie, ma tylko pięćdziesiąt stron... i jest o pięknej miłości... - Widząc, że Agata się waha, zaczęłam ją namawiać: - Nikt jeszcze tutaj tego nigdy nie wypożyczył, zrób dobry początek... to ma tylko pięćdziesiąt stron...

- No, niech będzie.

Usiadła w rogu i otworzyła książkę, a ja niemal wstrzymałam oddech. Przekartkowała kilka stron i nagle zatrzymała się, a potem wróciła do początku. Na policzki wystąpiły jej rumieńce. Obserwowałam ją z uczuciem nagłego wzruszenia, widziałam, jak wchodzi w świat wielkiej literatury, jak ją ten świat

pochłania, odgradza od wszystkiego, co się dzieje obok. Następnego dnia cały swój wolny czas spędziła na pryczy czytając Bunina i rozstała się z nim do piero, gdy zgaszono światło.

- Co ty Aga tak podczytujesz? - zagadnęła ją w ciemnościach Maska. - Podłapałaś jakiego pornososa?

- Po co mi pornos, ty mi wystarczasz - odburknęła.

Moje życie więzienne wydawało się dominować nad powrotami w przeszłość. Czas przeszły bardzo się skurczył, by mnie kompletnie zaskoczyć. Iza przysłała do biblioteki z taką miną, że nagle z lękiem pomyślałam, iż obwieści mi: wychodzę za męż. Nie wiem dlaczego to właśnie pomyślałam. Niczego o niej nie wiedziałam, ani co robi po dyżurach, ani z kim się spotyka, nawet tego nie wiedziałam, czy mieszka sama. Czy z kimś.

- Masz dla mnie jakąś wiadomość? - spytałam, patrząc na nią w napięciu.

- Tak.

I znowu patrzymy sobie w oczy.

- W rozmównicy czeka twoja matka.

Matka? Przecież ja nie miałam matki, a przynajmniej jej nie pamiętałam. Nie potrafiłam nawet wyobrazić sobie jej twarzy, bo na plebanii nie było żadnych jej zdjęć. Kiedy pytałam, dlaczego w domu nie ma fotografii mojej matki, babcia udzielała mi wymijających odpowiedzi, że to nie były czasy, żeby się fotografować. A kiedy były takie czasy? Więc matka funkcjonowała w mojej świadomości jako zupełnie abstrakcyjne pojęcie. Ktoś, kto nie miał twarzy. Ci, co ją znali, twierdzili, że wcale jej nie przypominam, chyba tylko włosy mam po niej, taką niesforną ru-

dawą szopę. Ale babcia powiedziała stryjowi, że ja to wykapaną matka. Może dlatego, iż on z kolei twierdził, że nie jestem ani trochę podobna do swojego ojca, a jego brata. Pewnie bała się, że nie da pieniędzy na moje studia, i na zawołanie upodobniła mnie do matki. Ach, wszystko jedno, jakie to teraz ma znaczenie. Jednak ma, skoro ona czeka w rozmównicy.

- Iza - powiedziałam wolno. - Ja nigdy jej nie widziałam. To znaczy nie pamiętam jej...

- Wiem o tym, dlatego ukryłam przed tobą jej starania o widzenie. Ale musisz się z nią zobaczyć. Ona tu jest kolejny raz, zjawiała się, jak jeszcze byłaś chora. Nie wpuściliśmy jej do ciebie, uważając, że to nie jest ten moment.

- Myślisz, że teraz jest? - spytałam bezradnie.

- Kiedyś to musiało nastąpić.

- Ale po co? Po co?

- Bo to pomimo wszystko twoja matka.

Z uczuciem niepokoju i niechęci wyruszyłam na to spotkanie. W rozmównicy, w której kiedyś prowadziłam rozmowę z prywatnym wydawcą, siedziała otyła, dosyć młoda jeszcze kobieta, właściwie mogłaby być moją rówieśnicą. Byłam szczupłą, więc mój wygląd wprowadzał w błąd, ujmował mi wieku, ale niektóre moje szkolne koleżanki wyglądały teraz identycznie jak ona. Takie wschodnie mamasze, jak je nazywałam. Dorodne, rozłożyste, było do czego się przytulić i gdzie wypłakać swoje żale. Tylko że ja nie znałam ciepła matczynej piersi, nie karmiła mnie nią i mnie do niej nie przytulała. Po prostu zniknęła. By pojawić się dopiero teraz.

Na mój widok wstała. Była ode mnie wyższa, włosy miała kasztanowate tak samo jak babcia i tak

samo jak babcia ani odrobiny siwizny. Twarz bez zmarszczek zrobiła na mnie dziwne wrażenie, było w niej coś znajomego i obcego zarazem. Jakby odbicie dwóch twarzy jednocześnie, jakby ich przenikanie, twarzy mojej z twarzą babci. Być może tak bym właśnie wyglądała, gdybym się rozżyła.

- Daria... - zaczęła niepewnie.

- Daria Konieczna.

Nosiłam to nazwisko, mimo że matka Edwarda chciała mnie go pozbawić. Ale była bezsilna, bez względu na okoliczności pozostawałam wdową po nim, tylko ja mogłam się go dobrowolnie zrzec. Ale nie chciałam. Bo ja byłam tą wdową, ilekroć udawało mi się wmówić sobie, że tamtego dnia zdarzył się wypadek, że broń wystrzeliła niechcący, czułam się nawet jego żoną, do tego stopnia mój psychiczny związek z tym człowiekiem się zachował. Prowadziłam dialog z kimś, kto nie istniał, jakbym mogła go przez to chociaż w części ożywić. Obdzielałam swoim życiem nas oboje.

Prawie jednocześnie usiadłyśmy na stołkach po obu stronach obskurnego stolika. Ona położyła na nim ręce, zauważyłam na jej palcu obrączkę. A więc ponownie wyszła za mąż.

- Wiesz, że jestem twoją matką...

- Właśnie przed chwilą mnie o tym poinformowano.

Było jej chyba trudno mówić, a ja niczego jej nie ułatwiałam. Miałam do niej żal, że się w ogóle pojawiła.

- Dowiedziałam się, że tu jesteś, przypadkiem. W pociągu dwie panie rozmawiały o tobie, o twojej książce i jedna z nich spytała tą drugą, czy wie, co się z tobą dzieje. I ona nie wiedziała, tak jak ja.

- Było w gazetach.

Machnęła ręką.

- Nie czytam gazet, skąd brać na to czas.

Zastanawiałam się, czy mam do czynienia z kobietą prostą, jaką bez wątplenia była moja babcia, czy z inteligentką. Jej wygląd wskazywał na to, że z tą pierwszą, ale miałam taką profesora na uniwersytecie, którą nieznajomi brali za sprzątaczkę, a był to jeden z przenikliwszych umysłów, jaki zdarzyło mi się spotkać. Nawet Edward czuł dla niej respekt.

Ona, ta kobieta, do tej pory nie powiedziała niczego, co mogłoby ją jakoś określić. Ubrana była też w sposób dosyć mylący, tak się mógł ubierać ktoś, kto nie miał gustu albo kto nie przywiązywał do tego wagi.

- A czym się pani zajmuje? - spytałam.

- Jestem twoją matką - odrzekła nieśmiało, dając mi do zrozumienia, że powinnam ją tak nazywać.

- Nie czuję tego.

- Może masz żal - zaczęła, ale jej przerwałam.

- Nie mam żalu. Mam swoje życie, a pani ma swoje. Po co to spotkanie?

Skrzyżowała palce rąk, jakby mając zamiar się modlić.

- Wcześniej też o tym myślałam, kiedy zobaczyłam twoje nazwisko w gazecie. Pomyślałam, że ta Daria Kalicka to musisz być ty. Ale jak przeczytałam książkę... o tej matce, która umarła... żegnałaś jej ciało w kaplicy... wzięłam to do siebie...

- Ja myślałam wtedy o babci - powtórzyłam to, co wcześniej mówiłam już Izie.

Ta kobieta poprawiła się na stołku.

- Ty nic chyba nie wiesz, bo moja mama to był człowiek surowy. Nieprzebaczący, pewnie mnie wyrzuciła ze swojego serca...



- Nie przyjechała pani na pogrzeb.  
- A po co miałam przyjeżdżać, sama napisałaś w swojej książce takie zdanie, że matce nie można odebrać życia, bo ona je daje. Dla mnie matka to matka, wszystko jedno, żywa czy umarła. Jest.

A dla mnie nie, pomyślałam, i ty się do tego przyczyniłaś.

Ona, jakby zgadując moje myśli, powiedziała:

- Jak ciebie urodziłam, sama byłam dzieckiem, miałam czternaście lat...

- Co? - wyrwało mi się, moje zdumienie było prawdziwe i całkowite.

Uśmiechnęła się smutno.

- Jakbyś знаła swojego ojca, tobyś się nie dziwiła. To był taki czaruś, poszłabym za nim w ogień. On zresztą miał bab na pęczki, a ze mną się ożenił.

Prawie nie słuchałam tego, co mówi, w głowie miałam zamęt. A więc byłam dzieckiem czternastoletniej dziewczynki. I nie wiedziałam o tym. Czy gdybym wiedziała, cokolwiek by to zmieniło. Być może, to przecież jest jakaś wiedza na własny temat. Kiedy ja miałam czternaście lat, bawiłam się lalkami. Mężczyźni dla mnie nie istnieli, dopiero w dwa lata później pojawił się ten student...

- Miałam czternaście lat - powtórzyła ona. - Twojego ojca zabili na moich oczach. Ja się potem bałam być matką... Uciekłam...

- Czy... - zawahałam się, nie wiedząc, jak się do niej zwracać, słowo „matka” nie mogło mi przejść przez gardło. — Czy jest jakaś rodzina?

- Jest, mój obecny mąż i ja prowadzimy zajazd... mamy dwóch synów... jeden siedemnaście lat, drugi o dwa lata młodszy..

Jestem córką restauratorki, pomyślałam.

- Jakbyś chciała, to przyjeżdż w odwiedziny.

- Teraz to raczej niemożliwe.

- Jak stąd wyjdiesz.

Zapadło milczenie.

- A oni o mnie wiedzą?

- Mąż to wie, synowie najpierw byli za mali... teraz im powiem... jakbyś chciała przyjechać.

- A ty dlaczego przyjechałaś do mnie właśnie teraz? - po raz pierwszy skierowałam pytanie do niej jak do matki.

- Bo myślałam, że mnie potrzebujesz. Babcia nie żyje. Zostałaś sama, a trzeba kogoś mieć.

Wróciłam do biblioteki, ale nie mogłam usiedzieć za pulpitem, nosiło mnie po całym tym niewielkim pomieszczeniu, wchodziłam między regały, wracałam. Matka, myślałam, przypomniała sobie o mnie poniewczasie... Ojca też nie znałam, ale on zginął, zanim jeszcze się urodziłam. Gdybym jednak przy nim dorastała, co by to zmieniło. Miałabym inny wzorzec mężczyzny. Jak chciała ta seksuolożka. Mój wzorzec mężczyzny to duchowny. Nosił piękne imię Teodozjusz, imię cesarów, i był mężem wielce uczonym. Całymi dniami ślezczał nad grubymi księgami. Kiedy przyjeżdżaliśmy na plebanię, prowadził z Edwardem długie rozmowy, nie światopoglądowe, był delikatny i nikogo nie chciał nawracać. Oni prowadzili dysputy filozoficzne. I widziałam po minie Edwarda, że nie jest to partner, którego on lekceważy.

Więc co by było, gdyby matka mnie wtedy nie porzuciła? Kim byłabym teraz... Jaka byłabym. Może taka jak ona. Brałabym życie, jakie jest, bez zasta-

nawiania się nad nim. Bo na co mi się to zdało. Nie mam rodziny, nagrody Nobla też nie dostałam.. A czy to o to chodzi, żeby ją dostać. Czy po to się zostaje pisarzem, żeby czekać na laury. Pisarzem się zostaje po to, żeby cierpieć. A ja do tego zawsze byłam pierwsza. Więc wszystko w porządku. Mam jeszcze spore pole do popisu...

Agata odniosła mi książkę. Spytałam, czy jej się podobała, przytaknęła tylko głową. Być może nie chciała rozmawiać przy świadkach. W dwa tygodnie później ubierałyśmy się po kąpieli w szatni, ona wciągnęła spodnie od dresu i obnażona do połowy, suszyła ręcznikiem włosy. W pewnej chwili zwróciła się w moją stronę, zobaczyłam jej monstrualne piersi z rozlanymi brodawkami, pełne rozstępów i popękanych żyłek.

- Ta Nathalie mi nie chce wyjść z głowy - powiedziała.

- Natali - poprawiłam.

Ona jakby nie słyszała.

- Jak to tak można pisać, że się wszystko widzi... I ten dom, i ogród... i tą Nathalie... Ja ją ciągle widzę... te jej włosy i te jej oczy... Zmarnowali ją! Zmarnowali!

Przez chwilę sądziłam, że Agata zwariowała, miała zupełnie szalone oczy.

- Była piękna. Piękna! - wykrzyknęła jakoś tak boleśnie, a potem nagle odwróciła się do mnie plecami i w pośpiechu zaczęła naciągać bluzkę. Zawstydział ją własny wygląd. Chciała to swoje ciężkie, nieforemne ciało osłonić przede mną, a może przed sobą samą.

Edward bez niej... Kiedy przychodził na Malczewskiego z pustego mieszkania, było nam trudniej się porozumieć niż wtedy, gdy ona żyła. Milczenie między nami stawało się wymowne. Ja myślałam, że on myśli, iż chcę się z powrotem do niego przenieść. A co myślał naprawdę... Któregoś dnia zadzwonił do mnie z redakcji.

- Może poszlibyśmy do kina? - spytał.

Po raz pierwszy od jej śmierci znaleźliśmy się tak blisko siebie. Czułam dotyk jego łokcia na oparciu krzesła i bałam się poruszyć, a nawet głębiej odechnąć. Bo gdybym mocniej oparła się o niego ramieniem albo gdybym się odsunęła, mógłby to źle zrozumieć. Prawie nie śledziłam akcji filmu, przez cały czas nie zmieniałam pozycji i kiedy zapaliło się światło, miałam zdrętwiały kark. Odprowadził mnie pod dom, pod same drzwi. Tu się pożegnaliśmy. Idąc po schodach, robiłam sobie wyrzuty, że nie zaprosiłam go na górę, ale nie byłam pewna, czy on tego chce. Chyba nie chciał. Oboje tego nie chcieliśmy, ale oboje baliśmy się o tym głośno mówić. Więc zakradała się pomiędzy nas sztuczność, a tego nie było nigdy. Dowiedziałam się przypadkiem, że jeździ na cmentarz. Jak zwykle od jego sekretarki. Zadzwoniłam, a ona mi powiedziała, gdzie pojechał.

- Kupuje kwiaty w kwaciarni po drugiej stronie ulicy. Jeździ codziennie. I już nie wraca do redakcji.

Tam jest przecież ciało, pomyślałam. A ona to było ciało. Nic dziwnego, że nie może się z nim rozstać. Wszystko to wydało mi się jakieś żałosne. Ten nasz trwający całe lata układ. Kim w tym trójkącie byłam ja. Jaką spełniałam rolę. Markizy - podpowiedział mi wewnętrzny głos. - Chciałaś ich rozdzielić. I udało ci się... To nie ja, to los - broniłam się.

Wszystko jedno - dudnił dalej głos. - Nie bądźmy drobiazgowi...

Kiedy Błagierka II podeszła dzisiaj do mnie w świetlicy, odczułam coś na kształt niechęci. Nosi luźne rzeczy, mimo to jej stan odmienny rzuca się w oczy. Odmienny... to chyba dobre słowo, zmieniła się bowiem nie do poznania. Nie jest już tą filigranową dziewczyną o zabawnej twarzy, w której centralny punkt stanowiły oczy, takie zadziwione oczy z odrobiną chytryści na dnie. Teraz dostrzegłam w nich wyraz, który trudno mi było określić. Lęku? Bała się swojego macierzyństwa? Jeżeli z tym przychodziła do mnie, trafiła najgorzej jak mogła.

- Chcesz coś wypożyczyć? - spytałam.

Na jej twarzy pojawił się bezradny uśmiech.

- Nie wiem... Ja od matury nie miałam książki w rękę... ale teraz może bym coś wypożyczyła... Żeby potem małe nie powiedziało, że ma głupią matkę.

Małe... Tak się określa zwierzęcy pomiot. To mnie jeszcze gorzej do niej nastawiło. Jej biologizm mnie odstręczał, przerażał. To, co się z nią teraz działo, było obce. Ociężała figura, lekko opuchnięta twarz, ziemista cera. Pod oczyma głębokie sińce.

- Jak nie masz potrzeby czytać, to nie czytaj - odrzekłam.

- To nie to, że nie mam potrzeby, ale... dlaczego czytanie jest takie ważne? - Patrzyła na mnie oczyma kotnej samicy, nie mogąc tego znieść, odwróciłam wzrok.

- Nie dla wszystkich jest ważne - próbowałam ukryć przed nią swoją niechęć. - Są tacy, co nie przeczytali ani jednej książki i żyją.

- Ale to chyba wstyd? Wszyscy mądrzy ludzie dużo czytają. Dlaczego?

- To jest jakby rozmowa z samym sobą... z własną duszą, potwierdzenie, że się ją ma...

Maska i Kochanka wychodzą na wolność, razem. Razem je aresztowano, razem spały na jednej pryczy i razem teraz wychodzą. Urządziły coś w rodzaju wieczorku pożegnalnego, wykupiły cały towar ze sklepiku Agaty i Błagierki I. Usiadłyśmy wszystkie przy stole, każda ze swoim blaszanym kubkiem. Przyjęcie było wytworne, słone paluszki, orzeszki, nawet migdały, i do tego nasz więzienny aperitif, czyli spirytus rozrobiony wodą.

- Trzymajcie fason, dziewczyny, nie zróbcie nam wstydu tam, za murem - powiedziała Agata. - I żebym was tu więcej nie widziała!

- Dobrowolnie na pewno się nie stawimy - roześmiała się Maska, a Kochanka jej zawtórowała.

Nie miałam niestety możliwości porozmawiania z tą ostatnią, bo Maska nie spuszczała jej z oka. A chciałam ją namówić, żeby spróbowała żyć samodzielnie, na własny rachunek. Nie mogła przecież pozostać do końca tylko cieniem swojej przyjaciółki. To tak, jakby jej w ogóle nie było. Ucieszyłam się, kiedy przyszła po moją książkę, ale zaraz następnego dnia ją odniosła. Na pytanie, czy jej nie przypadła do gustu, odrzekła, że nie lubi opowiadań, woli jedną całość. Ale potem pękła i zaklinając mnie, abym jej nie wydała przed Maską, wyznała, że Maska kazała jej tę książkę natychmiast oddać. Zastanawiałam się nawet, czy nie porozmawiać z Maską, ale zrezygnowałam. Mogłoby to zostać źle zrozumia-

ne, całego świata nie miałam zresztą obowiązku nawracać, wystarczy, że podjęłam próbę ucłowieczeniu Agaty. Miało to nieomal wymiar biblijny, bo ona była przecież kimś, kto zaraz po moim przybyciu tutaj rzucił we mnie kamieniem i ten kamień trafił mnie bardzo boleśnie. A ja wyszłam do niej z chlebem, czyli innymi słowy, z Buninem, ale nie zauważyłam u niej żadnych widocznych zmian na lepsze.

Los, jak zawsze, miał ostatnie słowo. Wkrótce po wyjściu Maski i Kochanki do naszej celi powróciła Lena. Widywałam ją czasami na korytarzu i z trudem tylko mogłam rozpoznać, nie przypominała bowiem w niczym tej pełnej seksapilu, hardej Rosjanki. Jasnoblond włosy zmieniły kolor na bury, tak samo poszarzała jej twarz, niemal zlewając się z drelichowym ubraniem. Lena wyglądała teraz jak swoja matka, przybyło jej z dziesięć, piętnaście lat. Ciekawe, jak ja wyglądałam. Co prawda, lekcję, jaką otrzymała od Agaty, skutecznie prowadziły dalej inne. Nie trzeba było być bardzo domyślnym, by odkryć, jakich posług wymagały od niej jej współtowarzyszki z celi. Iza powiedziała, że Lena trafiła najgorzej jak można. Było mi jej żal, ale w żaden sposób nie mogłam jej pomóc, prosiłam tylko Izę, aby wystarała się dla niej o przeniesienie, i moja prośba została wysłuchana. Niepokoiliam się, jak na obecność Leny zareaguje Agata; jeżeli ma zamiar znowu zacząć ją gnoić, ostro się temu sprzeciwię. Ale sprawa wyjaśniła się już pierwszego dnia przy kolacji. Ja, Agata i obie Błagierki usiadłyśmy przy stole, a Lena, nauczona doświadczeniem, przycupnęła na swojej pryczy i zaczęła jeść, trzymając miskę na kolanach. Na to Agata odwróciła się w jej stronę i słodkim głosem powiedziała:

- Lenoczka, pozwól do nas.

Wszystkie zamarzyliśmy, nie wiedząc, do czego zmierza, równie dobrze mógł to być jakiś podstęp. Lena nie ruszyła się z pryczy.

- No, Lenoczka - powtórzyła Agata dobrodusznie - chyba nie pogardzisz naszym towarzystwem.

Po tych słowach Lena wstała i jakby z ociąganiem podeszła do stołu, zajęła przy nim miejsce z dużą ostrożnością, w każdej chwili gotowa do odwrotu. Śledziłam Agatę z napięciem, czy nie zrobi jakiegoś numeru, na przykład nie chluśnie znienacka tamtej gorącą kawą w twarz. Ale Agata pałaszowała swoją kaszę, zachowując się tak, jakby zapomniała o obecności Rosjanki. W pewnej chwili spojrzała w jej stronę i spytała:

- Jest może w Moskwie ulica Bunina?

Lena przestała jeść i spojrzała na nią z lękiem.

- No co, mowę ci odjęło? - w głosie Agaty pojawiło się zniecierpliwienie.

- Ja... ja nie wiem - wybąkała Lena. — Ja mieszkam we Lwowie.

Ach ta Iza, pomyślałam, zawsze wszystko jej się miesza.

rozmowa z Izą

- Czym okazała się dla ciebie wizyta matki?

- Nie wiem... przeszła bez większego wrażenia, nie wracam do niej myślą, jakby jej tu wcale nie było.

- To chyba ważne, dowiedzieć się, jak wygląda własna matka?

- Czy ja wiem... Większe wrażenie zrobiło na mnie to, że urodziła mnie, kiedy miała czternaście lat... Może dlatego jestem taka nieprzystosowana do życia...



— Ty jesteś nieprzystosowana do życia? Komu ty to mówisz. Wiesz, ile ja tutaj widziałam dramatów! Przychodziły naprawdę twarde baby, co to się wydawało, że nikt ich nie ruszy, a te nasze dziewczyny potrafiły taką jedną i drugą w parę miesięcy zamienić w szmatę. Ty jako nietypowa byłaś od razu pod kreską, a znalazłaś swoje miejsce, wywalczyłaś sobie autorytet. Myślałam, że z ciebie frajerka i żal mi ciebie było.

Nie wprowadzałam jej w te zawile rozważania, w których jej osoba odgrywała pierwszoplanową rolę. Sama bym sobie nie poradziła, przyzwyczajona do komentarza z zewnątrz. Edward oceniał moje życie, moje szanse, a także moje pisanie. Teraz jego miejsce zajęła Iza, bez niej z pewnością podzieliłabym los Leny, a nawet gorzej, bo chyba bym tego wszystkiego nie wytrzymała, napaść Agaty zatrzęsła całą moją egzystencją. Następnej bym nie zniosła, wiedziałam o tym. I postanowiłam się bronić, ale gdzieś w tle była Iza jako warunek mojego przetrwania tutaj.

Pamiętam ten moment, kiedy Edward poprosił mnie o rękę, pamiętam nawet jego słowa. Powiedział:

- Ty jesteś za delikatna, za krucha na samodzielne życie, musisz mieć kogoś, kto by cię ochraniał...

I robił to skutecznie. Kiedyś Iza spytała mnie, czy jeżdżę na nartach. Zaprzeczyłam, więc spytała, czy prowadzę samochód, moja odpowiedź była taka sama.

- Ale dlaczego? - dziwiła się. - To taka frajda.

- To opowieść na trzy dni i trzy noce, dlaczego nie jeżdżę na nartach i dlaczego nie prowadzę samochodu - odpowiedziałam. - To tak, jakbyś spytała, dlaczego tu jestem. — Widziałam, że nic z tego nie rozumie. - Więc krótko: mój mąż bałby się, że skręcę sobie kark.

- A ty?

Roześmiałam się.

- Iza, zadajesz mi kolejne pytanie zasadnicze.

Wszystko zmieniło się nagle i bez przygotowania. Zupełnie jakbym znalazła się za kierownicą pędzącego samochodu, nie znając reguł jazdy, nie wiedząc nawet, gdzie jest hamulec. Może gdyby była tylko choroba pani de Tourvel, gdyby nie zbiegła się ze zmasowanymi atakami na mnie... „Nic nie rób - powiedział Edward. - Nie broń się, bo to najgorsze, co możesz zrobić.” Udzielił mi tej rady i pognał do swojego życia, które się coraz bardziej komplikowało. Zostałam sama i postanowiłam się jednak bronić, być może gdybym miała go w tle, moja obrona byłaby bardziej skuteczna. Tak jak tutaj to, że miałam Izę, ustawiało mnie na odpowiedniej pozycji. Zwyciężyłam z dużo silniejszym przeciwnikiem. W tamtym świecie przegrywałam.

Wiele lat temu przyniosłam maszynopis powieści „o matce” do wydawnictwa; po przeczytaniu go dyrektor tego wydawnictwa, szacownego, z tradycjami, stwierdził: „Gdyby była pani pisarką amerykańską, powiedziałbym, że napisała pani bestseller i czeka panią sława i pieniądze, ale pisarce polskiej powiem tylko, że będzie miała w tym kraju ciężkie życie”. Wtedy tego nie rozumiałam, dziś rozumiem aż nadto dobrze. W Polsce sukces jest gorzki, zawsze znajdują się ludzie, którzy zechcą go podważyć, udowodnić, iż jest niezasłużony i kryje się w nim coś podejrzanego. Ktoś, kto wystaje ponad tłum, powinien z powrotem zostać zepchnięty do polskiego kotła. Tak jak opisywał Wańkowicz, że wszyscy w tym kraju, wszystkiego wszystkim zazdroszczą... Tutaj w więzieniu też

się tego nie lubi, ale obowiązuje prawo silniejszego, silniejszy ma rację. Silniejszy więc słabszego po prostu nokautuje, jak to miała w zwyczaju Agata. A tam ten przeciwnik bywał nieuchwytny, działał zza węgła... Postawiono mnie pod pręgierz i zawiązano oczy, bo ci, co mnie atakowali, nie występowali najczęściej pod swoim nazwiskiem. W pewnej chwili zaczęłam się nawet zastanawiać, czy pod jednym z tych pseudonimów nie ukrywa się mój własny mąż. To się chyba nazywa mania prześladowcza...

W ślad za Maską opuścił naszą celę telewizor, jeden ruch, wyciągnięcie wtyczki z gniazdka, odciął mnie od tego, co się rozgrywało za murem. Mogłabym oczywiście szukać kontaktu z tamtym światem, zachodzić do sąsiedniej celi, gdzie jedna z więźniarek miała kolorowy telewizor, w ostateczności czytać gazety, które z dużym opóźnieniem, ale trafiały do czytelnicy. Wystarczyło tylko sięgnąć ręką, jednakże nie robiłam tego. Moja izolacja z wolna stawała się zupełna. Radio nie było zagrożeniem, co prawda grało na okrągło w dyżurce obok biblioteki, ale przeważnie muzykę; jak tylko pojawiał się słowo mówione, natychmiast zmieniano program. Radio to był tutaj przede wszystkim hałas, muzyka, której nie znosiłam. Ta klasyczna, niestety, dzieliła los słowa mówionego, od razu ją uciszano.

Iza tylko w jednym się pomyliła co do naszej Rosjanki. Mieszkała we Lwowie, a nie w Moskwie. Jej rodzina znalazła się tam w wyniku wędrówki ludów, którą swego czasu zarządził Stalin. Naprawdę była doktorem praw, a więc inteligentką, co niejako tłumaczyło błyskawiczne obniżenie jej więziennego statusu. Mózgowcy mieli tu najcięższe życie. Więc mnie

się naprawdę udało. Jej chyba trochę też, przez to, że trafiła z powrotem do naszej celi, gdzie panowały najbardziej ludzkie stosunki.

W czasie wspólnych posiedzeń przy stole wypytywałam Lenoczkę o sytuację na Ukrainie, co tam z tą ich nową demokracją.

- Jaka tam demokracja - machnęła ręką. - To najgłupszy pomysł z możliwych wprowadzać coś, co na tym obszarze nie miało żadnej tradycji. Niech się Zachód bawi w demokrację, on ma wzory rzymskie, u nas od wieków rządzą carowie i bojarzy. I na takiego cara sady się teraz Jelcyn, wmawiając temu durnemu Clintonowi, że jest z przekonania demokratą. Dla mnie to zwykły komuch, kudy jemu do cara. U nas też to samo, Krawczuk był aparaczką i taki został. Hasła trochę inne, metody stare. Dla ludzi nic się nie zmieniło, tylko jeszcze ciężiej żyć...

- To tak jak u nas - powiedziała Agata. - Nigdy nie było tyle biedy...

- Była - odpowiadam. - Tyle że bardziej schowana. Na to Agata:

- No i dobrze, czego oczy nie widzą, sercu nie żal. Lenoczka kręci głową.

- Dopóki ludzie nie uwierzą, że może być lepiej, nie będzie lepiej. Moja babcia na okrągło pali gaz pod kuchnią. Kiedy ją spytałam, czemu to tak, odrzekła, że przez oszczędność. Na zapałkach. Jak jej zaczęłam mówić, że to marnotrawstwo, to wzięła papier, ołówek i wyliczyła mi, że mniej wyda na zapłacenie gazu, który jest tani, niż na zapałki, które są drogie i w dodatku na kartki. To jak ma być lepiej przy takim myśleniu. Nie będzie lepiej, dopóki nie przyjdzie ktoś, komu ludzie uwierzą. Prawdziwy car, ale nie taki przemałowany z czerwonego...

- To wyhodujcie sobie cara! - śmieje się Agata.  
Weźcie jakiegoś rozplodowca...

Obudziłam się w środku nocy z silnym bólem głowy. Od dnia wylewu miewam migreny, dręczą mnie mdłości, czasem nawet halucynacje. W celi brakowało tlenu, w powietrzu unosił się odór niedomytych ciał, potu, pomieszany ze smrodem wydostającym się z kibla. Wydawało się to nie do zniesienia. Jeden z moich kolegów napisał kiedyś coś takiego: „Spróbuj pokochać ludzi, gdy na przykład jedziesz w lipcu autobusem, a w tym autobusie zamiast pięćdziesięciu ludzi jest stu pięćdziesięciu... ” Spróbuj pokochać ludzi... A to tutaj było czymś jeszcze gorszym. Dusiałam się, żołądek podchodził mi do gardła. I nagle w mojej skołatanej głowie pojawiła się myśl: żyję!

rozmowa z Izą

- Daria, czy możesz mi już odpowiedzieć, dlaczego zabiłaś swojego męża?

Mogłabym jej odpowiedzieć, że chciałam dowieść, iż miłość pomiędzy kobietą i mężczyzną nie może istnieć bez seksu. Biada, jeśli ktoś tego nie zrozumie w porę. Ja nie rozumiałam w porę, więc udowodniono mi to naocznie...

Tamta sierpniowa niedziela... Z samego rana wybieraliśmy się do Kazimierza nad Wisłą na wernisaż naszego dobrego znajomego, chyba nawet można było mówić o przyjaźni. W ostatniej chwili Edward mi oświadczył, że zabieramy pasażerkę. Miał przy tym dość głupią minę.

- To znaczy kogo? - spytałam.

- Kaśka się wprosiła - odrzekł, unikając mojego wzroku. - Podobno uwielbia malarstwo Tadeusza, a jak ona coś uwielbia, nie ma na nią sposobu.

- Świetnie - odrzekłam.

Czekała przed naszym domem. Widziałam ją w ostrych promieniach słońca. Trzeba przyznać, że wyrosła na fascynującą kobietę. Lekko skręcone włosy opadały jej chmurą na ramiona i plecy. Trudno było określić ich kolor, mieniły się w słońcu, były bursztynowe, by za chwilę nabrać barwy miodu. Ona odgarniała je leniwym ruchem, odsłaniając twarz o lekko wypukłym czole, dużych piwnych oczach i zmysłowych, jakby odętych wargach. Ubrana była w białą koszulę rozchyloną pod szyją i obcisłe dżinsy, spięte pasem z szeroką klamrą. Na nogach sandały na białe stopy.

W samochodzie zajęła miejsce z tyłu. Początkowo czuła się onieśmielona naszym spotkaniem, ale bardzo szybko oswoiła się z nową sytuacją. Nie uszło mojej uwagi, że ci dwoje rozmawiają ze sobą jak ludzie pozostający od lat w zażyłości. Ktoś z zewnątrz mógłby pomyśleć, że to ja się tu znalazłam przypadkowo, że ja jestem pasażerką.

Na wernisażu podawano alkohol, Kasia ochoczo sięgała po kolejne kieliszki, pod koniec była już nieźle wstawiona. Uwiesiła się ramienia Edwarda, nie krępując się moją obecnością. Stojąc obok, czułam to napięcie między nimi, mimo że Edward strzepywał z siebie jej ręce. Zwracano na nich uwagę. Nawet gdyby nie była znaną aktorką, rzuciłaby się w oczy jej wyzywająca uroda. Więc on ją strofował, ale bez zniecierpliwienia czy gniewu, była w tym niemalże czułość.

W pewnej chwili zniknęli mi z oczu. Poczęłam ich szukać. Zawędrowałam na tyły domu, w którym odbywał się wernisaż; była tam altana porośnięta dziwkim winem, wewnątrz panował półmrok. Zatrzymałam się w progu. Nie spostrzegli mojej obecności. Po prostu kopulowali, w jakiś bezwstydnym, zwierzęcym sposób.

Dziewczyna miała spodnie spuszczone do połowy ud. Opierając się rękami o krawędź kanapy z porwanym obiciem, wypinała swój kształtny tyłek, Edward zaś, przytrzymując ją w pasie, wykonywał coraz gwałtowniejsze ruchy. Towarzyszyły temu jej jęki i okrzyki:

- Och! Ach!

Stałam jak porażona. Właściwie powinnam była wycofać się i nie przyznawać się nigdy, że ich razem nakryłam. Ale ja też sięgałam po trunki. Alkohol szumiący mi w głowie popychał do działania. Wkroczyłam na werandę i łapiąc jakiś rupieć, krzesło bez oparcia, rąbnęłam nim Edwarda w plecy. Natychmiast odskoczył od dziewczyny, a ona się wyprostowała i odwróciła w naszą stronę. Spodnie opadły jej do kostek, krępując ruchy. Okładałam ją tym krzesłem, skuliła się więc, ramionami chroniąc głowę. W tamtym momencie byłam gotowa ją zabić.

Edward próbował mnie powstrzymać.

- Zwariowałaś! Co ty robisz!

- A co ty robisz! - wrzeszczałam. - Ty draniu, kurwiarzu! Pierdoliłbyś własną córkę, gdybyś ją miał!

Wreszcie udało mu się mnie obezwładnić, trzymał mnie, ciasno obejmując ramionami, nie mogłam wykonać najmniejszego ruchu. Próbowałam uderzyć go głową, ale skutecznie się uchylał. Ucierpiał zresztą podczas tej szarpaniny, z rozciętego łuku brwiowego

kapłała mu krew. Ale to mnie nie powstrzymało, w tamtym momencie naprawdę byłam żądna krwi. W równym stopniu pragnęłam unicestwienia tych dwojga, co siebie samej.

- Uspokój się, Daria - powtarzał mój mąż, który nagle całkiem oprzytomniał.

- Puść mnie, ty rozpasany buhaju! Ty knurze! Brzydę się tobą! I tą twoją lolitką!

Dziewczyna podciągnęła dzinsy, spinając je paskiem, i zajęła się poprawianiem fryzury. Jej ruchy były niezwykle precyzyjne. Schodząc z werandy, odwróciła się:

- Biedny jesteś - usłyszałam jej opanowany głos.  
- Nie wiedziałam, że to aż tak wygląda.

Wyrwał mnie ze snu jakiś dziwny dźwięk, zupełnie jakbym była w oborze pełnej zwierząt i to one tak postękiwały. Ten odgłos się powtórzył, dochodził z dołu, z pryczy, na której spała Bлагierka II. Zeszłam ze swojej pryczy i pochyliłam się nad nią. Wyglądało na to, że śpi. Chciałam się wdrapać z powrotem na górę, kiedy nagle głośno zajęczała. Pobudziły się inne więźniarki. Nie było wątpliwości, rozpoczął się poród, znacznie wcześniej niż to przepowiadał lekarz. W celi zaczął się ruch. Jedna z kobiet nacisnęła dzwonek, chcąc zaalarmować strażniczkę, inna waliła miską w drzwi. Było ciemno, bo latarnia za oknem znowu nie świeciła. Rodząca wzywała na pomoc matkę, złorzeczyła mężowi. Że go tu nie ma. Że jest sama i na pewno umrze.

- Nie umrzesz, nie umrzesz - uspokajała ją Agata.  
- Od tego się nie umiera.

- Ja już umieram! - wyła.



Umilkła na chwilę, a potem poczęła boleśnie stękać.

- Jest główka! - wykrzyknęła któraś z więźnierek. - Przyj, przyj!

I nagle w ciemności rozległ się krzyk nowo narodzonego dziecka. Ten krzyk mną wstrząsnął, napełnił zdumieniem i bólem zarazem, że to nie jest krzyk mojego dziecka.

Rozbłysło światło i do celi wkroczyła strażniczka. Była zaspana i wściekła.

- Co tu się dzieje? - spytała, ale nie trzeba jej było udzielać odpowiedzi.

Lenoczka wzięła noworodka powiązanego jeszcze z matką pępowiną i położyła go jej na piersi. Błagierka II tuliła do siebie ten zakrwawiony ludzki strzępek z miłością, w której zawierały się także dumy, czułość. Patrzyłam na tę scenę z uczuciem, że znalazłam się w nowym obszarze rzeczywistości. I nagle pojęłam, że wszystko w moim życiu było oszustwem, że ominęło mnie coś najistotniejszego, co może spotkać kobietę. Dlaczego uznałam, że najważniejszy jest mężczyzna. Dlaczego tego mężczyzny posłuchałam. Wmówił mi, że macierzyństwo jest nie dla mnie, że nie dam sobie z nim rady... A przecież jedynie pomiędzy matką a dzieckiem istnieje naturalna droga uczuciowych powiązań, droga bezpośrednia. Mężczyzna pojawiał się skądś, ten mężczyzna, ale równie dobrze jakiś inny. A dziecko brało się ze mnie, z samego środka moich trzewi... Stojąc tak obok pryczy Błagierki II, zrozumiałam, że przegrałam swoje życie, wyznaczając w nim fałszywe hierarchie. Gdybym wiedziała o tym wcześniej, być może nie byłoby mnie tu teraz...

Tego dnia w bibliotece zjawiała się także Lenoczka, wiedziałam, że przyszła do mnie, bo przecież nie po to, żeby wypożyczyć jakąś książkę. Znała całkiem niezłe polski, ale nie na tyle, aby móc czytać literaturę. Usiadła w kącie przy stoliku i przeglądała pisma. Czułam, że chce ze mną porozmawiać w cztery oczy. Mimo że Bлагierkę II przeniesiono wraz z jej nowo narodzoną córeczką do innego zakładu i w celi zrobiło się pustawo, zawsze ktoś z nami był. Podeszłam do stolika, przy którym siedziała, i zajęłam miejsce obok. Uśmiechnęłyśmy się do siebie. Porozumienie wschodnie, pomyślałam.

Kiedy jej się teraz przyjrzałam, wydała mi się znacznie ciekawsza niż wcześniej, z ufarbowanymi na platynowo włosami. Okazało się, że była to płukanka, która po kilku myciach zeszała. Najpierw włosy Lenoczki były matowe, ale teraz zaczynały nabierać naturalnej barwy. Była ciemną szatynką o bardzo jasnych oczach. W jej twarzy, mocno wymizowanej, odnalazłam pewną delikatność rysów.

- Pracujesz w tym zakładzie krawieckim co Agata? - spytałam.

- Nie, nie umiem szyć. W introligatorni...

Pokiwałam ze zrozumieniem głową.

- Ty jesteś pisarka... to chyba ciekawy zawód.

- Jedną z zalet tego miejsca jest to, że tutaj nie muszę pisać.

Lena przyjęła moją uwagę bez uśmiechu.

- Dla mnie to straszne miejsce - powiedziała. - Nie wiem, jak ja wrócę do domu... co ja powiem rodzicom, narzeczonemu...

- Nie wiedzieli, czym się zajmujesz?

- Wiedzieli - odpowiedziała. - Jak mnie zwolnili

z uniwersytetu, to zaczęłam szukać pracy i zostałam radcą prawnym przy biurze matrymonialnym...

opowiada Lenoczka

do tego biura przychodziły przeważnie oferty z Polski. Jedna z klientek miała jechać na spotkanie z kandydatem na męża do Warszawy, ale bała się sama wypuszczać w taką podróż, więc poprosiła Lenę, aby jej towarzyszyła. Zobowiązała się pokryć koszty podróży, ten jej korespondencyjny narzeczony przysłał drugie zaproszenie. Wyszedł po nie na dworzec i zawiózł do hotelu, w którym wynajął im pokój. Na pierwszy rzut oka widać było, że to ktoś przy forsie. Niezbyt przypadł Lenie do gustu, ale nic nie mówiła, bo to przecież nie ona miała wychodzić za niego za mąż. W ten sposób wplątała się w coś, w czym nie powinna była brać udziału. Bo już tutaj w Warszawie dowiedziała się, że to całe biuro matrymonialne to pic na wodę, naprawdę zajmuje się transferem prostytutek do Polski. Ona miała być tym alibi. Potem już jeździła z kilkoma dziewczynami naraz, które przedstawiała jako modelki. Rzeczywiście nie były pełnoletnie, ale z tymi porwaniami z domu to bzdura, matki same przyprowadzały córki i jeszcze prosiły ze łzami w oczach, żeby je przewieźć do Polski. To wszystko z biedy. Ona też przedtem by na to nie poszła. Ale jej narzeczony był bezrobotny, ojciec stracił pracę. Wszyscy patrzyli na nią. Mogła powiedzieć nie, wrócić do domu. I co dalej? Zresztą nie wiadomo, czyby w ogóle wtedy wróciła, czyby jej gdzieś nie znaleziono w lesie z poderżniętym gardłem. Oni odkryli karty, baliby się, że ich sypnie.

- Przeklinam tą wolność. Wolalabym dziesięciu Stalinów niż to, co teraz.

- Nie wiesz, co mówisz. Dzięki Stalinowi na Ukrainie był taki głód, że dochodziło do kanibalizmu, rodzice zjadali zwłoki własnych dzieci...

Lenoczka wzrusza ramionami.

- To już historia, a teraz świat całkiem inny. Wszyscy się bawią, tylko ty człowieku zdychaj.

- To jest zabawa na „Titaniku”. Popatrz, co się dzieje dookoła, co w Jugosławii, co w Gruzji...

- No, mówiłam, nie ruszać tej zarazy; dopóki stała, można było jakoś żyć. Co mnie samą spotkało! Aż nie mogę uwierzyć, że to ciągle jestem ja... Najpierw mnie ta Agata pobiła, a potem jak mnie przenieśli, to... już ci nie chcę mówić... - zamilkła na chwilę - albo nawet ci powiem. Bo trzeba się przed kimś wypowiedzieć, może nie będzie źlej, ale tak jakoś trzeba... Te baby mnie po prostu gwałciły, myślałam, że sobie coś sama zrobię, ale człowiek do życia bardziej przywiązany, niż mu się wydaje...

Umilkła, patrząc na swoje ręce leżące nieruchomo na blacie stolika.

Nie mogąc podjąć żadnej decyzji, czekaliśmy na jakieś rozwiązanie z zewnątrz, ale nie nadchodziło. Ja mieszkałam u stryja, Edward był tam sam, w pustym mieszkaniu...

Do tej pory co roku odwoził stryja na dworzec, kiedy ten wyjeżdżał do sanatorium, ale teraz, gdyby sam się nie zaofiarował, ani ja, ani stryj byśmy się do niego z tym nie zwrócili. Zniósł walizki do samochodu, wychodząc rzucił w moją stronę: „No to na razie...” Ale wiedziałam, że wróci. Czulałam to i byłam zdenerwowana.

Wrócił. Kiedy parzyłam w kuchni kawę, trzęsły

mi się ręce. Przyniosłam ją na tacy do gabinetu. I nagle rzuciliśmy się ku sobie...

Po powrocie do celi położyłam się na pryczy, zakładając ręce pod głowę. Czekala mnie jeszcze wieczorna toaleta, tak zawsze problematyczna na tej przestrzeni; do tej pory nie udało mi się pozbyć zażenowania, z jakim obnażałam się w obecności innych. Nigdy nie byłam pewna, czy nie padam ofiarą podglądactwa, które wydawało mi się tak samo obrzydliwe jak masturbowanie się przy świadkach.

Myjąc się w misce, starałam się ustawiać plecami do moich towarzyszek, odruchowo przy tym przyciskałam łokcie do ciała, aby osłonić piersi. Ale mycie się do pasa sprawiało mi o wiele mniej problemów niż to od pasa w dół. Z uczuciem niemal rozpaczyci ścierałam bieliznę, a potem kuciałam nad miednicą. W takich chwilach wydawało mi się, że one wszystkie na mnie patrzą, że mnie śledzą. Nigdy jednak nie starczyło mi odwagi, by spojrzeć w ich stronę...

Więc leżałam sobie nie myśląc o niczym, to był moment przerwy, wytchnienia, kiedy drzwi celi otworzyły się i zajrzała Elunia, ta sama, która na początku znokautowała mnie ciosem w żołądek. Teraz byliśmy w dobrych stosunkach.

- Daria - powiedziała. - Śmigaj do naszej Izy, ma coś do ciebie.

Usiadłam na pryczy.

- Mam iść sama? - spytałam, nie mogąc ukryć zdziwienia, o tej porze część administracyjna więzienia była zamknięta na cztery spusty.

- Idź, strażniczki cię przepuszczą - odrzekła wycofując się.

Korytarz nie był oświetlony, z trudem więc odna-

lazłam drzwi do pomieszczeń, w których urzędowała Iza. W pierwszym pokoju było ciemno, ale w tym drugim, mniejszym paliło się światło. Iza siedziała jak zwykle za swoim biurkiem na tle pancерnej szafy. Była w mundurze, tyle tylko że rozpiętym, miała pod nim cienką bluzkę wyszywaną w różyczki, co wyglądało dziwnie w zestawieniu z więziennym uniformem.

- Czy... coś się stało? - spytałam ostrożnie.

- Siadaj - odrzekła na to, wskazując mi moje stałe miejsce po drugiej stronie biurka. Sama sięgnęła do szafy i wyjęła stamtąd butelkę z jakąś kolorową wódką i dwie szklanki. Napełniła je do połowy.

- Obchodzę dziś ważną rocznicę i chcę, żebyś się ze mną napiła.

Pociągnęłam spory łyk, to była nalewka domowej roboty. Bardzo dobra zresztą.

- Co to jest? - spytałam.

- Smakuje ci? - uśmiechnęła się Iza.

- Bardzo.

- To orzechówka, z przepisu mojej babci. Jak chcesz, mogę ci go dać.

Potrząsnęłam głową.

- Do takich rzeczy trzeba mieć talent, a ja go nie mam za grosz. A co to za rocznica, jeśli mogę spytać.

- Możesz - odrzekła z uśmiechem. - Po raz piąty świętuję swoją wolność.

- Jesteś rozwiedziona?

- Aha.

Dolała mi do szklanki.

- Mam słabą głowę - zaprotestowałam.

- Nic się nie martw - odrzekła. - W razie czego zaniosę cię do celi na plecach.

- To by była niezła scena - roześmiałam się.

Czułam się coraz lepiej, Iza referowała mi przebieg posiedzenia komisji penitencjarnej w tak za bawny sposób, że pękałam ze śmiechu. Zdążyłam już poznać większość z tych ludzi, a ona karykaturowała ich znakomicie. Najlepiej jej to wychodziło / naczelnikiem więzienia, do złudzenia naśladowała jego głos, powolny, flegmatyczny, z nosowym „ę” i „ą”.

Było nam niewygodnie na twardych krzesłach, przeniosłyśmy się więc na podłogę. Siedziałyśmy oparte plecami o ścianę, z kolanami podciągniętymi pod brodę.

Z butelki stale ubywało, w końcu Iza wytrząsnęła z niej ostatnie krople.

- Mam jeszcze likier miętowy - powiedziała.
- Iza! - przeraziłam się. - Zalejemy się w trupa!
- Co tam - machnęła ręką. - Raz się żyje.
- A z kim teraz żyjesz? - spytałam nieoczekiwanie dla samej siebie.

Wzruszyła ramionami.

- Z kimś tam, byle się tylko nie chciał wprowadzić na dobre. Po co mi to. To są wszystko dupki żołądne. Na początku przynoszą ci róże i pachnące groszki, a potem rzucają śmierdzące skarpety na środek pokoju. Obrzydlistwo.

- I dlatego się rozwiodłaś, że twój mąż rozrzucił skarpety?

- Nie, rozwiodłam się dlatego, że to był dupek żołądny, taki jak ten twój Edziu... Sama bym go kropnęła choćby za to, że przez niego tu jesteś... Ty... taki wspaniały człowiek!

- Co ty opowiadasz! - zaprotestowałam.

- Żaden facet ci nie dorasta do pięt, Daria. Czuję się dumna z tego, że jak ty jestem kobietą!

Co ta Iza bredzi, przeraziłam się. Po co ona to

mówi. Stałam się czujna, wyobraziłam sobie nagle, że po takim wstępie przyjdzie czas na jakieś jej deklaracje, może wystąpi z propozycją, której ja nie będę mogła przyjąć. I wszystko się między nami popsuje. Ogarnął mnie piekący żal do niej. Że mnie tutaj zwabiła. Bo jeżeli się okaże, że Iza woli kobiety, ja nie będę mogła się z nią przyjaźnić. To znaczy mogłabym, gdyby nie wymagała ode mnie wzajemności.

- Iza - powiedziałam - ja lubię mężczyzn...

Ona zajrzała mi w twarz:

- Więc dlaczego strzeliłaś do mężczyzny?

Czułam, jak on napiera na mnie i moje ciało dało mu przyzwolenie, nie było tego progę, na którym tyle razy się potykał, na którym oboje ponosiliśmy klęskę. Wygrywałam tę beznadziejną walkę, jaką przez tyle lat prowadziłam sama ze sobą.

Wygrywałam, bo chciałam wygrać, mimo że widziałam, jak Edward się zmienia, jak nabrzmiewają mu żyły na skroniach. Miał nabiegłą krew, opuchniętą twarz. Ale to był ciągle on, człowiek, którego kochałam.

Tylko że... z nim poczynało dzieć się coś niedobrego. Zsunął się na bok i nagle zaszlochał:

- Puść mnie! Błagam, zaklinam. Puść!

W pierwszej chwili nie zrozumiałam, a potem pojęłam, że te słowa nie są skierowane do mnie. A więc tym razem ktoś trzeci wyznaczał nieprzekraczalny próg dla naszej miłości...

Widziałam wstrząsane łkaniem jego plecy.

Wstałam, ruszyłam po ubranie. Na podłodze w gabinecie obok mojej spódnicy i bluzki leżały jego spodnie. Wyglądały jak martwe. Rozrzucone nogaw-



ki zastygły w bezruchu... Chciałam je podnieść, na wet schyliłam się po nie, ale potem nagle wyprostowałam się i sięgnęłam do skrytki za obrazem, w której stryj trzymał pistolet. Wyjęłam go i ruszyłam z powrotem do sypialni. Chyba wtedy jeszcze nie wiedziałam, co chcę zrobić. Ja po prostu wracałam do Edwarda z pistoletem w ręku. Dopiero kiedy go zobaczyłam, jak się ubiera, jak wkłada te swoje kalesonki do kolan...

Dzisiaj przyszła do świetlicy Modelka Vermeera, jak ją nazywałam w myślach, do tej pory nigdy tu nie przychodziła, chociaż tutaj toczyło się życie towarzyskie więzienia. Kobiety grały w karty, warcaby, oglądały telewizję, robiły na drutach. W rogu stał na maszynie czajnik, czyli nasz więzienny samowar, na okrągło gotowała się w nim woda. Więźniarki parzyły sobie kawę, pachniało nią w całym pomieszczeniu. Przychodziły zaraz po kolacji. Kiedy ją zobaczyłam, pomyślałam, że szuka we mnie konfesjonału. Jak inne. Nie uśmiechało mi się to, byłam już dostatecznie objuczona cudzymi historiami.

Usiadła przy stoliku. Czułam, że czeka, żebym do niej podeszła. Uczyniłam to pod jakimś wewnętrznym przymusem. Zająłam miejsce obok. Chwilę milczaliśmy.

- Która godzina? - spytała wreszcie.

Spojrzałam na zegarek.

- Czwarta dwadzieścia...

Skinęła potwierdzająco głową, a potem podsunęła mi pod oczy swój nadgarstek.

- A u mnie która?

- Dziesięć po pierwszej - odrzekłam lekko zdziwioną, nie wiedząc, do czego zmierza.

- Stał co do minuty, zawsze tak staje, rok po roku...

- Trzeba go oddać do zegarmistrza.

- Oddawałam, ale mówi, że wszystko w porządku. Jak nieboszczyk padał, to uderzył zegarkiem o ziemię, szkiełko poszło w drobny mak, wskazówki się zatrzymały na pierwszej dziesiątce. I mój staje w każdą rocznicę...

Spuściła oczy i była teraz kobietą z obrazu. Miała dokładnie taki sam wyraz twarzy jak tamta.

- Bo myślisz o tym, może go nie nakręcasz...

- A skąd - wzruszyła ramionami. - Nakręcłam.

Nie wiedziałam, co jej na to odpowiedzieć.

- Boisz się? - spytałam.

Podniosła na mnie oczy.

- Nieboszczyka?

- Nie wiem... czegokolwiek...

- Tak to się nie boję, ale ciągle mi się zdaje, że okno nie jest zamknięte i spada na mnie...

Agata wychodzi! To wydaje się aż nieprawdopodobne, na tych paru metrach spędziłyśmy ze sobą dwa lata. I nasze stosunki układały się dosyć dramatycznie, ale przekazałyśmy sobie w końcu znak pokoju, jak chce Kościół katolicki. Odnalazłam też z nią pewne cechy wspólne, między innymi ten sam rodzaj lęku przed zbliżającą się wolnością. Więzienie stało się dla mnie lekcją życia, wszystko przedtem było rodzajem gry literackiej, teraz zobaczyłam nagle prawdziwe oblicze rzeczywistości. I z tą ohydą musiałam się pogodzić i znaleźć w sobie jakąś akceptację, warunek mojego tutaj przetrwania. Uświadomiłam to sobie dokładnie w czasie trzydniowej prze-

pustki. Prosiłam, aby pozwolono mi zrezygnować z tego przywileju. Ale Iza się stanowczo sprzeciwiła.

- Musisz wyjść stąd chociaż na trochę - powiedziała. - W przeciwnym razie możesz sobie później nie poradzić z pełną wolnością. Popatrz na ludzi, jak wyglądają po drugiej stronie muru...

- Boję się.

- Musisz wyjść do ludzi! - powiedziała surowo.

- Nic nie muszę - odrzekłam.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

- Iza - powiedziałam wreszcie - ja nie mam dokąd pójść.

- A stryj?

- Na razie nie mogę się z nim widzieć.

Zastanowiła się chwilę.

- To pojedź w góry.

Myślałam, że żartuje, ale to była propozycja serio. Dała mi adres znajomej góralki, pożyczyła mi dres, bo ja mogłam odebrać z depozytu jedynie grubą spódnicę i kozaczki. W środku lata! Jej buty były na mnie za duże, miała większą nogę, musiałam więc kupić adidas w Słubicach.

Do stacji szłam piechotą. Drzewa, które witały mnie kilka lat temu nagimi konarami, teraz były zielone, liście nawet lekko pożółkły, bo mało było tego roku deszczu. Szłam piaszczystą drogą, czując na twarzy powiew ciepłego, przesiąkniętego zapachem skoszonej trawy wiatru. To było pierwsze wrażenie po opuszczeniu murów, że na zewnątrz jest mnóstwo powietrza i że jest ono niezwykle wonne. Przywykłam do zupełnie innych zapachów, w celi śmierdziało, w bibliotece czuć było kurzem, a na korytarzach wiercił w nosie lizol, którym odkazano urządzenia sani-

tarne. Nie wychodziłam na spaceriak, bo to drep-  
tanie w miejscu było tak samo upokarzające jak kaj-  
danki. Źle się z tym czułam, poprosiłam, aby mnie  
zwolniono z tego przywileju. Więc pierwsze moje od-  
czucie z wolności było takie, że świat pachnie! Za-  
nim doszłam do stacji, kręciło mi się lekko w głowie  
od nadmiaru tlenu. Miałam wrażenie, że bolą mnie  
płuca. Ale też wydawało mi się, że moje włosy pa-  
chną wiatrem i to było cudowne uczucie. Pachnę  
wiatrem!

Z daleka zobaczyłam budynek stacyjny. Stał w  
szczerym polu, ze spadzistym dachem pokrytym  
czerwoną dachówką, w oknach skrzynki z pelargo-  
niami. Wyobraziłam sobie, że nagle podejźdza pod  
dworzec czarny długi samochód i wysiada z niego  
podejrzany dżentelmen z cygarem w zębach. Ten  
dżentelmen mógłby także przygalopować konno, z  
lassem u siodła i w kapeluszu z dużym rondem.  
Wtedy byłaby to scena jak z Dzikiego Zachodu, tyle  
że nie pasowałby do niej pruski mur dworcowego  
budyńku. Weszłam na peron pokryty żwirem i  
usiadłam na ławce tuż obok tablicy informującej, że  
to stacja Kowaniec. Iza spytała mnie potem, jakie  
były moje wrażenia z wolności. Co najbardziej zapa-  
miętałam.

- Powietrze - odrzekłam. - Dużo powietrza.

Roześmiała się.

- Pierwszy raz słyszę coś takiego z ust więźnia.  
Mówią: dupa, wódka, kiełbasa. Ale powietrze!

I jeszcze bezpośredni kontakt z ziemią, buty Izy  
spadały mi z nóg, zdjęłam je więc i szłam boso; jak  
wiejska baba w drodze do kościoła niosłam sandały  
w ręce. Moje stopy dotykały nagrzanego słońcem  
piasku, który przesypywał się między palcami.

Góralka polecona mi przez Iżę przyjęła mnie serdecznie, zaprowadziła na pięterko drewnianymi schodami. Byłam zmęczona i zasnęłam od razu głębokim snem, nigdy tak nie było, żebym wyłączyła się ze wszystkiego, co działo się wokół. W więzieniu miałam płytki sen, przeciekały do niego wszystkie odgłosy z celi. Podejrzywałam nawet, że nie potrafiłabym spać w ciszy. A tutaj panowała właśnie absolutna cisza. Może to ona mnie obudziła. Było bardzo wcześnie. Podeszłam do okna. U samej góry zobaczyłam pasek różowego nieba, niżej stalowe szczyty, a jeszcze niżej rozpościerała się mgła podobna do srebrnobiałej chmury, w pewnej chwili jak długie, wąskie ostrza wbiły się w nią promienie słońca i przechodząc na wylot, oświetliły złościście całą dolinę. Patrzyłam na to widowisko, które, jak podejrzewałam, przyroda zorganizowała na moją cześć. Czegoś podobnego dotąd nie widziałam, bywałam z Edwardem w Zakopanem, ale nie chodziliśmy w góry, on uważał to za zbędne, nigdy nie był piechurem, wylegiwaliśmy się więc na leżakach na tarasie, Astorii", skąd był dostatecznie piękny widok, według słów mojego męża. Ale gdyby zobaczył ten wschód słońca, być może zmieniłby zdanie. Widok z tarasu domu wczasowego Związku Literatów nie był dostatecznie piękny, ale żeby się tego dowiedzieć, musiałam przejść bardzo długą drogę...

Dużo myślałam o Edwardzie, o naszym wspólnym życiu. Zawsze patrzyłam jego oczami i to stało się między innymi przyczyną nieszczęścia, teraz starałam się spojrzeć na siebie od jego strony. Jak on to odczuwał. Kochając mnie, nie potrafił mi wiele dać, bo ja niczego od niego nie chciałam, niewiele też. mu

miałam do dania. Istnieliśmy w stałej opozycji do siebie; jak długo normalny człowiek może to znosić. Jego pani akceptowała go bez zastrzeżeń, jako mężczyznę, jako człowieka. Nie ciosała mu kołków na głowie, powtarzała mu stale, że ma całkowitą rację, bez względu na to, co sama myślała. Była bardzo kobieca, czego nie można powiedzieć o mnie. Sama siebie kasowałam, uważając wręcz, że jestem brzydka. Nic mi się w sobie nie podobało. Chociaż mężczyźni mnie dostrzegali, prawili mi komplementy. Słyszałam często, że mam piękne oczy i zmysłową twarz. Chwalili moją figurę. Akurat, myślałam sobie. Trudno powiedzieć, co nas tak do siebie przyciągało, dlaczego nie potrafiliśmy się rozstać, tęskniąc za sobą i stale do siebie wracając. On przynajmniej podjął próbę ułożenia sobie życia beze mnie, ale też nie był szczęśliwy. Stryj powiedział kiedyś, że Edward sprawia wrażenie człowieka, który stoi na stopniach dwóch pędzących w przeciwne strony pociągów. Nie lubił go, stale mi powtarzał, że powinnam związać się z kimś innym. Mieć dzieci, jak normalna kobieta. Ale stryj nie znał całej prawdy o naszym związku, za którego rozpad odpowiedzialna byłam przede wszystkim ja.

Chodziłam w dresie Izy, z jej plecakiem, górskimi szlakami, czując, jak pot spływa mi po plecach. Nic dziwnego, nie miałam kondycji, jedyną moją gimnastyką dotąd było wchodzenie i schodzenie z pryczy.

W czasie takiej wędrowki zachciało mi się pić, usiadłam więc na kamieniu i wyjęłam termos. Nalałam do zakrętki herbaty. Piłam ją małymi łyчками, aby nie poparzyć ust. Byłam tutaj zupełnie sama. Sama ze sobą. I po raz pierwszy nie czułam się

ze sobą źle. Nie chciałam nigdzie od siebie uciekać, przeciwnie, byłam nawet siebie ciekawa. Kim była ta kobieta w pożyczonym dresie, siedząca na kamieniu. Nazywała się tak samo jak ja, Daria Kalicka, ale na tym moja wiedza o niej się kończyła. I po raz pierwszy pojawiła się we mnie nadzieja, że kiedy wyjdę na wolność, będzie mi się z tą kobietą żyło lepiej. Bałam się tego dnia, odsuwałam go w myślach i brak konkretnej daty był mi nawet na rękę. Nic dobrego nie czekało mnie po tamtej stronie.

Agata krzątała się dosyć niemrawo, wyjmowała swoje rzeczy z szafki, potem je z powrotem chowała. Strażniczka ponaglała ją już kilkakrotnie. Wreszcie nastąpił moment pożegnania. Tak się złożyło, że byliśmy same w celi. Błagierka I pomagała w kuchni. Zostałyśmy tylko we trzy, a nikogo nam jeszcze nie dokwaterowano. Siedziałam przy stole, kiedy ona podeszła z plastikową wypchaną torbą, w której mieścił się cały jej majątek, wstałam. Patrzyłyśmy na siebie, a potem wyciągnęłam do niej rękę. Zanim zdążyłam zareagować, ona tę moją rękę podniosła do ust, a potem odwróciła się i utykając odeszła.

W pół roku później i ja stąd odchodziłam. Cela znowu była pełna, ale z żadną z nowo przybyłych nie nawiązałam bliższego kontaktu. Kiedy Iza podała mi dokładną datę mojego zwolnienia z Zakładu Karnego dla Kobiet w Kowańcu, zamknęłam się jak w kokonie, całą sobą przygotowując się do zmiany swojego losu. Moje życie przepoczwarzało się po raz drugi i tak jak wtedy nie byłam pewna, co z tego wyniknie. Ale teraz rysowała się przede mną przyszłość. Nie wiedziałam, co mi przyniesie, czy uda mi się napisać jeszcze jakąś książkę... Być może moja

powieść „o matce” oceniana była tak wysoko, bo własny ból udało mi się przełożyć na słowo pisane. Umarła babcia, która była całym moim dzieciństwem, musiała mi zastąpić matkę, ojca i siebie samą. I czyniła to najlepiej jak umiała. Śmierć matki w mojej najlepszej książce była więc czymś symbolicznym. Matka to dzieciństwo. Ta proza miała siłę, stanowiła bezpośredni przekaz przeżyć, które kierowałam do czytelnika. W innych swoich powieściach opisywałam cudzy los, byłam już tylko przekaźnikiem. Stałam się zawodową pisarką, ale znikł gdzieś mój atutyzm... Nic dziwnego, skoro Edward odseparował mnie od prawdziwego życia, a także od siebie samej, od własnego wnętrza. Może dlatego nie układało się nasze życie małżeńskie, że tak jak i moje książki utraciło swą autentyczność. Czy potrafię to teraz zmienić? Nie wiem, ważniejsze od pisania jest moje życie. Ważniejsze jest teraz to, czy spotkam kogoś, z kim będę chciała być, i czy urodzę dziecko. Jest późno, ale nie za późno. W Borysówce jedna ze znajomych babci urodziła pierwsze dziecko w wieku czterdziestu pięciu lat. I przyszło na świat zdrowe. Teraz to już dorosły człowiek, zdaje się zdolny matematyk. Jest taka teoria, że późne dzieci bywają bardzo utalentowane...

Przeszłam przez wszystkie formalności wypisowe, wydano mi z depozytu moje rzeczy. Wkładałam na siebie golf, grubą spódnicę, rajstopy, które już tym razem miałam, i kozaczki.

Była późna jesień. Tak jak mi zapowiedziała Iza, miałam czterdzieści dwa lata. I zdołałam ocalić nadzieję. Kto wie, czy właśnie nie dzięki temu, że mi o tej nadziei na początku wspomniała. Pozostawało mi tylko pójść się z nią pożegnać.



Kiedy weszłam, szukała czegoś w szafir pancерnej, widziałam tylko jej plecy. Słyszając moje kroki wyprostowała się i wolno odwróciła w moją stronę. Zdziwiłam się, że jest taka niska, zawsze mi się wydawało, że ma co najmniej metr siedemdziesiąt wzrostu. Zobaczyłam jej płaską bezbarwną twarz, którą okalały zniszczone trwałą ondulacją i farbą włosy, przy skórze widoczne były ciemniejsze odrosty.

Patrzyłyśmy na siebie.

- Przyszłam się pożegnać. - Byłam tak zszokowana jej nagłym przeobrażeniem, że nie mogłam niemal wydobyć z siebie głosu. Przemknęło mi nawet przez myśl, że pomyliłam drzwi i to jest ktoś obcy albo że zastępuje ją inna oficer wychowawca. Ale to była ona, na jej twarzy pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu, zobaczyłam jej ciemne od nikotyny zęby, nic dziwnego, skoro tyle paliła. Najbardziej było mi żal tych niesamowitych oczu, złocistożółtych z ciemniejszymi cętkami jak u drapieżnego zwierzęcia, oczy Izy były banalnie niebieskie.

- Przyszłam się pożegnać - powtórzyłam, starając się ukryć przed nią swoje uczucia.

Ona zrobiła krok w moją stronę, doleciał mnie zapach tanich perfum.

- Zobaczymy się jeszcze kiedyś? - spytała odrzucając do tyłu włosy, tylko ten ruch jej ramienia przypominał dawną Izę.